



ANNA-MARIE MCLEMORE.

SEZON LUSTER

Young

ANNA-MARIE MCLEMORE

SEZON LUSTER

PRZEŁOŻYŁA
KAJA MAKOWSKA

Young

*Dla Jane Doe, które były przede mną,
dla Johna Doe, który opowiedział swoją historię
razem ze mną,
i dla wszystkich, którzy pomagają nam pamiętać,
że mamy imiona*

Ta książka porusza temat przemocy
seksualnej oraz traumy.

Jeżeli jest to coś, co spotkało Ciebie
lub kogoś w Twoim otoczeniu, proszę, nie trać
nadziei i wiedz, że otrzymasz pomoc.

Kontakty do miejsc, które oferują wsparcie,
znajdziesz na końcu książki.

CHŁOPAK Z KSIĘŻYCA

Kiedy bisabuela¹ przyjechała do tego kraju, najcenniejsze, co przy sobie miała, było niewidoczne dla innych. Reszta była prawie nic niewarta. Ulubiony naszyjnik z lakierowanej cyny. Sakiewka z owocami dzikiej róży, które zasiała, a potem zajadała jak landrynki. Buty starte na pył podczas wędrówek do domu, w którym za pieniądze sprzątała, a potem i gotowała. Nawet jej najlepsza sukienka – mole wyżarły w niej konstelacje idealnie okrągłych dziur odzwierciedlające pustynne gwiazdy, pod którymi latały.

Wiele lat później – gdy miała już obrączkę, piec we własnym domu, ładną sukienkę – najcenniejsza pozostała wiedza, jaki wypiek poruszy serce każdej napotkanej osoby. Prababcia potrafiła ukoić nieodwzajemnioną miłość *polvorones de naranja*² słodkimi jak kwiaty pomarańczy. Uspokoić koszmary *las nubes*³ oprószonymi cukrem jak odległe gwiazdy.

Miała ten dar od dziecka. A kiedy zmarła, przekazała go mnie, choć byłam za mała, by pamiętać jej twarz.

Myślę o bisabueli tylko przez sekundę, bo pierwsze wolne miejsce, które widzę na szpitalnym parkingu, sąsiaduje z dziką różą, dorodnym krzewem z rodzaju tych, z których zbierała owoce. A potem wracam myślami do chłopaka leżącego bezwładnie w samochodzie mojej mamy.

Nie wiem, jak się nazywa ani gdzie mieszka, jak odstawić go do domu ani dlaczego w ogóle był na tej imprezie. Podobno przyjechał z Lancaster, ale też z Bakersfield i z Ely w Nevadzie, więc równie dobrze mógł pochodzić z księżycyca.

Mogłam przetrząsnąć mu kieszenie, ale liczyłam, że w szpitalu zrobią to za mnie.

Poza tym wiadomo, co ludzie by sobie pomyśleli, gdyby zobaczyli, jak Latynoska zabiera portfel białego chłopaka.

Na imprezie mówiono o nim też inne rzeczy. Szeptano nie tylko o tym, że pochodzi z zapadłej dziury, ale również że czeka do ślubu. „Szkoda – stwierdziły Victoria i jej przyjaciółki. – Jest uroczy, mimo trądziku”.

Komplementy Victorii zawsze są podszyte złośliwością. „Wygląda dobrze, nawet z tym dziwkarskim eyelinerem”. Albo: „Nie jest taki brzydki jak rok temu”. Albo taki, który dostawałam od niej nieraz: „Jest całkiem ładna, chociaż trochę gruba”.

Miano uroczego nadane przez Victorię i jej przyjaciółki mogło być najgorszym, co go w życiu spotkało.

Otwieram drzwi pasażera. Chłopak nie jest wysoki, ale wyższy ode mnie, co tylko utrudnia wyciągnięcie go z auta i zawleczenie na izbę przyjęć. Kończyny ma sflaczałe, każda jakby wrywa się w innym kierunku. Muszę trzymać go tak mocno, że zgniatam sobie prawy cycek. Moja kość biodrowa dotyka jego nogi, jeans ociera się o jeans.

Żałuję, że mu nie pomogłam. Żałuję, że nie znalazłam Jess, zanim wyszłam z imprezy.

Ale wtedy musiałabym jej wszystko wyjaśnić.

Chłopak z Lancaster albo z księżycyca wygląda tak źle, że jego błada jak papier twarz i zwieszona głowa przyciągają uwagę dwóch

pielęgniarek siedzących za szybą.

– Czegoś mu dosypali – informuję, jakby ktokolwiek w tym szpitalu wiedział, o kim mówię. – Byliśmy na imprezie.

Zabierają go – nie stawia oporu, jest zbyt nieprzytomny – i pielęgniarka mówi:

– Policja poprosi cię o rozmowę. Chcesz zadzwonić do rodziców?

– Co?

Wzdrygam się, słysząc panikę w swoim głosie.

Klasyczny błąd Latynoski.

Mama mówi, że muszę przestać się tak nerwowo zachowywać. Przez to wyglądam na winną, nawet jeśli nic nie zrobiłam. Dlatego w szóstej klasie, kiedy Jamie Kappe i jej dwie ślepo wpatrzone w nią koleżanki obwiesiły całą toaletę papierem toaletowym i wskazały na mnie, nauczycielka uwierzyła im. Byłam wystarczająco zdenerwowana, żeby wyglądać, jakbym zawiniła.

– Będą tylko chcieli zadać kilka pytań – dodaje pielęgniarka, najwyraźniej dając mnie i mojej panice kredyt zaufania.

– Nie znam go – wyrzucam z siebie, bo jakaś część mnie myśli, że dzięki temu ucieknę spod tych jarzeniówek.

Ale widocznie wyglądam, jakbym się spowiadała, bo pielęgniarka posyła mi spojrzenie w stylu „Niech cię Bóg błogosławi”.

– Porządna z ciebie dziewczyna. Dobrze, że go przyprowadziłaś.

Ta pielęgniarka, która przypomina moją kuzynkę, tylko bez tony kredki do brwi, myśli, że jestem jakąś *buena samaritana*. Nieznajomą o złotym sercu, która ratuje obcych chłopaków z moralnego szamba imprezy Astin.

Ale ja nie jestem dziewczyną, za którą mnie uważa. Jestem dziewczyną, która ucieknie, zanim ktokolwiek zdąży ją o coś zapytać.

Jeśli nie ucieknę, będę musiała powiedzieć nie tylko o tym, co przytrafiło się temu chłopakowi, ale także o tym, co przytrafiło się mnie. Będę musiała powiedzieć im wszystko, co wiem o dwóch strasznych rzeczach, które wydarzyły się w tym samym czasie w dwóch różnych pokojach. Ja w jednym pokoju, on – w drugim, za ścianą tak cienką, że słyszałam go, gdy sama zaciskałam powieki i próbowałam udawać, że jestem gdziekolwiek indziej niż we własnym ciele.

Jeśli ktoś – zwłaszcza ta pielęgniarka, która wygląda trochę jak moja prima⁴ – mnie o to zapyta, nie wiem, czy dam radę siedzieć cicho. A muszę. Bo nic dobrego nie wyniknie z tego, że powiem prawdę o dzisiejszym wieczorze. Już to wiem. Mimo szumu jarzeniówek i ścisku w żołądku – wiem.

Rano chłopaka i jego rodziców poinformują, że nie ma śladów penetracji – ani zostawionych na nim, ani zostawionych przez niego. Ślady szminki na jego ciele zawisną niewypowiedziane w przesyconym odkażaczem powietrzu. Będzie wiedział, co to znaczy. Wszyscy będą wiedzieli.

Postanowi nie robić obdukcji, po części ze wstydu, a po części dlatego, że wie, jak trudno będzie udowodnić, że tego nie chciał.

I dlatego, że nigdy nie słyszał, by to dziewczyna zmuszała chłopaka.

Jego mózg nie wie, czy to możliwe, nawet kiedy jego ciało czuje krzywdę rozlewającą się we krwi.

W tej chwili nic o tym nie wiem. Dowiem się później, o wiele później. A kiedy się dowiem, wyobrażę sobie chłopaka czującego się jak okaz w słoiku, jak rzadki motyl przebity igłą, myślący, że został przekłuty z własnej winy.

Może gdybym wiedziała to wszystko teraz, nie zrobiłabym tego, co zamierzam zrobić. Może nie podjęłabym decyzji, w wyniku której chłopak obudzi się sam. Może gdybym wiedziała, że jego matka jest daleko stąd i płacze, jadąc środkiem autostrady, bo głos w telefonie mówi, że jej syn jest w szpitalu w San Juan Capistrano, ale nie mówi dlaczego, postąpiłabym inaczej.

Chcę tak myśleć. Ale wiem, że nie mam racji. Ponieważ nawet w tej chwili, kiedy podejmuję tę decyzję, domyślam się, że gdy chłopak się obudzi, powietrze zgęstnieje od niejasnego, acz ciężkiego poczucia, że przytrafiło mu się coś złego. Jednak on nie będzie wiedział dokładnie, kto mu to zrobił ani dlaczego. Poczuje to, co ja obawiam się poczuć jutrzejszego ranka: przeciwieństwo ulgi po przebudzeniu się z koszmaru i uświadomieniu sobie, że to nie była prawda, że można już odpuścić.

Obejmuję się ramionami, próbując powstrzymać szloch w gardle, zanim dotrę na parking, ściska mnie jednak tak mocno, że zaczynam się dławić.

Drzwi automatycznie zamykają się za moimi plecami.

Robię to, nie oglądając się za siebie. Zostawiam chłopaka samego.

Abuela⁵ – córka bisabueli – pouczała mnie, że dary takie jak mój są delikatne. Ostrzegła, że jeśli nie będę strzegła swojego serca, wszystkie ostre krawędzie świata zabiją mój dar, jak sól zabija powolny wzrost drożdży.

Idąc przez parking, postanawiam, że mogę to zrobić, mogę strzec mojego serca przed dzisiejszym wieczorem. Mogę je zamknąć, jakby nic się nie wydarzyło.

Już sięgam do drzwi, kiedy coś srebrnego błyska w świetle księżyca i zwraca moją uwagę na krzak róży za betonowym ogranicznikiem.

Jeden kwiat jest cięższy od pozostałych. Jego płatki straciły czerwień i teraz lśnią srebrnym blaskiem jak płynna rtęć.

Podchodzę bliżej, przyglądając się, jak róża zbiera światło do błyszczącego środka. Jej płatki wyglądają jak szkło.

Nie, nie jak szkło. Jak lustro.

Wyciągam rękę, by zważyć ją w dłoni, lecz gdy tylko moje palce dotykają twardej krawędzi płatka, cały kwiat wrywa się z kołyski liści. Spada na asfalt i roztrzaskuje się w srebrny pył.

Odłamek wpada mi do oka. Jest mały i chropowaty jak ziarnko piasku, a ja mrugam, żeby się go pozbyć. Ale czuję, że wchodzi głębiej. Nie wiem, czy wyobrażam sobie jego błysk, czy naprawdę go widzę, ale kiedy mrugam, maluje noc srebrem.

Jeszcze tego nie wiem. Ale tak się dzieje.

Właśnie tu.

Tak szybko.

Jeden odłamek lustrzanego szkła zmienia cały mój świat.

¹ Z hiszpańskiego – prababcia (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Kruche ciasteczka pomarańczowe.

³ Kolorowe pianki w cukrze.

⁴ Kuzynka.

⁵ Babcia.

TAK SIĘ TO TRACI

Kiedy wracam do domu, mrugam, chcąc pozbyć się odłamka. Pozwalam lewemu oku łzawić, by je wypłukać, ale nie płaczę. Jeśli zacznę płakać, zacznę też krzyczeć.

Odłamek zniekształca mi obraz. Rozmywa ściany i pościel w akwarelę. Zmienia dwie szmaciane lalki uszyte przez abuelę w plamę różu i brązu. Lecz ja wciąż nie mogę go znaleźć. Pyłek błyska srebrem na tle brązu tęczęwki lub bieli gałki, a potem znów znika.

Następnego ranka mój wzrok się poprawia. Widzę wszystko ostro i wyraźnie: komodę, którą razem z tatą pomalowaliśmy na kolor skórki grejpfruta, zdjęcia mnie i Jess w ramach koloru cukierków, małe szmaciane lalki. Jeansy i sweter, które zeszłej nocy rzuciłam na podłogę. Wciąż to jednak czuję – kłucie i szczypanie szkła skruszonego w piasek.

Docieram do pastelerii⁶ minutę przed rozpoczęciem zmiany. W drzwiach kuchni krzyżuję sznurki fartucha z tyłu i przeciągam do przodu, żeby je związać. Uspokajam się dzięki rzeczom, które są tu od lat. Puszyste kwiaty z bibuły w kolorze oranżady i różowej landrynki. *Papel picado*⁷ wiszące na ścianie. Szklane słoiki z kryształkami cukru w kolorach *pan dulce*⁸, które tía⁹ postawiła na tylnej ladzie, bo lubiła, jak światło do nich mruga, a one mrugają z powrotem.

Jess rzuca mi siatkę na włosy.

– Przygotuj się na pierwszy młyn.

Jessamyn Beverly. Moja była dziewczyna, obecna najlepsza przyjaciółka. Koneserka artykułów papierniczych. Beznadziejna w robieniu ciasta na *pan dulce*, za to skrupulatna w dekorowaniu wypieków i obsłudze kasy. I prawdziwa, podręcznikowa geniuszka. Niefortunnie dla mnie, bo już i tak była rok wyżej ode mnie w Astin i została przyjęta do pobliskiego Laurel College rok wcześniej, co oznaczało, że skończy szkołę zaraz po egzaminach.

Nadal będzie brać zastępstwa w pastelerii, gdzie kiedyś pomagała tak często, że tía w końcu ją zatrudniła. Gdyby nie była moją najlepszą przyjaciółką, może trochę nienawidziłabym jej za to, że potrafi wydać resztę bez zastanowienia i napisać pracę semestralną w jedną noc, o ile ma pod ręką dwulitrową colę zero i wielką paczkę żelkowych gąsienic.

Jess ciągnie mnie w stronę lady. Wzdrygam się, gdy łapie mnie za łokieć, ale opanowuję się, zanim to zauważy.

– Ostatnia grupa pytała o Wiedźmę Wypieków z San Juan Capistrano – mówi.

Dar bisabueli uczynił ze mnie niechętną i bardzo niszową atrakcję turystyczną. *La Bruja de los Pasteles*, dziewczyna, która wie, jakie *pan dulce* marzy się ludziom, zanim oni sami na to wpadną.

To trochę bardziej skomplikowane. Gdyby ktoś zapytał mnie na ulicy, mogę nie zgadnąć. Wiem na pewno tylko w naszej rodzinnej pastelerii, otoczona *pan dulce* z przepisów, które znam lepiej niż drugie imiona kuzynów. Pamiętam *las especias*¹⁰ w naszym pieczywie, pomarańczowe żółtka jaj od zadowolonych kur mojej primy, dzięki którym nasz *pan de yema*¹¹ wygląda, jakbyśmy upiekły w nim cząstkę słońca. Widzę niewidzialną nić łączącą klientów z naszymi wypiekami.

Jeśli wejść do innej panaderii¹², nie mam gwarancji – to tak, jakby człowiek próbował mówić w znanym języku, ale nieznanym dialekcie. „Twoja bisabuela to potrafiła – mówiła mi abuela. – Dla każdej osoby, w każdej pastelerii, ona to potrafiła. I ty też się nauczysz, *mija*¹³, jeśli będziesz grzeczna, jeśli będziesz dbać o *tu don*¹⁴”.

Nie zdradzam *gringos*¹⁵ szczegółów, tak jak tía nie zdradza sekretów aksamitnie gładkich skorupki *conchas*¹⁶. Niech ich niesie wyobraźnia.

– Co ci się stało wczoraj? – pyta Jess.

Rzuca mi spojrzenie, które przypomina, dlaczego jej unikałam, zanim zaczęłyśmy ze sobą chodzić. Oceniające spojrzenie, które mówi, że oznacza segregatory kolorami i nosi w torebce golarkę do swetrów. I że tylko dzięki niej wiem o istnieniu golarzki do swetrów.

Próbowałyśmy być *amantes*¹⁷, jednak zrozumiałyśmy – obie bez żalu – że nie pasujemy do siebie w tej sferze, za to jesteśmy *hermanas*¹⁸ i pozostaniemy nimi na całe życie. A kiedy myślę, jak by na mnie patrzyła, gdyby wiedziała o wczorajszym wieczorze, gdyby wiedziała, ile z tego było moją winą, czuję się krucha jak czerstwe *pan dulce*.

– Nic – mówię i postanawiam, że to będzie prawda. Moje ciało nadal krzyczy każdym wypisanym na nim sekretem, ale sprawię, że to będzie prawda. – Nic się nie stało.

– Więc zostawiłaś mnie z Królami i Królowymi South Coast Plaza bez powodu? – Jednocześnie wyolbrzymia i bagatelizuje sprawę. – To podłe, Cristales.

– Przepraszam. Źle się poczułam i poszłam do domu.

Prawie nie kłamie.

Pierwsza kobieta, która podchodzi do lady, spogląda na mnie wyczekująco. Nie zamawia. Czeką, aż *La Bruja de los Pasteles* powie jej, czego chce.

Czasami to przeczucie przypomina napięcie przed burzą. Mówi mi, że ktoś zachwyci się *pan dulce* w konkretnym kształcie, jak *puerquito*¹⁹ albo *pajarito*²⁰. Czasami błysk światła widziany kątem oka, szepczący coś o kakao lub anyżu. Najczęściej to impuls, który zapala się we mnie, i po prostu wiem.

Ale w tej chwili nie wiem.

Jess patrzy na mnie i czeka. To nigdy nie trwa tak długo.

Czekam, aż coś we mnie drgnie i powie, czy ta kobieta pragnie nadziewanego kremem *cacahuates*²¹, czy bułeczki z ziołami.

Mózg, krew i serce milczą, podpowiadając mi tylko jedną sylabę.

Nie.

Abuela ostrzegała mnie, że dar można łatwo stracić przez dumę bądź nieostrożność. Słyszała o młodej kobiecie, której łyzy zmieniały się w perły, lecz która przechwalała się tak okrutnie i wywyższała nad zwykłe dziewczyny, że święci odebrali jej dar. W wiosce bisabueli mieszkał chłopiec, który odziedziczył po dziadku zmysł do znajdowania wody, był jednak tak arogancki i niechętny do słuchania tego, co *el viejo*²² miał mu do powiedzenia, że stracił dar na zawsze.

Nie.

Raz stracony dar przepada na zawsze, mówiła bisabuela, jak spalona drewniana skrzynia albo medalion wrzucony do morza.

Nie. Moje serce śpiewa słowo „nie”.

Próbuję wyczytać coś z twarzy klientki. *Pan de cemita*²³ z sezamem?
Rozgrzewający cukier kokosowy w *los ojos de buey*²⁴?

Nic.

Jestem zdesperowana, próbuję wyczuć powietrze wokół niej.
Przyprawione cynamonem i chile jabłko z *empanada de manzana*²⁵?
*Galleta*²⁶ w cukrze?

Nie mam szans zgadnąć, bez względu na to, ile razy już to robiłam.
Bisabuela urodziła się ze znajomością języka mąki i cukru, języka,
którego nie da się nauczyć, bo zmienia się z osoby na osobę. *Puerquito*
może ucieszyć jedną kobietę, ale zasmucić inną. *Paloma*²⁷, która doda
jednemu mężczyźnie odwagi, może przypomnieć innemu, że wolałby się
skulić jak pisklak, niż stawiać czoło światu.

Moja krew stoi. Szum, który podpowiada mi, jakie *pan dulce* rozpali
czyjeś serce, milczy.

Uciekam na zewnątrz, żeby klienci – ani tía – nie widzieli, jak
panikuję. Nie idę do frontowych drzwi, którymi wchodzi goście, tylko
na tył, gdzie parkują wszyscy pracownicy zakładu kosmetycznego,
kwiaciarni albo monopolowego.

Czekam, aż rześkie powietrze tchnie we mnie dar *La Bruja de los
Pasteles*.

Tylne drzwi kuchni się otwierają.

– Ciela, co się dzieje? – pyta Jess i staje obok mnie.

– Nie potrafię – dukam.

– Czego nie potrafisz?

– Zgadywać, czego ludzie chcą. Czy pragną *palmera*²⁸, czy
*peineta*²⁹. Nie potrafię. Zawsze potrafię, ale teraz nie.

– Może masz gorszy dzień.

– Nie mamy gorszych dni. Nie z tym darem, nie w tej rodzinie. Bisabuella w życiu nie miała gorszego dnia. Rodziła dziecko i mówiła położnej, które *pan dulce* sprawi, że przestanie kłócić się z mężem.

– Okej, to totalna popisówa.

Próbuje mnie rozbawić, ale nie jest mi do śmiechu.

– Poczekaj jeden dzień – dodaje. – Dar wróci.

Zmuszam się, żeby przytaknąć, choć czuję, że nie wygląda to przekonująco.

– Odetchnij trochę – radzi Jess. – Powiem twojej tii, że poszłaś do drogerii.

– Czemu akurat do drogerii?

– Powiem, że potrzebowałaś szminki, bo...

– Czerwona szminka to odpowiedź na każde pytanie – dokańczam razem z nią.

Kiwamy głowami, niemalże śpiewając to zdanie, które słyszałyśmy setki razy od mojej mamy i mojej tii, wspólne motto dwóch sióstr:

Nadal nie mogę się śmiać, ale mój uśmiech jest prawie prawdziwy.

– Nie stresuj się – prosi Jess.

– I to mówi ta, co brała leki na zgagę przed testami.

– Właśnie. – Staje w drzwiach. – Wiem, o czym mówię.

Drzwi do kuchni się zamykają i zostaję sama na cichym parkingu.

Nie wiedziałam, ile prawdy było w słowach babci o tym, jak łatwo może do tego dojść. Jak jeden odłamek lustrzanego szkła może mnie ugodzić i zabić dar, który dostałam od bisabueli.

Jednak kiedy tu stoję i czuję srebro grzęznące coraz głębiej, wiem, że dar zniknął.

Najcenniejsza rzecz, jaką mogła zostawić mi bisabuela, nić magii przekazywana z krwią – a ja ją straciłam.

Gdybym się nie domyśliła po wnikającym głębiej odłamku, poznałabym to po dziwnie kołyszących się krzakach – konstelacjach liści twardejących w lustrzane szkło.

6 Piekarnia, ciastkarnia.

7 Dekoracyjne wycinanki charakterystyczne dla kultury Meksyku.

8 Słodki wypiek.

9 Ciocia.

10 Przyprawy.

11 Bułeczka podobna do brioszki.

12 Piekarnia.

13 Dosłownie: córka, ale też: droga, kochana.

14 Twój dar.

15 Osoby nielatynoskiego pochodzenia, najczęściej niemówiące po hiszpańsku.

16 Słodka bułeczka w kształcie muszli.

17 Kochanki, tutaj: dziewczyny.

18 Siostry.

19 Świnka.

20 Ptaszek.

21 Ciasteczko z kremem w kształcie orzecha.

22 Starzec.

23 Meksykańskie bułeczki.

24 Słodki wypiek, dosłownie oczy byka.

25 Ciasto francuskie nadziewane jabłkami.

26 Słodki herbatnik.

27 Drink na bazie tequili.

28 Ślimaki z ciasta francuskiego z cukrem.

29 Wełniany chleb bułkowy.

LA REINA DE LAS NIEVES

Z bieram je wszystkie. Ostrożnie zrywam z gałęzi każdy srebrny liść, asekurując go drugą ręką, w razie gdyby spadł. Zawijam w fartuch i zabieram do domu.

Lustrzana róża pojawiła się pod szpitalem, gdy zostawiłam tego chłopaka, by obudził się samotny i zdezorientowany, a teraz liście pojawiły się przed pastelerią, gdzie dorastałam, wyrabiając ciasto i mówiąc klientom, czego pragną, zanim sami się zorientują. To wszystko moja wina. Nie mogę pozwolić, by kolejny odłamek skaleczył kogoś innego, nie kiedy sama nadal czuję ukłucie jednego z nich w swoim sercu.

Nie mogę wyrzucić odłamków ani wsypać ich do oceanu. Nie wiem, jak się ich pozbyć, żeby się nie połamały i nikogo nie zraniły. Więc je ukrywam.

Najpierw chowam liście do szuflady. Jednak w miarę jak upływa lato, znajdują mnie kolejne lustra. Kalia w ogrodzie mojej ciotki zmienia się w kielich migoczącego srebra, a ja podnoszę ją kilka sekund przed tym, jak wujek wygląda przez okno. Delikatny arkusz *papel picado* się srebrzy, a ja ukradkiem zrywam go ze ściany i łączę dwa kawałki po bokach.

Przed poranną zmianą znajduję siedem gardenii mojej mamy, wcześniej kremowobiałych, teraz srebrnych, i zrywam je, zanim mama

się obudzi. Potem widzę ją w ogrodzie, jak z zastanowieniem przygląda się delikatnym gałązkom pozbawionym pachnących wanilią kwiatów, i czuję, jak moje serce zabliznia się wokół odłamka szkła.

Odłamki przestają się mieścić w jednej szufladzie, więc sprzątam szafę, upycham ubrania do komody, wrzucam buty pod łóżko. Wyciągam wszystko, co jest mi potrzebne, zostawiam tylko pluszowe maskotki, stare podręczniki – rzeczy, do których i tak rzadko wracam. Chowam wszystkie kawałki srebrnego szkła z tyłu.

Śpię tylko wtedy, gdy trzymam w dłoniach szmaciane lalki, które uszyła mi abuela. Na przemian zaciskam palce na ich miękkich ciałach, aż rytm utuli mnie do snu. Śnię o cukrze bladym jak śnieg i o śniegu tak zimnym, że lśni jak pokruszone diamenty.

Abuela opowiadała mi historię o takim śniegu, o królowej zwanej *La Reina de las Nieves*, która rządziła najzimniejszą krainą na świecie i której pałac mienił się gładkim lodem. Wiedziałam, że miała być *la mala, la villana*³⁰, złą królową, która kradnie chłopca imieniem Kai słodkiej dziewczynce o dobrym sercu zwanej Gerda.

Jednak dla mnie *La Reina de las Nieves* była wspaniała. Potrafiła nie tylko przetrwać chłód, ale też uczynić z niego coś pięknego. Tworzyła słupy lodu, które chwytały zorzę polarną. Rzeźbiła lodowe komnaty lśniące błękitem jak płomienie kuchenki gazowej.

Lecz teraz, gdy śnię o zimnie, nie śnię o pięknym pałacu Królowej Śniegu mieniącym się w świetle zorzy. Śnię o moim ciele, które zmienia się w sople i rozpada w nieostrożnych dłoniach. O białych palcach, które rozrywają mnie jak ciasto. O mojej skórze, która twardnieje i przybiera formę lodu lub szkła, tak przezroczystego, że każdy widzi, co mam w środku.

³⁰ Ta zła, czarny charakter.

MIRA, SE FUE

Ay, no – mówi Pilar, kiedy znajduje mnie, jak zagniatam ciasto na *elotes*³¹. – Nie zabijaj tego ciasta. – Odsuwa moje ręce. – Co ono ci zawiniło?

Otrzepuję dłonie z mąki i się nie kłócę. Moja ciotka nie zatrudniła Pilar bez powodu. Dziewczyna umie czytać ciasto, tak jak ja kiedyś *pan dulce*.

– Idź. – Pilar przejmuje moje zadanie. – Nie dam ci go torturować.

Opieram się o zlew i zaczynam zmywać naczynia.

Minęły ponad trzy miesiące, odkąd straciłam dar Wiedźmy Wypieków z San Juan Capistrano. Nie wrócił. Kiedy klient nie wie, czego chce, nie mam pomysłów. Równie dobrze może rzucić strzałką w tablicę z menu, zamiast pozwolić mi zgadywać. *La Bruja de los Pasteles* staje się zaledwie plotką. Wkrótce *las turistas* zaczną się zastanawiać, czy kiedykolwiek była czymś więcej niż tylko miejscową legendą. Straciłam tę część siebie, która mówi językiem mąki i cukru. Straciłam przekazaną mi przez bisabuelę magiczną nić, biegnącą w mojej rodzinie od tak dawna, że nikt nie pamięta, kiedy się zaczęła. Tę, która pomogła bisabueli otworzyć pierwszą pastelerię w witrynie niewiele szerszej niż drzwi.

Dlatego próbuję się na coś przydać i pomagać w zagniataniu ciasta. Ale najwyraźniej dziś rano nawet to mi nie idzie.

Ciocia staje obok mnie.

– Nie bierz tego tak bardzo do siebie, *mija*. – Opiera się o krawędź zlewu. – Mamy dziwną porę. Nawet nie wieje wiatr. Będzie lepiej, jak wróci. Odzyskasz *tu don*. – Patrzy, jak pryskam gorącą wodą na namoczoną formę do pieczenia. – Kiedy *la llorona*³² traci głos, wiesz, że to wina pory roku, a nie twoja.

Kiwam głową na jej historii o tym, że wycie *Santa Any* to głos *la llorony*, który omiata ziemię. *Tía* przywiązuje wielką wagę do każdego roku, w którym *Santa Ana* przychodzi późno albo nie przychodzi wcale.

– Słyszałaś? – pyta *Pilar* тіę. – Kolejne drzewo zniknęło. Rozpłynęło się w powietrzu.

Nadal zmywam naczynia, udając, że nie próbuję usłyszeć każdego słowa nad szumem wody.

– ¿*De verdad?*³³ – nie dowierza *tía*. – Które?

– Bez na *Los Rios* – opowiada *Pilar* i cmoka. – Żałuj, że nie widziałaś, jak właściciele *salían de sus casillas*³⁴. Myślałam, że z uszu buchnie im para.

Straciłam rachubę, ile to już drzew. Przez ostatnie kilka tygodni za każdym razem, gdy pojawiała się żółte zawiadomienie o ścięciu, była duża szansa, że naznaczone drzewo zniknie w nocy, zanim zdążą je wyrąbać. W zeszłym tygodniu przepadł śniegowiec wirginijski przed miętowym domem. Wcześniej niepokalanek pospolity, judaszowiec kanadyjski, parę niekochanych drzew owocowych. Wszystkie oznaczone do ścięcia, wszystkie nagle zniknęły.

Cichutki głos w mojej głowie, którego nie mogę uciszyć, szepta, że to może być moja wina. Może każde z tych drzew znika, bo w środku nocy zmieniają się w lustrzane szkło. Może rozpadają się na tyle kawałków, co lustrzana róża na asfalcie parkingu, więc rano nie ma po nich ani śladu prócz smużki srebra w powietrzu czy lekkiego wgniecenia na trawie.

– A co ich to obchodzi? – spytała tía. – Drzewo i tak miało zostać ścięte.

Pilar kręci głową nad ciastem.

– Ludzie chcą tracić rzeczy na własnych warunkach, nie pod osłoną nocy. Plus potem mają chaos na trawniku. A Kalifornijczycy kochają zadbane trawniki.

– ¿*Mi opinión?* – Ciocia patrzy na nas, jakby prosiła o pozwolenie, żeby wyrazić swoje zdanie, ale wcale nie prosi. – Coś tu jest nie tak. *Las golondrinas*³⁵ są niespokojne. Słysząc po tym, jak trzepoczą skrzydłami.

– To nie *las golondrinas*. – Pilar ugniata ciasto. – To ten głupi program w telewizji.

Ma na myśli program o renowacjach, który kręcili kilka przecznic na północ stąd na początku tego roku. Producenci zlecili wycinkę drzew, których miejsce zajęły rolki trawy i wymuskane ganki, a kilkanaście domów w sąsiedztwie już próbowało to skopiować. Ta estetyka wymaga, by wszystko było przystrzyżone i wypielęgnowane do ostatniego listka – nie zostawia miejsca na piękne, powykręcane korzenie czy stare, powyginane gałęzie.

– Ludzie chcą wycinać drzewa przez telewizję – twierdzi ciocia. – To nie wyjaśnia jednak, dlaczego drzewa znikają w nocy. – Zagląda do książki zamówień, jakby tam miała znaleźć odpowiedź. – Coś tu nie gra.

– Od kiedy z ciebie taka przesądna *viejita*³⁶? – rzuca Pilar.

– I to mówi kobieta, która kazała córkom chować stopy podczas zamywania, dopóki nie powychodzą za mąż.

– A teraz wszystkie mają mężów, więc kto miał rację?

Chcę dalej zmywać naczynia i słuchać, co jeszcze Pilar powie tii o drzewach, ale w progu pastelerii słyszeć kroki.

Ścisła mnie w gardle.

Brigid Marchand i Victoria Kinkopf wchodzi pierwsze. PJ Delahooke i Chris Bernard wtaczają się za nimi, a ich kroki zagłusza dźwięk dzwonka.

Wiedziała, że zobaczy ich w szkole. Ale ich widok tu, w mojej rodzinnej pastelerii, którą bisabuela wyśniła tyle lat temu, boli prawie tak, jakby przyszli do mojego domu. Chris i PJ już wcześniej przychodzili po kawę dla siebie i tych dwóch dziewczyn, z którymi ciągle się schodzą i rozchodzą, ale nigdy nie zjawili się całą czwórką naraz.

– Zajmę się tym – mówię. Nie chcę, żeby tía miała z nimi do czynienia. Chris i PJ zawsze mówią do niej za głośno i przesadnie wyraźnie. Tłumaczyłam im, że mówi po angielsku lepiej niż oni, ale się poddałam.

Chris trąca PJ-a łokciem.

– Ale się wczoraj najebałeś.

– Ja? – PJ mu oddaje. – Ty próbowałeś prowadzić auto starego z bagażnika.

Śmieją się tak samo jak wtedy w pokoju i przez sekundę jestem pewna, że zwymiotuję na ladę.

Ściska mnie w dołku na samą myśl, że któryś z nich miałby prowadzić.

Kiwają głowami na powitanie. Nie widzą, że się wzdrygam. Albo nie przejmują się tamtym wieczorem, albo byli zbyt pijani i nie pamiętają.

– Cztery kawy i cztery najtłustsze ciastka, jakie macie – rzuca Victoria. – Musimy postawić naszych mózgowców na nogi.

Kręci głową z udawaną dezaprobatą, którą mam z nią podzielać, jakbyśmy się przyjaźniły. Jakby przez nią w aucie mojej mamy nie wylądował wrak człowieka.

Nabijam cztery kawy i cztery *buñuelos de viento*³⁷.

Victoria podaje mi pieniądze. Kiedy chcę wydać jej resztę, podnosi dłoń, żeby mnie powstrzymać.

– Zatrzymaj resztę. – Wskazuje moją twarz i kreśli koło palcem. – Na korektor.

– Tak, wyglądasz na zmęczoną – potwierdza Brigid i rusza za Victorią. Chłopaki idą za nimi.

– Hej, Cristales. – Chris obraca się i wskazuje brodą na parking. – Chcesz się przejechać?

– Nie na tobie – mówi PJ i śmieje się z własnego żartu tak dziko, że nie zauważa, jak Victoria przewraca oczami. Chris go popycha i PJ się zatacza, żeby złapać równowagę, ale nadal się śmieje.

Żar pali mi gardło, serce, żołądek.

Nie patrzę, jak odjeżdżają. Poprawiam *pasteles* w witrynie, by jak najlepiej wyeksponować róż lukrowych różyczek, błysk dżemu morelowego, łagodną zieleń pistacjowego *mazapán*³⁸. Udaję, że nie słyszę ich śmiechu – dźwięku, który nawiedza moje sny, głośny i szorstki jak płomień trawiący papier.

31 Bułeczki kształtem przypominające kukurydzę.

32 Płaczka, patronka wojny i kobiet zmarłych podczas porodu, zjawa, która przynosi nieszczęście i złe nowiny.

33 Naprawdę?

34 Wpadli w szal.

35 Jaskółki.

36 Starsza pani, staruszka.

37 Meksykańskie ciastka smażone w głębokim tłuszczu i obtaczane w cukrze, mają charakterystyczny kwiatowy kształt.

38 Marcepan.

KOMITET POWITALNY

Za każdym razem, gdy przekręcam się w łóżku, mam wrażenie, że gram na cymbałkach.

Nie wiem, co poszło nie tak, kiedy składałam to łóżko. To jedno z tych, które mają drewniany stelaż zamiast podkładki ze sprężynami. Można by pomyśleć, że nie da się tego schrzanić, a jednak mnie się udało.

Rodzice czasami pytają mnie o hałas, kiedy rano przechodzą obok mojego pokoju. Ale powiedziałam im, że lubię ten dźwięk, jest kojący, jak wbudowane dzwonki wietrzne, choć tak naprawdę cholernie mnie irytuje.

Mogłabym poprosić ich o pomoc. Nie byłby to ich pierwszy mebel z Ikei. Ale jeśli rozłożą moje łóżko, by zobaczyć, co jest nie tak, na pewno odkryją, co jest nie tak ze mną. Odsuną materac i po prostu to zobaczą.

Dlatego nauczyłam się spać mimo cymbałków. Chyba że mam sny, które miałam przez całe lato. Koszmary o zimnej wodzie, o moim ciele z sopli lodu albo z *pan dulce* rozrywanych przez zachłanne dłonie. Jestem krucha jak świeży lód, rozpadam się na cukier i mąkę, jestem tylko czymś, co można zamrozić lub zjeść.

Nagle się budzę, z trudem łapiąc powietrze, jakbym wynurzyła się spod wody.

Łóżko znów jęczy, kiedy wstaję. Ubieram się do szkoły. Wkładam spódniczkę od mundurka. Każą nam prasować koszule (piszą o tym w regulaminie), ale ja tylko wrzucam swoje do suszarki i wieszam. Sweterek w kolorze fioletu Astin zawsze wygląda dobrze na tle brązowej skóry Jess, ale nigdy na mojej – nie dałoby się wybrać odcienia, który lepiej podkreśla moje cienie pod oczami.

Rodzice są na dole, ekspres robi kawę. Słyszę ich kroki na nierównych kafelkach w kuchni.

Przez okno w przedpokoju widzę białą lagerstremię po drugiej stronie ulicy – właśnie tego potrzebuję, by odwrócić uwagę od myśli, że będę musiała przejść szkolnym korytarzem. Drobne blade kwiaty wyglądają jak gwiazdy na tle jesiennego błękitu nieba. Odkąd pierwszy raz zobaczyłam, jak kwitnie, miałam ją za śnieżne drzewo. McKinleyowie – poprzedni właściciele tamtego domu – kochali ją tak samo jak ja. Ich wnuki biegały pod gałęziami, a kwiaty spadały im na głowy jak płatki śniegu.

Schodząc po schodach, słyszę głos mojej mamy.

– Nic jej nie jest – mówi półszepem.

– Coś jej jest – protestuje tata.

Zamieram w bezruchu, jakby mogli widzieć mnie przez ściany.

– Po prostu jest zestresowana – twierdzi mama.

– To przez tę szkołę? Nigdy mi się nie podobało, że wywierają na nich taką presję. Nie widzą w niej uczennicy, tylko wykaz ocen.

Podnosi głos, więc mama go ucisza.

Szkoła. To ich teoria. Nie poprawiałam ich całe lato i nie zamierzam tego robić teraz.

– Nie możemy zostawić jej samej – dodaje ciszej tata.

– Nie możemy zostać w domu w naszą dwudziestą rocznicę – upiera się mama. – Będzie wiedziała, że się o nią martwimy.

– Bo się martwimy. – Słyszę, że tata stara się nie podnosić głosu.

Supel w moim żołądku się zacieśnia.

Ich dwudziesta rocznica.

Nie mogą na poważnie rozważać odwołania wyjazdu. Planowali go od zeszłej Gwiazdki, oszczędzali, odkąd zaczęłam liceum. Od lat mówili o wyjeździe do Nowego Meksyku, o festiwalu balonów – setkach jasnych, kolorowych punkcików na tle niemożliwego błękitu pustynnego nieba.

Wyobrażam sobie, jak ze wszystkich balonów ulatuje powietrze, bo zdaniem rodziców jestem zbyt krucha, żeby zostawić mnie samą na dziesięć dni.

W pastelerii napełniam kubki na wynos kawą, pakuję *pan dulce* do papierowych torebek – działam szybko, schludnie i wydajnie w ramach przeprosin za to, że nie jestem już *La Bruja de los Pasteles* – aż tía wygania mnie tylnymi drzwiami.

– Spóznisz się, *mija* – rzuca.

Dopowiadam sobie słowa, których nie mówi, których nigdy by nie powiedziała.

„I tak nie jesteś nawet w połowie tak przydatna jak kiedyś”.

Idę do szkoły drogą, która zahacza o koryto rzeki. To tam, wśród chmury maków i szalwiowych traw, bawiłam się z kuzynkami, zanim dorosły i przeprowadziły się do Loz Feliz czy San Bernardino. To tam Jess uczyła mnie o machorce i o stojących wodach, mętnych jak agat, znanych jako baseny wiosenne.

Na myśl o powrocie do szkoły bez Jess, bez bańki życzliwości, w której żyłam jako jej najlepsza przyjaciółka, dudni mi w uszach. Strach przed stawieniem czoła temu, co według wszystkich wydarzyło się na tamtej imprezie – wiem, co ludzie mówią, wiem, że ich zdaniem weszłam do tamtego pokoju roześmiana, chętna – przypomina huk burzy w oddali.

Przetrząsam torbę w poszukiwaniu kartki, na której zapisałam numer szafki, dzięki czemu wchodzę do budynku, nie nawiązując kontaktu wzrokowego.

– Hej, Ciela. – Andie Granville macha na powitanie, ale mija mnie szybko i ostrożnie, jakbym miała u nogi warczącego psa. Minutę później to samo robi jej brat Anthony, geniusz sztuki wizualnej, który uczył mnie i Jess, jak robić zdjęcia, żeby złapać tęczę.

Te powitania towarzyszą mi przez całą długość korytarza. „Hej, Ciela”. „Cześć, Ciela”. Każde jest dowodem na to, że Jess i ja zawsze dryfowałyśmy od stołu do stołu, od ławki do trybun, *hermanas*, które nie przysięgały wierności żadnej konkretnej grupie, więc były mile widziane w każdej.

Tyle że teraz powitaniom towarzyszą ostrożne spojrzenia.

Znam plotki o tamtym wieczorze. Wiem, co ludzie myślą: że obciągnęłam PJ-owi Delahooke’owi albo pieprzyłam się z Chrisem Bernardem, albo na odwrót, albo i jedno, i drugie. To odstraszyło znajomych, którzy w tym roku potencjalnie mogli zostać moimi przyjaciółmi. Nie dlatego, że uważają mnie za dziwkę, ale dlatego, że ich zdaniem stanęłam po stronie chłopaków, którzy wyzywają ich od grubych i brzydkich, których dziewczyny wyzywają ich od głupich i biednych.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, jak dużym ryzykiem było przyjaźnienie się tylko z jedną osobą, z którą zawsze jadałam lunch

i siedziałam na każdym apelu. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo liczyłam na to, że po jej odejściu znajdę sobie inne miejsce do zakończenia szkoły – inny stół, inną grupkę na schodach przed biblioteką.

Dotąd nie brałam pod uwagę, że wszystkie osoby, przy których mogłabym znaleźć to miejsce, nagle się ode mnie odsuną.

Wciąż szykuję się na to, że usłyszę słowa „dziwka” i „kurwa” zatuszowane udawanym kaszlem. Kiedy otwieram szafkę, spodziewam się znaleźć obrzydliwe artystyczne wizualizacje aktów, które rzekomo popełniłam z własnej woli. Ale wszyscy omijają mnie szerokim łukiem. Wybałuszają oczy, zamiast mrozić wzrokiem. To nie szacunek, raczej strach. Spojrzenie pod tytułem „Kto by pomyślał, że jest do tego zdolna”. Niepewna cześć oddawana komuś, kto niespodziewanie okazał się dziwką.

Niech będzie. Mogą myśleć, że poszłam do pokoju z PJ-em i Chrisem z własnej woli. Byle tylko nie poznali prawdy.

Skrećam za róg przy salach od historii i nagle hamuję tak gwałtownie, że moje trampki ślizgają się po linoleum.

Przez sekundę myślę, że go sobie uroiłam, chłopaka, którego ostatni raz widziałam na izbie przyjęć, kiedy przekazywałam go pielęgniarce. Chłopaka, który żyje jak cień głęboko w moich koszmarach. Którego bez przerwy wyobrażam sobie następnego ranka, budzącego się w szpitalnym łóżku i znajdującego na sobie ślad nieznannej szminki.

Nadal nie jest wysoki, ale wyższy. Nabrał trochę masy przez lato. Trądzik ustąpił, choć wciąż widać, gdzie dokuczał mu najbardziej. Blizny przyciemniają mu żuchwę jak świeży zarost. Zamiast flaneli w kratę i jeansów, które rozbawiły Victorię do rozpuku na imprezie – „Tylko lesbijki i Meksykanie noszą flanelę w kratę”, powiedziała przy mnie i Jess, po czym rzuciła nam spojrzenie w stylu „bez urazy” – ma na

sobie mundurek Astin. Spodnie khaki. Koszulę z kołnierzykiem. Ciemnofioletowy sweter z wyhaftowanym godłem szkoły.

Szukam tego, co się nie zmieniło. To, jak stoi wyprostowany, ale z pochyloną głową. Perłowe włosy opadające na twarz. Brązowe oczy wpatrujące się w środkową szafkę.

Środkową szafkę pokrytą plastikowymi kwadratami.

Jest nimi upstrzona – tyłoma różnokolorowymi kwadratami przyklejonymi do metalu, że chłopak nie może nawet wpisać szyfru i przekręcić zamka. Wygląda jak okropna imitacja szafek, które dziewczyny dekorują papierem foliowym i wstążkami w swoje urodziny.

Już chcę podejść krok bliżej i coś powiedzieć – nie mam pojęcia co, ale liczę, że wymyślę to w ciągu kilku sekund – kiedy z pustej sali dochodzi śmiech PJ-a i Chrisa.

Zamieram w bezruchu.

Stoję tam, gdy chłopak, którego imienia nadal nie znam, odkleja od szafki prezerwatywę za prezerwatywą.

BALONOWE ZWIERZĘTA

Co on tu robi? Co on tu robi?” – to pytanie dźwięczy mi w głowie. Odbija się od wszystkiego, o czym od miesiący usiłowałam nie myśleć. Tamtej nocy. Tych okropnych minut, gdy on cierpiał w jednym pokoju, a ja w drugim.

– Cristales Graciela – mówi pani Vanderlinden z irytacją, która każe mi się domyślić, że wyczytuje mnie drugi raz. Podnoszę wolną rękę, żeby potwierdzić swoją obecność, a drugą otwieram podręcznik.

Brigid Marchand obraca się na krześle. Nie patrzy na mnie. Nie tak, żebym zauważyła. Raczej zerka w moją stronę, a potem w stronę swoich przyjaciółek i szepcze coś, czego nie mogę dosłyszeć.

– To nie ja chciałam się z nią przyjaźnić w zeszłym roku, tylko ty – rzuca jedna z nich. Nie widzę która.

– Nieprawda – protestuje Brigid. – To była Vic.

– To znaczy, że jest miłsza od ciebie – stwierdza jeszcze inna.

– Jestem miła – odcina się Brigid. – Na tyle miła, że powiem ci, jak gównianie przykleiłaś sobie rzęsy.

– Nie wyrażać się – upomina pani Vanderlinden, nie podnosząc wzroku. Dalej sprawdza listę. – Thomas Lock.

To nazwisko zwraca moją uwagę. Nie znam go. W tak małej szkole nowe osoby zawsze się wyróżniają.

Pani Vanderlinden się powtarza. Tym razem w jej głosie słysząc zniecierpliwienie.

– Tutaj. – Chłopak wchodzi do sali w chwili, gdy nauczycielka już chce wstawić mu nieobecność.

Obracam głowę i widzę, jak siada w ławce w tylnym rzędzie.

Ołówek wyslizguje mi się z palców.

Oczywiście ławka obok mnie jest jedną z niewielu wolnych.

Zajmując miejsce, nieznacznie kiwa głową – to może być zwyczajne powitanie albo znak rozpoznania.

Czy on mnie pamięta?

Nieemożliwe. Cokolwiek mu dosypali, zważyło go z nóg do tego stopnia, że wątpię, by pamiętał choćby kaktusową zieleni auta mojej mamy.

Jasne, rozmawialiśmy na początku imprezy, kiedy za większość gości robiły miski chipsów, nieotwarte butelki z napojami i te głupki wśród nas, które jeszcze się nie nauczyły, że na imprezę należy przychodzić godzinę po planowym rozpoczęciu.

Chłopak – Lock – rozpinając kieszeń plecaka. Ze środka wysypuje się jakieś dwadzieścia prezerwatyw.

Brigid znów wybucha śmiechem. Przyjaciółki jej wtórują. Wiedzą, że Brigid zajmie miejsce Victorii, gdy ta skończy szkołę. Swym śmiechem okazują jej szacunek, tak jak za dzieciaka okazywałyśmy szacunek nauczycielce ukłonem pod koniec lekcji baletu.

Pani Vanderlinden kończy sprawdzać listę, a we mnie wzbiera wściekłość.

Nawet jeśli to nie Brigid wrzuciła mu prezerwatywy do plecaka, brała udział w tym żarcie. W żarcie, który nawet nie ma sensu. Brigid

i Victoria nie założyły Lockowi prezerwatywy, nie miałyby śladów szminki tam, gdzie miał, gdyby to zrobiły. A PJ i Chris nawet nie mieli przy sobie prezerwatyw. „Daj spokój – upierali się – nie potrzebujesz tego, to nawet nie jest seks, to się nie liczy”.

Lock się rumieni, gdy próbuje zebrać prezerwatywy do plecaka.

Napina szczękę i mięśnie wokół oczu.

Nie. Nie może się teraz rozplakać.

Nie winię go. Pewnie wykorzystał całą silną wolę na ściąganie prezerwatyw z szafki na oczach połowy trzeciej klasy. Ale jeśli rozplacze się teraz, pierwszego dnia, mleko się rozleje. Zobaczą, że mogą mu zejść za skórę. Nigdy nie zostawią go w spokoju.

Ciepły dreszcz rwie moje biodro, dokładnie tam, gdzie mam swój jedyny tatuaż. *El escaramujo*, owoc dzikiej róży. Wytatuowałam go sobie na piętnaste urodziny na cześć bisabueli, która podjadała owoce dzikiej róży jak landrynki.

Teraz kłuje mnie trochę jak igły szkicujące czarne kontury i wypełniające środek koralem oraz bladym fioletem. Te piekące wibracje szumią wewnątrz mnie.

Gdyby tamtego wieczoru gdziekolwiek były prezerwatywy, nie wiem, czy potrafiłabym zrobić to, co robię potem. Ale zanim zdążę się rozmyślić, podnoszę plastikowy kwadrat, rozrywam opakowanie i nadmuchuję prezerwatywę, jak to kiedyś robiłyśmy z Jess z darmowymi prezerwatywami, które rozdawali na paradzie równości.

Puchnie, blada i półprzezroczysta – wygląda jak plastikowe białe kule, na których pan Milner uczył nas faz księżycy.

Moja taktyka działa.

Lock Thomas zapada się na krześle, powstrzymując śmiech.

Zawiązuję balon. Pozwalam, by chwilę się poodbijał i osiadł na ławce Locka.

Potem patrzę przed siebie, przygryzając wargę.

Pół tego lata próbowałam odzyskać lekki, zalotny śmiech, który kiedyś przychodził mi tak łatwo jak przeciągnięcie lakierem po paznokciach. Zrobiłam z tego grę, chodziłam na jedną randkę po drugiej. Byłam na tylu randkach, że gdyby każdą uznać za koralik, miałabym całą bransoletkę. Jedna dziewczyna pokazała mi swoje ilustracje lisów i jeży. Jeden chłopak za moją namową zadzwonił do chłopaka, który naprawdę mu się podobał. Jedno niebinarne ucznie z pierwszej klasy znało tysiąc faktów o historii języka i opowiedziało mi ciekawostkę o fińskim i węgierskim, która niestety wyleciała mi z głowy. Za każdym razem, gdy któreś próbowało mnie przytulić (artystka) albo podać mi rękę (językoznawcze) bądź przypadkiem dotknęło mojego ramienia (kochaś), wzdrygałam się, jakby razili mnie prądem.

W większości byli to ludzie, z którymi chętnie bym się zaprzyjaźniła, ale którym nie mogłam dać się rozśmieszyć ani dotknąć.

Ale teraz jakimś cudem rozśmieszyłam kogoś innego.

Na szelest plastiku zerkam za siebie. Teraz Lock rozrywa opakowanie. Z cichym świstem nadmuchuje prezerwatywę. Nadyma się o wiele szybciej niż moja, w zaledwie sekundę puchnie w komicznie wielką kulę.

Teraz to ja się zapadam, łopatki mam prawie pod oparciem, zaciskam wargi tak mocno, że czuję swoje tętno. Drzę z wysiłku, żeby nie roześmiać się na głos i nie zwrócić uwagi pani Vanderlinden.

Chłopak pozwala, by balon przykleił mu się do ławki.

Spoglądam na niego. Nie widzę napięcia na jego twarzy, błysku w oku, który ostrzegałby, że nadal może się rozpłakać. Przechyla głowę,

prawie jakby rzucał mi wyzwanie.

Sięgam po kolejne opakowanie i nadmuchuję nowego balona, podejmując rękawicę.

Mamy pięć balonów przyklejonych do ławek i Lock zabiera się do szóstego, ale pani Vanderlinden to zauważa.

– Zostawmy balonowe zwierzęta na lekcje fizyki, dobrze? – mówi bardziej znużonym niż surowym tonem.

Lock wyciąga coś, co wygląda jak błyszczący niebieski ołówek, i nie odrywając wzroku od pani Vanderlinden, przebija każdy balon.

Nauczycielka wzdycha i obraca się do tablicy.

Brigid i jej przyjaciółki zaczynają rozmawiać szeptem. Nie słyszę, co mówią. Co kilka sekund jedna z nich zerka na Locka, bardziej z zainteresowaniem niż kpiąco.

Pani Vanderlinden wraca do objaśniania sylabusa, a ja znów słyszę szelest plastiku.

Tym razem nie dmucha balona z prezerwatywy.

Tym razem rzuca na ławkę zapinaną torebkę z czymś puszystym i okrągłym w środku.

To włóczka.

Kłębek niebieskiej włóczki.

Lock zaczepia koniec wokół błyszczącego ołówka. Dopiero kiedy nim macha i robi kilka pętelek, zdaję sobie sprawę, że to nie ołówek, lecz szydełko.

Przebiera palcami w tę i z powrotem. W czasie, gdy pani Vanderlinden omawia jeden podpunkt, on dzierga sznur ściągów na długość przedramienia.

Lock Thomas, chłopak, szydełkuje. Na lekcji. Tak, że każdy może zobaczyć.

Ale on nie sprawdza, czy ktoś patrzy. Spogląda tylko na włóczkę i na tablicę. Dzierga kolejne oczka, słuchając pani Vanderlinden.

Kiedy nauczycielka przechodzi do rzeczy na tyle istotnych, że trzeba wyciągnąć długopis, Lock odkłada szydełko.

Przysuwa zeszyt jak najbliżej mnie, wciąż pozostając w ławce, i w prawym górnym rogu – chyba po to, żeby się przedstawić – pisze imię, które słyszałam wcześniej. Lock. Schludne pismo, drukowane litery, pierwsza trochę większa niż pozostałe.

Wyciągam rękę i tuż pod jego imieniem zapisuję swoje.

Nie przychodzi mi do głowy, że Brigid albo któraś z jej przyjaciółek mogą to zauważyć. Wpadam na to dopiero później, kiedy otwieram szafkę, a ze środka wysypują się garście prezerwatyw.

GALLINA

Kiedy opowiadam o tym Jess, moja przyjaciółka bezgłośnie krzyczy z zachwytu.

– Chłopak, z którym gadałaś na imprezie? – Znacząco unosi idealnie wyregulowaną brew.

Uciszam ją.

– Nie. Żadnej brwi. To nie jest sytuacja na brew.

Spinam się na wzmiankę o imprezie, ale odpędzam to uczucie. To nie jej wina. Nie zdaje sobie sprawy, że zniknęłam z imprezy mniej więcej wtedy, kiedy PJ i Chris poszli na górę, a Lock zniknął w tym samym czasie co Brigid i Victoria.

– Wiesz, że mam rację – upiera się Jess. – Nie widziałam cię takiej, od kiedy Amber Lewis wzięła ślub.

Rumienię się na to wspomnienie, na mój crush do środkowej córki rodziny z naszej ulicy. W dniu, w którym moi rodzice dostali śnieżnobiałą kopertę z zaproszeniem na jej wesele, to Jess przysłała mnie pocieszać z kubłem tęczowego sorbetu i kolekcją naszych ulubionych filmów.

Chciałabym wiedzieć, jak przekazać Jess, że jeśli szansa na coś między mną a Lockiem kiedykolwiek istniała, to prysnęła w tamtych dwóch pokojach.

Fajny chłopak z imprezy stał się echem najgorszej nocy mojego życia – i jego życia pewnie też.

Jess wydaje resztę klientowi, a ja uzupełniam zapasy *polvorones*. Obie rzucamy „dziękuję” na pożegnanie.

– Więc co zrobił nasz chłopak w koszuli w kratę, że stracił twoją przychyłność? – pyta Jess. – Mężczyźni są rozczarowujący, prawda?

– Nic nie zrobił – odpowiadam. – Po prostu nie spodziewałam się spotkać go na lekcji historii. Nawet nie wiedziałam, że chodzi do naszej szkoły.

Jess wzdycha, jakby traciła cierpliwość.

– Nosi niemarkowe spodnie od mundurka?

Nie pomyślałam o tym, bo mama szyje mi szkolne spódniczki na starej maszynie abueli, więc zawsze są o jeden czy dwa tony ciemniejsze niż u reszty, ale teraz, kiedy Jess o tym wspomina, przypominam sobie, że spodnie Locka też, co oznacza, że nie kupuje nic, czego nie musi, z oficjalnie zatwierdzonej przez Astin firmy szyjącej mundurki – z jej absurdalnymi marzami – tak samo jak ja.

– Tak – potwierdzam.

– Ma używane książki? – drąży.

– Tak. – Uświadamiam to sobie, gdy odpowiadam. Rogi ma tak samo lekko podwinięte jak moje.

– Ma stypendium – ciągnie Jess. – Tak jak ty, tak jak wcześniej ja. Tylko zgaduję, że pełne, bo inaczej po co prznosiłby się aż tutaj?

Wszystko składa się w całość.

To, że zeszłej wiosny przyjechał z Lancaster albo z księżycyca. Podanie i wyniki testów pewnie przekonały szkołę, że go chce, a wycieczka po

pięknych salach, lśniących laboratoriach i nieskazitelnych boiskach miała przekonać jego, że on chce ją.

Co oznacza, że był na imprezie, bo przyjechał obejrzyć szkołę, i mimo wszystko postanowił się tu przenieść, przyjmując stypendium i skorzystać ze wszystkiego, co Astin miało mu do zaoferowania.

Do pastelerii wchodzi jakaś blondynka – studentka albo doktorantka. Niesie szmaccianą torbę pełną książek.

Patrzę na nią przez sekundę, ale znów czuję to klucie w biodrze.

Tym razem niesie ze sobą coś innego. Myśl o cukrze pudrze, wanilii, cynamonie, cieście wypieczonym tak, by utrzymać wtłoczony do środka krem.

Jest kimś zauroczona. Wanilia i cukier puder mogą otworzyć jej serce na tyle, by sobie to uświadomiła, o ile jeszcze tego nie zrobiła. Cynamon doda jej odwagi, żeby wziąć sprawy w swoje ręce.

Na zapleczu piszczy jeden z piekarników.

Nachylam się do Jess.

– Dla niej będzie gallina. Chce jej, nawet jeśli o tym nie wie.

Jess na mnie patrzy.

– Co powiedziałaś? – pyta cicho. Nie mruga ani nie unosi brwi.

– Gallina. – Wskazuję gablotę. – No wiesz, taka okrągła, z cukrem pudrem, co wygląda jak kurczątko.

Wybałusza oczy.

Coś we mnie szumi i wibruje, jak żarnik budzący się do życia.

Nagle zaczynam rozumieć.

Czy właśnie zrobiłam coś, czego nie robiłam od miesięcy?

Jess posyła dziewczynie swój najlepszy uśmiech i proponuje gallinę, a dziewczyna rzuca:

– Jasne, czemu nie.

Gdy wychodzi, unosi papierową torebkę do twarzy i wącha aromat wanilii i kremu. Wzdycha z ulgą, jakby coś się w niej postanowiło.

Jess czeka, aż dziewczyna zniknie, a potem znów wbija we mnie wzrok.

– Czy ty właśnie... – Nawet nie kończy pytania. Zastanawiam się nad tym samym.

Czy właśnie na kogoś spojrzałam i wiedziałam, czego chce, zanim ten ktoś sam to wiedział?

LAS ALVERJILLAS

Przed wejściem do domu przystaję przed grządką delikatnych, bujnych *alverjillas*³⁹. Udaję, że je wącham, a tak naprawdę zrywam kwiaty, które obróciły się w lustrzane szkło, i wsuwam je do przedniej kieszeni bluzy.

W środku podskakuję ze strachu przed drzwiami swojego pokoju.

– Mamo – mówię tonem takim jak wtedy, gdy po raz pierwszy przyłapała mnie na kanapie z Jess.

Trzymam obie ręce w kieszeniach bluzy, lustrzane płatki są chłodne.

Mój wzrok wędruje w stronę szafy. Nic nie wskazuje na to, że mama ją otwierała. Zazwyczaj nie grzebie mi w rzeczach bez pytania, ale naprawdę powinnam zrobić większy bałagan, żeby temu zapobiec.

– Musisz tu przewietrzyć. – Otwiera okno. – Śmierdzi płynem do mycia szyb i tym paskudnym żelem pod prysznic, który dostałaś od ojca.

– Ma pachnieć jak ocean.

Otwiera okno do końca.

– Pachnie jak odświeżacz powietrza do samochodu. – Pokazuje dziurę w moskitierze. – Trzeba to wymienić.

– Nie trzeba – zbywam ją. Wszystko, byle się jej pozbyć. – Zakleję taśmą.

– *Con clase*⁴⁰ – stwierdza, wychodząc. – Chodź, pomożesz mi z obiadem.

– Zaraz – rzucam, ostentacyjnie odkładając na podłogę torbę z książkami, żeby myślała, że muszę zerknąć na pracę domową.

Kiedy słyszę ją na dole schodów, zamykam drzwi.

Otwieram szafę, by schować *alverjillas* z całą resztą. Mrużę oczy i szukam znajomych krawędzi, liści i *papel picado* w kolorze szkła r tęciowego. Ale ich nie znajduję. Wnętrze szafy się mieni. Lśni srebrnym pyłem.

Zanim pojmuję, na co patrzę – przedmioty, które rozpadły się na kawałki – wiatr z okna dociera do szafy i porywa lśniąca smugę roztrzaskanych okruchów.

– Nie – mówię i zamykam szafę.

Ale już za późno.

Gonię smugę do okna, jest jednak zbyt szybka. Wstęga powietrza iskrząca się jak igielki szronu ulatuje przez dziurę w moskitierze.

– Nie! – wołam za nią.

Próbuję odsunąć moskitierę, lecz odłamki szkła już fruną w świat. Wyglądają jak migoczący śnieg. Tańczą na dachach, srebrne na tle błękitu nieba.

– Ciela? – upomina się mama z dołu.

– Idę! – krzyczę zza zamkniętych drzwi, modląc się, by odłamki nie ukłuły nikogo tak jak mnie.

³⁹ Groszek pachnący.

⁴⁰ Stylowo.

KAŻDA CHWIŁA ZOSTAJE Z NAMI

Budzi mnie skrzywienie zawiasów. Plama szarego poranka wpada do pokoju z korytarza.

– Ubieraj się – mówi ojciec głosem o wiele zbyt rześkim na tę porę.

Podnoszę się i mrugam, stelaż łóżka trzeszczy.

– Mam szkołę.

– Zawiozę cię na czas. – Wchodzi do środka i widzę, że ma na sobie garnitur. – Tylko zarzuć coś ciepłego na mundurek.

Przecieram kąciki oczu i z przyzwyczajenia sprawdzam, czy na opuszkach nie zostały srebrne plamki, choć wiem, że odłamek lustra jest już zbyt głęboko, by się go pozbyć.

Przygniata mnie ciężar wspomnień z poprzedniego dnia, małych okruchów tańczących w powietrzu jak śnieg.

Zerkam na zegarek.

– Muszę pomóc tii w porannych godzinach szczytu.

– Dzwoniłem do niej, nie potrzebuje cię.

– Tato. – Zrzucam kołdrę.

– Co powiesz u kresu swojego życia? – Podaje mi mój ulubiony kubek. Brązowa ceramika rozgrzewa mi dłonie. – „Żałuję, że nie robiłam więcej pracy domowej”?

– U kresu mojego życia? – Odstawiam kubek i wciągam puszyste skarpety. – Co za przyjemna myśl o poranku. Co tam się wydarzyło wczoraj u mamy w telenowelach?

Ignoruje mnie i ciągnie:

– A może... – Siada na krawędzi łóżka, nie zważając na trzeszczenie. – „Żałuję, że nie jeździłam częściej nad morze”?

Próbuję powstrzymać uśmiech, ale nawet w ciemnym pokoju tata go zauważa. Widzę to po jego własnym uśmiechu.

Rozważam jego propozycję, a on to wie. Nie wie tylko dlaczego. Nie wie, że tylko takie poranki jak ten od miesięcy trzymają mnie przy życiu. I nie wie, że w tej chwili potrzebuję czegoś, co pozwoli mi zapomnieć o lustrzanym szkle w szafie, o odłamkach, które wypuściłam w świat.

– Daj mi pięć minut – proszę.

– Ruszamy o świcie – rzuca na odchodne.

Pół godziny później tata i ja stoimy na skałach za instytutem oceanografii, w najlepszym miejscu do oglądania fal. Rozbijają się o ostrą szarość w dole i pryskają jak piana.

– I co, warto było? – pyta tata.

Piana bryzga na nas. Zimny zapach morza wsiąka mi we włosy.

– To zdecydowanie lepsze niż wycieczka na pole golfowe.

– Hej – broni się. – Niektórzy uważają, że golf jest odprężający.

– *Gringos* uważają, że golf jest odprężający. Moim zdaniem o wiele bardziej odprężające od grania w golfa jest niegranie w golfa. –

Spoglądam w dół, na spienioną wodę.

Baseny skalne są niedostępne dla osób spoza instytutu, ale tata kiedyś załatwił nam wycieczkę na dół, bo przyjaźni się z biologiem morskim badającym zasolenie i ukwiał. Te kędzierzawe kulki wyglądały jak zwierzątka domowe dla syren. Ilekroć ryba musnęła ich macki, zamykały się. Wygładzony falą piasek, w którym były zakorzenione, wydawał się najwygodniejszą podłogą na świecie.

Mimo że z góry tego wszystkiego nie widać, za każdym razem, kiedy tata zabiera mnie na skały, myślę o tamtej wycieczce, o biologu morskim, który zaprowadził nas na dół, gdy woda stała prawie nieruchoma, a zachwyty taty unosił się w powietrzu, tak samo namacalny jak mój.

Tata opiera się o balustradę. Mokry metal wilży mu mankiety.

– Słuchaj, *mija*. – Spogląda na szary poranek, białozłote światło przebija zza chmur i pada na horyzont. – Każda chwila naszego życia zostaje z nami. Żyje w nas wiecznie. Na wiele z nich nie mamy wpływu. Więc te, na które mamy, musimy wykorzystać. Tak, żeby to, co żyje w nas, było czymś, z czym chcemy żyć.

Opieram się o balustradę obok niego i skupiam wzrok na odległej plamie światła.

– Zero presji.

Mierzwi mi kucyk. Może i czupryna mu się przerzedza, ale wciąż widać, że włosy odziedziczyłam po nim. Moje są ciemnobrązowe, nie czarne jak u mamy, i bardziej szorstkie. „Przekazałem ci włosy – mówi czasem i przesuwa dłonią po rosnącym łysym placku. – Dosłownie, co?”

Patrzę na niewyraźne sylwetki Cataliny i San Clemente.

Mewy i pelikany latają nad nami w plamach brązu i bieli. Trzepoczą skrzydłami, wiodąc ku nam zapach horyzontu. To nie tylko wosk i brud

ich piór. To wyrazista woń głębokiego morza i dalekiego nieba, woń oceanu, gdy światło przebija przez chmury.

Tata podjeżdża pod szkołę trzy minuty przed dzwonkiem. Nigdy nie prosiłam jego ani mamy, żeby podwozili mnie pół przecznicy dalej, jak to robiła Brigid, zanim dostała samochód. Może i nie zawsze lubię moich rodziców, ale jeśli ktoś ich nie polubi, to nie polubi też mnie, więc nigdy nie widziałam sensu w ukrywaniu ich.

Zamykam drzwi od strony pasażera.

– Jedź podbić świat – rzucam przez otwarte okno.

Tata się śmieje.

– Tak, z mojej kolekcji tabel aktuarialnych powstanie imperium. – Znów się śmieje, tym razem jak czarny charakter z filmu, tak złowieszczo, że kilka osób z mojej klasy się gapi. Niektóre z niego szydzą. Jedna pierwszoklasistka się uśmiecha, jakby w życiu nie widziała nic lepszego.

Macham tacie, gdy odjeżdża.

A potem się w sobie zapadam. Szykuję się na kolejny dzień unikania Victorii, Brigid, PJ-a i Chrisa. Czterech osób, które stały się dla mnie całą szkołą, bo to one były w tych dwóch pokojach. Kiedy forsuję prawe skrzydło podwójnych drzwi, korytarze wibrują z jedną częstotliwością, tak jak to się dzieje wtedy, kiedy wszyscy rozmawiają o tym samym.

W pobliżu szafek ruch jest niewielki. Idę tam, gdzie się zagęszcza. Tłum stoi w korytarzu prowadzącym do sali gimnastycznej. Drzwi męskiej szatni są otwarte.

Ściska mnie w żołądku. Jeszcze nie wiem czemu, wiem tylko, że w szatniach rzadko dzieje się coś dobrego.

Wszyscy, którzy mogą, tłoczą się wokół tych drzwi. Przepycham się najbliżej, jak to możliwe, wdzięczna za szerokość moich bioder i za plotki, przez które ludzie się ode mnie odsuwają.

Od drzwi wciąż dzieli mnie kilka rzędów, ale hamuję na widok nadmuchanego lateksu.

Balony z prezerwatyw, setki balonów, dryfują po pustej szatni. Obijają się o sufit.

Czuję wściekłość pomieszana z nudnościami.

Nie mogli odpuścić. Nie mają do roboty nic lepszego niż łamanie tego chłopaka.

I to pewnie ja podsunęłam im ten pomysł. Brigid widziała, jak dmuchamy balony na lekcji.

Dyrektor Whitcomb prowadzi Locka Thomasa ścieżką wstydu do swojego gabinetu. Zupełnie niepotrzebny gest, typowy popis Astin.

Dyrektor pewnie chce, żeby Lock ze skruchą zwiesił głowę. On zaś trzyma ręce w kieszeniach, ale nie zwiesza głowy. Nie jest nikomu z nas nic winien i dobrze o tym wie.

Nie potrafię do końca tego sprecyzować, ale jest w nim coś twardego. Jego słodka, spokojna aura zniknęła. Teraz powietrze wokół niego wydaje się poszarpane, niespokojne, jakby zdał sobie sprawę, że świat jest ostrzejszy i brzydszy, niż myślał, i zdenerwował się, że dopiero to zauważył.

Nie wstydzi się ani nawet nie denerwuje; jest zrezygnowany, jakby zrobił, co musiał.

To, że patrzy przed siebie, jest jak środkowy palec, tak dobitny, że prawie mu zazdroszczę. Albo zazdrościłabym, gdyby właśnie nie

docierała do mnie jego głupota. Mdli mnie, jakbym wypła coś gorącego, a zaraz po tym – coś zimnego.

Znów czuję klucie w biodrze.

To nie PJ ani Chris napełnili szatnię prezerwatywami z helem.

To Lock. Bo nie ma pojęcia, co robi.

Może w jego poprzedniej szkole takie coś by przeszło, zostało uznane za żart. Ale w Astin kontrole długości spódniczek były wpisane w harmonogram jak dzwonki. Kiedyś Leah Voss przyniosła do szkoły stary film z Berlina Wschodniego, bo pisała o nim referat, i wezwali ją do dyrektora, żeby upewnić się, czy nie jest indoktrynowana – nie żartuję – „europejskim komunizmem”. Jess i mnie ściągnięto z parkietu na zimowym balu, bo tańczyłyśmy w sposób „niestosowny dla dziewcząt” – to jedna ze stu małych przypominajek, że nasze latynoskie queerowe ciała zawsze będą porównywane z tymi białymi i piegowatymi.

Gdyby PJ albo Chris to zrobili, przeżyliby. Ich rodzice zbudowali laboratoria chemiczne, kupili nowe trybuny, zafundowali nową podłogę na scenie w auli. Od przyszłego roku sala gimnastyczna będzie nosić nazwisko PJ-a. Winny musiałyby wysłuchać podniosłego, stonowanego wykładu o zasadach szkoły, napisać esej będący w połowie przeprosinami, a w połowie moralitetem, i może – może – opublikować go w szkolnej gazetce.

Ale Lock? Chłopak, którego status stypendysty bije z używanych książek, starych butów, krawata kupionego w second handzie i noszonego na pierwszym apelu? (Tego ostatniego pewnie nie zauważył nikt oprócz mnie, ale ja widziałam wystające spod spodu postrzępione nitki). Chłopak, który dla darczyńców istnieje po to, by przypominać im o ich własnej hojności? Ukarzą go dla przykładu, bo miał być rekwizytem na pokaz na imprezach charytatywnych.

Lock pewnie nie wybiegł myślami tak daleko. Prawdopodobnie nawet nie zdawał sobie sprawy, że PJ, Chris, Brigid i Victoria nie muszą przekreślać jego szans w Astin.

Właśnie zmusili go, żeby zrobił to za nich.

Nieznacznie obraca głowę. Nie patrzy na mnie, ale ta zmiana nachylenia wystarczy, bym dostrzegła błysk srebra w kąciku jego oka.

Kłucie w biodrze zamienia się w dotyk suchego lodu, piekący chłód.

Odłamki, które wyfrunęły z mojego pokoju, nie tylko kogoś znalazły – znalazły Locka. Ten błysk srebra utknął w nim tak głęboko, że chłopak stał się głupi i lekkomyślny.

Lustrzane szkło to moja wina. To, że wyfrunęło z mojego pokoju, to moja wina. To, że utknęło w Locku i teraz pewnie zostanie zawieszony, to moja wina.

W głowie rozbrzmiewa mi głos taty: „Każda chwila naszego życia zostaje z nami. Żyje w nas wiecznie”.

Przygniata mnie strach przed odpowiedzialnością. To tak, jakbym sobie przypomniwała, że obiecałam posprzątać w garażu albo pójść z kuzynem na szkolny bal, albo potrzymać gwiazdę w kościelnej szopce. Tylko o wiele, o wiele gorzej.

– A niech cię, tato. – Wzdycham.

Pierwszoklasistka, którą widziałam wcześniej, obraca się w moją stronę.

– Co? – pyta.

Kręcę głową.

– Nic.

Słowa taty i lodowato-gorące rwanie w biodrze pchają mnie naprzód.

Zanim zdążę wziąć pod uwagę, że to naprawdę bardzo zły pomysł, robię to. Ruszam korytarzem za nimi.

ŻADEN DOBRY UCZYNEK

Doganiem ich tuż przed drzwiami gabinetu.
– Panie dyrektorze – mówię i wchodzę za nim.

– Graciela. – Z niepokojem zerka na korytarz. – Louise z przyjemnością umówi cię na spotkanie.

Tłumaczenie: „Jestem zajęty. Wyjdź z mojego gabinetu”.

Lock mruży oczy i mierzy mnie wzrokiem, stojąc między biurkiem dyrektora a regałem z tomiszczami o psychologii dojrzewania.

Jess rozpracowała dyrektora Whitcomba za pierwszym podejściem. Ładny chłopaczek (jej słowa), na pewno przed trzydziestką, nosi garnitury, na jakie żadnego szkolnego administratora nie byłoby stać, jest chodzącą antyreklamą nepotyzmu. Nadal nie wiemy, czyim jest bratankiem, ale wiemy, że pani Anders – albo Louise, jak ją nazywa – byłaby o wiele lepszą dyrektorką niż on. Szkoła jest inna bez Jess – same ostre krawędzie i blask jarzeniówek. I dyrektor, który nigdy mnie nie zauważał, a teraz patrzy prosto na mnie.

Jeszcze mnie nie wyrzucił, więc korzystam z okazji.

– To... – próbuję wydusić. – To nie on to zrobił. – Patrzę na Locka, a potem znów na dyrektora Whitcomba. – Tylko ja.

Dyrektor mi się przygląda. Serce wyrywa mi się z piersi.

– Balony z prezerwatyw – precyzuję, jakby zapomniał. – To ja je nadmuchałam. Ja umieściłam je w szatni.

Lock kręci głową ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Nie, to nie ona.

– Tak, to ja, i mogę to udowodnić. – Nigdy nie sądziłam, że to powiem, ale dziękuję wam, PJ i Chris, i waszym durnym żartom. – Mam prezerwatywy w szafce. Może pan sprawdzić.

– Co ty robisz? – pyta Lock.

Ignoruję go i zwracam się do dyrektora:

– Nie mogę pozwolić, żeby ktoś inny został obarczony winą za coś, co zrobiłam ja – oznajmiam głosem tak poważnym, że dyrektor będzie musiał mi uwierzyć. Nie przesadzam z wyrzutami sumienia ani ze wzburzeniem. Celuję w ostrożny ton kogoś, kto wyznaje grzech i wyzwala duszę. – A zwłaszcza ktoś nowy w naszej szkolnej społeczności.

Ten ostatni tekst nadawałby się do szkolnej broszury. To właśnie on przekonuje dyrektora i każe mu uwierzyć mnie, a nie Lockowi.

– Dlaczego to robisz? – pyta Lock. Ręce go świerzbią, jakby chciał przeczesać włosy palcami albo obciągnąć sweter.

– Właśnie. – Dyrektor znów mnie lustruje. – Dlaczego to zrobiłaś?

– Nie o to mi... – próbuje tłumaczyć Lock.

– Na znak protestu – przerywam mu.

– Przeciwno czemu? – chce wiedzieć dyrektor.

Obaj na mnie patrzą.

Robię się tak czerwona, że muszę wypowiedzieć pierwsze kłamstwo, jakie przychodzi mi do głowy. Mam okres, w torbie nowy zapas

tamponów i podpasek, więc oczywiście mój umysł idzie w tę stronę.

– Przeciwno temu, że dziewczyny muszą chodzić na dwa razy więcej zajęć z edukacji seksualnej niż chłopaki – wypalam.

Dyrektor patrzy to na mnie, to na Locka.

Lock piorunuje mnie wzrokiem.

Nie, nie piorunuje.

Lock Thomas na mnie łypie.

Ja mu pomagam, a on na mnie łypie.

Dyrektor wzdycha, jakby wybrał zły dzień na założenie ulubionego krawata.

– Nie wiem, które z was to zrobiło – zaczyna. – Może oboje. Ale bez względu na to, kto jest sprawcą, chyba wiecie, że w ten sposób nie okazujecie szacunku ani szkole, ani sobie. Dlatego pociągam do odpowiedzialności was oboje. Na początek... – Otwiera drzwi gabinetu. – Razem posprzątajcie ten bałagan.

Prowadzi nas do szatni i otwiera drzwi. Większość balonów nadal odbija się od sufitu. Kilka opadło na podłogę, inne przykleiły się do szafek.

– Co z tobą nie tak? – pytam, gdy tylko dyrektor znika nam z zasięgu słuchu.

Lock wzrusza ramionami.

– Wczoraj po ostatniej lekcji na mojej przedniej szybie leżało jakieś sto prezerwatyw. Pomyślałem, że powinienem coś z nimi zrobić. Przy okazji: dzięki za pomysł.

Wspaniale. Moja próba pomocy jakimś cudem obróciła się w żart, którym drugiego dnia szkoły nagrabił sobie u administracji.

– Więc o co chodzi? – Rozpina plecak. – Potrzebowałam jakiejś nowej pracy społecznej czy coś? – Mruga, a ja dostrzegam w jego oku małą plamkę srebra. Zastanawiam się, czy ją czuje.

Odkładam torbę i w ostatniej chwili postanawiam upuścić ją tak głośno, żeby podkreślić swoje słowa.

– Próbowałam pomóc.

Wyciąga szydełko. Tym razem zielone. Ile on tego ma?

Podchodzę bliżej, żeby go sprowokować, ale zamiast tego czuję się niska.

– Chciał cię zawiesić.

– Za to? – Przebija balon. – Serio?

– Nie masz pojęcia, jak to tu wygląda, prawda?

Kodeks postępowania dyscyplinarnego w Astin nieoficjalnie opiera się na tym, komu szkoła chce dać karę, a komu odpuścić przewinienia. Synowie darczyńców dostają ostrzeżenia, kiedy przyłapie się ich na sprzedaży leków sióstr, ale Jules Kempner została zawieszona na trzy dni za pokazanie koleżankom nagich zdjęć autorstwa jej starszej siostry fotografki. To nie były zdjęcia Jules ani nikogo, kogo znamy – modelki miały po dwadzieścia pięć, trzydzieści lat i nawet nic nie robiły. Tylko leżały na kanapach i wyglądały na znudzone, przeglądały skrzynki z winylami albo rozmawiały przez niepodłączone telefony z tarczą, a to wszystko tylko w czerwonych i zielonych skarpetkach.

Trzy dni za artystyczne fotki. Jules Kempner jest na tym samym częściowym stypendium co ja. Jak surowo potraktują chłopaka na pełnym stypendium za szatnię wypełnioną nadmuchanymi prezerwatywami?

Wskakuję na drewnianą ławkę i chwytam jeden z balonów przyklejonych do ściany.

– Gdybyś pozwolił mi wziąć na siebie winę, obojgu nam uszłoby na sucho. W Astin dziewczyny dostają surowsze kary za przeklinanie i krótkie spódniczki, a chłopaki za żarty i bójki. To był żart. Whitcomb rzuciłby to na PMS.

– A ty byś tego chciała, bo...? – Lock staje na ławce naprzeciwko i przebija balon pod sufitem. – Litujesz się nad nowym uczniem?

Nie nawrzeszczę na niego, nie nawrzeszczę na niego, nie nawrzeszczę na niego. Powtarzam to w myślach i mówię sobie, że to odłamek lustra czyni go zimnym i okrutnym.

Więc tylko stoję. Mrugam. Tkwię między irytacją a świadomością, że przekroczyłam granicę. Na lekcji pani Vanderlinden go rozśmieszyłam. Ale w gabinecie dyrektora Whitcomba weszłam mu w paradę, kiedy pokazywał całej szkole pazury. Próbując go ratować, coś mu odebrałam.

Rozumiem to. Ale to nie znaczy, że nie jestem poirytowana. I nie rozwiązuje problemu to, że przez maleńki odłamek szkła Lock staje się nieostrożny.

– Spełniłaś swój dobry uczynek – cedzi i przebija trzy kolejne balony. – Gratulacje.

PAN FINO

Jakby chciał, żeby go wyrzucili – mówię i zakładam rękawice kuchenne.

Jess zapisuje liczby w inwentarzu. To jedna z wielu rzeczy, które tía w niej uwielbia. Nikt inny lepiej nie upilnuje, kiedy kończą nam się mąka albo *piloncillo*⁴¹.

– Słyszałaś kiedyś o tonącym? – pyta Jess.

Wyciągam z piekarnika blachę *pajaritos* – *pan dulce*, którym nadajemy kształt jaskółek.

– O czym?

Jess dalej zapisuje.

– Ratowanie tonącego jest bardzo niebezpieczne. Tonący młóci rękami, walczy i utrudnia ratującemu zadanie. Ostatecznie często kończy się tak, że oboje umierają.

– Powinnaś uczyć w szkółce niedzielnej – rzucam.

– Mówię poważnie. – Kładzie mi rękę na ramieniu.

Próbuję się nie wzdrygnąć.

– Ratowanie tonącego jest głupie – oznajmia. – Szlachetne, ale głupie.

– Mamy tłum, drogie panie. – Tía zagania nas do przodu. – *Ahora*⁴².

Kiedy podchodzimy do kasy, uderza mnie zapach słodkich drinków. Widocznie restauracje przy ulicy mają happy hour. Zazwyczaj po osiemnastej nie zbierają się u nas takie tłumy.

– Skoro o tonięciu mowa... – Otwieram kilka papierowych torebek, kiedy mężczyźni kaleczą hiszpańskie nazwy czytane z plaketek, a kobiety chwieją się na obcasach. – Jak tam zajęcia?

Jess wzdycha ze znużeniem.

– Będzie dobrze, powiedziałam mamie. Oczywiście, że poradzę sobie z osiemnastoma zaliczeniami. Co może pójść nie tak?

– Co to jest *oreja*⁴³? – pyta kobieta w jedwabnym topie. Wymawia „j” tak twardo, że aż się wzdrygam.

– To wygląda jak kukurydza – stwierdza jeden mężczyzna, wskazując posypane cukrem *elotes*.

– Tak ma być – mruczę pod nosem.

– Czy to danisz? – pyta inny.

Jess klaszcze.

– Kto jest gotowy? – woła nad ich paplaniną.

Ta grupa wstawionych, pewnie przepłacanych młodych karierowiczów zbiła się tak blisko kasy, że wyczuwam lemon dropy⁴⁴ grane dziś w menu. Teraz śmieją się i rzucają teksty w stylu „Jak tu uroczo” czy „Nawet nie wiedziałam, że tu coś takiego jest”.

Za nimi tłoczy się zmęczona rodzina.

Coś znajomego muska mi biodro, jakby pióro z ptasiego skrzydła. Opada. Jego lekki ciężar osiada, a ja go rozpoznaję – to uczucie, które chwyta mnie na korytarzach w szkole i w pastelerii. Ukłucie, które każe

mi robić różne rzeczy. Pomóc Lockowi przetrwać lekcję. Zaproponować gallinę zakochanej dziewczynie. Wejść do gabinetu dyrektora.

A teraz każe mi przerwać hałas w pastelerii.

– No dobrze – odzywam się.

Mówię tak głośno, że wszyscy milkną.

– Dwa *cochitos*. – Wskazuję jednego z mężczyzn, bo czuję, że kocha zwierzęta i że zasmakują mu ciastka korzenne w kształcie świnek. – *Coyota*. – Kobieta z plecionką na pasku i torbie doceni plecionkę na ciasteczku. – Trzy *niños envueltos*. – Patrę na parę, której na pewno zasmakują roladki z truskawką i kokosem, z myślą, że zjedzą po jednej i podzielą się trzecią.

– Czy ona przepowiada nam przyszłość? – szepcze jedna kobieta.

– Dwa *leos*⁴⁵ i dwa *piernas*⁴⁶ – ciągnę, pokazując na dwóch mężczyzn, którzy docenią artystyczną prostotę *pan fino*⁴⁷. Pragną siebie nawzajem, choć żaden z nich chyba tego nie wie, więc mam nadzieję, że gdy podzielą się *leos* i *piernas*, wreszcie to sobie uświadomią.

– Słyszałem o niej – oznajmia inny mężczyzna. – Mówi ci, czego chcesz.

– Więc po prostu decyduje za nas? – pyta kobieta.

Jess nabija ciastka na kasę, a ja wsuwam je do torebek.

– Jeśli się mylę, wróćcie jutro i dam wam co innego – mówię, podając im *pan dulce*.

Razem z Jess patrzymy, jak zostawiają napiwki – pewnie o wiele większe, niż gdyby byli trzeźwi.

Napiwki, jakie dawniej dostawała *La Bruja de los Pasteles*.

Jess kiwa głową.

– Nieźle.

Czekam, aż grupka z happy hour się rozpierzchnie, żebym mogła obsłużyć resztę klientów.

Jess mierzy mnie wzrokiem, nawet kiedy wyciąga *pan dulce* do następnego zamówienia.

– Co się z tobą dzieje?

Lodowato-gorące rwanie w biodrze się nasila. Dreszcz lodu i strumień wrzątku kłębią się wokół *el escaramujo* jak różnokolorowe światła.

Składam to wszystko w całość. Uczucie, które ogarnęło mnie, gdy dałam blondynce gallinę, pasuje do tego, które mi towarzyszyło, gdy rozśmieszyłam Locka na lekcji. Dreszcz żaru rwący biodro, który czuję teraz, pasuje do tego, który popchnął mnie w stronę gabinetu dyrektora.

Jestem odpowiedzialna za chłopaka, którego zostawiłam samego w szpitalu i który teraz przeze mnie ma w sobie odłamek lustra. Pomaganie mu to jedyne, co przywróciło mi odrobinę magii bisabueli.

To uczucie iskrzące nad owocem dzikiej róży nie tylko mówiło mi, co mam robić, ale też jaśniało jak żarnik i podpowiadało, jak odzyskać to, co straciłam.

⁴¹ Panela, produkt z trzciny cukrowej, zbita masa w kształcie stożka używana do słodzenia lub wyrobu słodczy, popularna również jako przekąska.

⁴² Teraz, już.

⁴³ Ślimaki z ciasta francuskiego z cukrem, podobne do palmera.

⁴⁴ Drinki o smaku landrynek.

⁴⁵ Okrągłe, płaskie bułeczki.

⁴⁶ Podłużne bułeczki z twarogiem.

⁴⁷ Słodki chlebek.

WIEDŹMA WYPIEKÓW Z SAN JUAN CAPISTRANO

Idę do domu, a z każdą przecznicą widzę to coraz wyraźniej.

Pomogłam Lockowi nie załamać się pierwszego dnia, a potem zgadłam, że blondynka z torbą pełną książek pragnie puszystej, posypanej cukrem pudrem galliny.

Powstrzymałam dyrektora Whitcomba przed skarceniem Locka, a potem wpadłam na to, czego pragnie cała piekarnia pełna wstawionych dwudziestoparo- i trzydziestolatków.

Odłamek lustra w oku Locka to moja wina. Zmieniłam go z chłopaka, który próbuje ukryć się w tej szkole, w chłopaka, który o mało nie został zawieszony. Muszę o niego dbać i pilnować, żeby lustrzane szkło nie dotknęło nikogo innego. Może jeśli będę to robić, odzyskam nić magii, która czyniła mnie *La Bruja de los Pasteles*, dziewczyną mówiącą w języku *espejos*⁴⁸. Dziewczyną godną zaufania prababci, a nie osobą z odłamkiem lustra zamiast serca.

– Ciela – woła mama z kuchni, kiedy wchodzę. – Zjesz coś ze mną?

Moja dłoń wędruje na kark i drapie miejsce, które kłuje mnie za każdym razem, gdy słyszę swoje imię odbijające się echem po domu.

Kocham mamę, ale przez jej pytania, które tak naprawdę nie są pytaniami, mam ochotę wyrwać sobie dziurę w swetrze.

„Nadziejiesz *bolillos*⁴⁹ na kościelny piknik?”

„Odkurzysz listwy?”

„Przystrzyżesz wilce?”

„Pójdiesz ze mną na spotkanie klubu książki? Ucieszą się na twój widok”.

„Zrobisz sobie jajecznicę?”

Jakby już mi mówiła, ja bym się zgodziła, a ona tylko by mi przypominała.

Mama stoi przy blacie w kuchni i kroi awokado tak, jak zabrania mi kroić bajgle – trzyma owoc w ręku i obraca go pod ostrzem noża.

– Mówiłaś mi, że tak można skończyć ze szwami – rzucam.

Pcha nóż i otwiera owoc.

– Ale ja mam czterdzieści pięć lat doświadczenia.

– Zaczęłaś kroić awokado od razu po urodzeniu? Imponujące.

Nacina każdą połówkę w kostkę, jak to robi z mango, a potem wypycha miąższ do *molcajete*⁵⁰.

– Dzwonił do mnie dyrektor – oznajmia.

Żar wspina mi się po karku.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale zawiesza głos i mi się przygląda.

– Nie nosisz już szminki, *mija*?

Wzruszam ramionami.

– Czerwona szminka to odpowiedź na każde pytanie – mówi.

Prawie się uśmiecham na wspomnienie harmonii z Jess. Wtedy zauważam za mamą błysk srebra.

Ze stojących na parapecie glinianych doniczek z ziołami – kolendrą, *pápalo*⁵¹ i rutą – wyrastają pędy lustrzanego szkła.

W myślach błagam, żeby mama się nie odwracała, żeby skupiła całą uwagę na awokado albo moich nieumalowanych ustach, na wszystkim, tylko nie na parapecie.

Kręci głową, jakby przypomniała sobie, o czym rozmawialiśmy.

– Dobra wiadomość: nie zostaniesz zawieszona. Nie wpiszą ci tego do akt. Ale wygląda na to, że Whitcomb ma w zanadru poważną karę dla ciebie i tego chłopca.

Mogłabym osunąć się na ziemię z ulgą, że ani ja, ani Lock z tą jego durną lekkomyślnością nie zostaniemy ukarani. Ale wszelką ulgę przyćmiewa strach przed tym, że mama może się odwrócić.

– Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że będziecie szorować materace, myć okna w sali gimnastycznej albo polerować ławki w kaplicy – wylicza mama. – Albo nabłyszcząć mu *halteras*⁵².

Czy mi się wydaje, czy słyszę w jej głosie rozbawienie?

– Nie jesteś zła? – pytam, próbując nie pokazać po sobie, że nie patrzę na nią, tylko za nią.

Patrzy na mnie tak, że mogłaby wywiercić we mnie dziurę.

– Balony z prezerwatyw?

Wzdrygam się.

– Tak.

– Dlaczego?

– Nieudana instalacja artystyczna. To taki projekt, który robiłam ze znajomymi Jess. – Przepraszam, Jess, ale twoje imię od razu uspokaja matki, a zwłaszcza moją. – To wielkie nieporozumienie. – Grzebię w torbie. – Ale musisz podpisać ten formularz i potwierdzić, że rozumiesz, że moja zdeprawowana dusza znajdzie się w niebezpieczeństwie, jeśli będę dalej podążać tą drogą.

Mama soli awokado.

– Czarnym czy niebieskim długopisem?

Zastanawiam się, czy zdołam ją przekonać, że w całej kuchni nie ma długopisów i musimy iść do salonu, a wtedy słyszę, że do domu wchodzi tata.

Mama idzie do garażu, a ja porywam lustrzane pędy tak szybko, że kaleczą mi dłonie. Biegnę na górę, wpadam do pokoju i uchylam szafę tylko na tyle, by je tam wrzucić. Nie zamierzam wypuszczać więcej szkła.

Zamykam drzwi i zalewa mnie ulga tak wielka, że prawie nie czuję nitek krwi na palcach.

[48](#) Kruche ciasteczka z polewą waniliową.

[49](#) Chrupiące meksykańskie bułeczki.

[50](#) Moździerz.

[51](#) Kolendra boliwijska.

[52](#) Hantle.

DZIWNA PORA

Zatrzymasz się? – proszę tatę kilka przecnic przed szkołą.
– Czy to już ten etap twojego dorastania? – Zjeżdża na chodnik. –
Boisz się, że ktoś zobaczy, jak staruszek cię podrzuca?

– Nie. – Przewracam oczami. – Patrz.

Magnolia pani Peters zniknęła. Cała. Razem z pniem. Zostało tylko konfetti zwiędłych płatków.

Pani Peters stoi na trawniku i krzyczy:

– Była tutaj!

Doktor Emmott stoi w swoim ogrodzie, niedaleko miejsca, w którym jego posesja graniczy z posesją Petersów, ale nie śmie postawić stopy za linią. Linią, która aż bije po oczach, bo ogród doktora Emmotta jest pełen kamieni i niskich roślin pustynnych, jak niezamierzone oskarżenie wobec bujnej, wysysającej wodę darni Petersów.

– Kto ukradłby całe drzewo? – grzmi pani Peters.

Prawie wyskakuję z pytaniem, dlaczego ją to obchodzi. Przecież i tak chciała je ściąć. Wszyscy widzieliśmy przybite do pnia zawiadomienie.

Wtedy rozumiem. Nie chodzi tylko drzewo. Razem z nim zniknął korzeń. W jego miejscu została dziura tak głęboka, że widzę ją z samochodu. Jakby na idealnym trawniku Petersów otwarła się ziemia.

Doktor Emmott mówi cicho, próbując uspokoić panią Peters. Jest jednym z najłagodniejszych ludzi, jakich znam, choć nikt by się tego nie spodziewał po jego ramionach i ogolonej głowie całych w tatuażach. Obcy schodzą mu z drogi na ulicy, a kiedy pierwszy raz słyszą jego łagodny głos, robią bezcenne miny.

Pani Peters dalej jęczy: „Kto mógłby to zrobić?” i „Co się dzieje z tą dzielnicą?”, a ja nie zdaję sobie sprawy, że doktor Emmott mnie widzi, dopóki nie posyła mnie i tacie smutnego uśmiechu. Ten uśmiech mówi: „Ratujcie się i uciekajcie”.

– Wie pan, co to jest? – Pani Peters energicznie wytyka ziemię palcem, jakby chciała wbić palec w trawnik. – Wandalizm. To akt wandalizmu.

Zapamiętuję, żeby przynieść doktorowi Emmottowi i jego mężowi mocną kawę oraz pudełko *galletas* z posypką. Będą słuchać tyrad pani Peters przez sto lat.

Tata odjeżdża.

– Dziwna pora, *mija*. Nie ma Santa Any. Drzewa znikają z ogrodów.

– Mówisz jak tía.

– To niedobrze, że nie ma Santa Any – mówi i skręca w prawo. – Jakby wiatr wstrzymywał oddech.

Podjeżdża pod szkołę wcześniej, żebym zdążyła się stawić w gabinecie dyrektora.

– Żadnej więcej sztuki nowoczesnej, jasne?

Podnoszę prawą rękę.

– *Lo prometo*⁵³.

Kiedy widzę na korytarzu Victorię, mijam ją szerokim łukiem, ale słyszę, jak wciąga powietrze, i już wiem, że i tak do mnie podejdzie.

Szykuję się.

– Wielki błąd – rzuca.

To brzmi jak groźba, ostrzeżenie.

Ale Victoria nie patrzy na mnie, jakby mi groziła. Patrzy na mnie niemal ze współczuciem.

– Pomaganie nowemu – precyzuje. – Pociągnie cię na dno. To beznadziejny przypadek. Zaufaj mi. – Teraz mówi ostrzej i mierzy mnie wzrokiem. – Wiem coś o beznadziejnych przypadkach.

– Co? – pytam, zanim zdążę się powstrzymać.

– Taka przyjacielska rada – oznajmia i odchodzi.

Beznadziejny przypadek. Wciąż roztrząsam jej słowa – i jej spojrzenie – kiedy razem z Lockiem siedzimy w gabinecie Whitcomba. Pani Anders nas wpuściła, a teraz czekamy na naszego gwiazdora.

Lock prawie na mnie nie patrzy, a jednak jakimś cudem na mnie łypie. Szczepia ze sobą spinacze, tak jak kiedyś robiłam ja w pracy u taty.

– Ile masz lat, pięć? – szepczę do niego.

Jestem żoną i dobrze to wiem. A nie mogę być żoną w stosunku do chłopaka, który nadal ma w oku błysk srebra. Widzę go pod pewnymi kątami. Dlaczego nie próbuje mrugać i się go pozbyć? Nie czuje go?

Dosłownie zwijam język w ustach – jak uczyła mnie babcia. „Nie gryźcie – mówiła do mnie i do moich kuzynów, kiedy się złościłiśmy. – Od gryzienia tylko poleci wam krew”.

– Dobre wieści – oznajmia dyrektor Whitcomb na wejściu. – Znalazłem idealny projekt, nad którym będziecie mogli pracować razem.

– Jak to: razem? – pyta Lock z nieskrywanym przerażeniem.

Dyrektor prowadzi nas do pomieszczenia po drugiej stronie korytarza.

– To... – Wskazuje dwa kartony na stole z laminowanym blatem. – Nasze najnowsze broszury edukacyjne. Dla uczniów, rodziców, na apele i do rozdawania wśród społeczności. Właśnie przyszły, a wy dwoje – mówi, podnosząc przy tym lśniący kolorowy arkusz i składając go na trzy części – macie za zadanie je poskładać.

Dociska zagięcia, żeby były idealne, i odkłada broszurę.

Z pierwszej strony bije tytuł: „Dar, który możesz dać tylko raz”.

Oczywiście, że trafiły się nam broszury o wstrzeźliwości.

– Spotkamy się po lekcjach – ciągnie dyrektor. – Oczekuję takiej samej energii, jaką włożyliście w zbeczeszczenie szatni.

Zerkam na Locka z nadzieją, że zdaje sobie sprawę, jak nam się upiekło. Pewnie w dwóch kartonach mieszczą się setki druków, ale mogło być o wiele gorzej. Jeśli Lock postanowi siedzieć i się dąsać, pewnie dam radę poskładać je wszystkie sama.

– Gdzie mamy je odłożyć, jak skończymy? – pytam.

Dyrektor szczerze się śmieje – chyba pierwszy raz w życiu to słyszę.

– Na razie bym się o to nie martwił. – Otwiera drzwi, a ja dopiero teraz sobie uświadamiam, że obok jest składzik.

W środku stoi wieża z kartonów mniej więcej tak wysoka jak ja.

Lock taksuje mnie wzrokiem. Ma minę pomiędzy „chyba żartujesz” a „to ci wyszło” i ledwie jest w stanie ją kontrolować.

NIEWŁAŚCIWY ADRES

Zrezygnowałabym z kawy i *chiles relleños*⁵⁴ do końca liceum, gdyby to oznaczało, że już nigdy więcej nie zatnę się w palec broszurą *Nigdy tego nie odzyskasz* albo *Nasz największy skarb* – świecąca ulotką tłumaczącą nam, że seks jest cennym darem, którego lepiej nie otwierać.

Dwie dziewczyny zwalniają, mijając nasze drzwi. Składaliśmy z Lockiem broszury w całkowitej ciszy, więc te szepty i śmiechy mnie zaskakują.

To nie Brigid ani Victoria, które Lock pewnie już rozgryzł na tyle, aby wiedzieć, że to one tamtego wieczoru rozpięły mu jeansy. Ale te dwie dziewczyny naśladują Brigid i Victorię, noszą tony bransoletek i spinają włosy w kok w czasie lekcji.

– To na jakieś kółko czy coś? – pyta jedna.

– Nie, dostał karę – tłumaczy druga. – Za te wszystkie prezerwatywy.

Pierwsza nie zniża głosu tak, jak jej się wydaje, kiedy rzuca:

– A on w ogóle wie, co się robi z prezerwatywą?

Druga gapi się na Locka, jakbyśmy ich nie widzieli.

– Podobno wszystko musieli mu pokazywać.

Lock się wzdryga.

Podnoszę głowę i patrzę prosto na nie. Są zaskoczone, a ja się zastanawiam, czy naprawdę sądziły, że ich nie słyszemy.

W pierwszej chwili myślę, że to dlatego, że jestem rocznik wyżej od nich. Ale ich spanikowane miny mówią mi, że chodzi o coś więcej. Może to wynik plotek, jakie o mnie krążą, może skutek panującego ogólnie przekonania, że z własnej woli poszłam do pokoju z Chrisem i PJ-em.

Nie mrugam.

Uciekają.

Patrzę, jak zmykają korytarzem, te dziewczyny, które chcą być jak Victoria i Brigid, których chłopacy pewnie będą łązić za nimi jak PJ i Chris. Potem zastanawiam się, ile Victoria, Brigid, PJ i Chris w ogóle pamiętają z tamtego wieczoru. Czy dla nich to po prostu coś, co wydarzyło się po tym, jak Victoria całowała się z Chrisem, ale przed tym, jak Brigid odkryła, że wódka i pomarańczowa fanta z głębi spiżarni to naprawdę tak zły pomysł, jak się wydaje.

Lock wygląda, jakby chciał zamknąć kopniakiem drzwi tak samo mocno jak ja. Ale mają być otwarte, żeby dyrektor Whitcomb mógł sprawdzać nasze postępy.

Szkoła jest niemal pusta, kiedy kończymy. Nie, nie kończymy składać broszur. O tym nie ma nawet mowy. Po prostu kończymy na dziś. Idziemy w stronę parkingu, nie rozmawiamy, trzymamy się przeciwległych ścian korytarza.

Chris Bernard mija nas środkiem. Lock i ja przytulamy ściany tak mocno, że Chris musi przejść środkiem.

– Pukasz pod niewłaściwy adres, Thomas – rzuca Chris.

Lock mruga z niezrozumieniem. Łapie się na tym prawie od razu i robi obojętną minę, jakby nawet nie słyszał. Ale jest już za późno. Już

otworzył Chrisowi furtkę.

– Wiesz o niej, prawda? – Chris patrzy na mnie, a potem znów na Locka. – Twoja dziewczyna nie lubi fiutów.

Zastygam w pół kroku.

Żółć podchodzi mi do gardła.

Mógł to ująć inaczej. Gdyby tylko powiedział to inaczej, mogłabym udawać, że go nie słyszałam.

„Nie lubi fiutów”. W tych trzech słowach zbił do kupy to, że walczyłam, że tamtego wieczoru stawiałam opór i że kiedyś miałam dziewczynę. Nie widzi niuansów, więc nie ma sensu mu tłumaczyć, że spotykałam się i z dziewczynami, i z chłopakami, a jeszcze mniej sensu ma tłumaczenie, że spotykałam się z ludźmi, których tożsamość jest bardziej złożona niż którekolwiek z tych słów. Próba wyłożenia tego Chrisowi przypominałaby próbę wyjaśnienia seksualności i tożsamości płciowej skrzynce piwa.

Dla niego moja walka zlewa się z tą krztyną wiedzy, którą ma na mój temat. Dla niego jestem tylko tym, co zakłada na podstawie mojego oporu.

Od miesięcy próbuję oddzielić ten wieczór od tego, kim jestem, kto mi się podoba, kogo pragnę.

Ale Chris Bernard właśnie zbił to wszystko do kupy.

– Zaufaj mi, zapomnij o niej – dodaje Chris. – Nawet nie połyka.

Żółć jest już w gardle.

Nogi reagują.

Popycham skrzydło podwójnych drzwi i podmuch chłodnego powietrza uspokaja mój żołądek, ale nie na długo. Ledwie dobiegam do żywopłotu rosnącego wzdłuż parkingu.

W tej chwili nie jestem w szkole. Cofam się do tamtego wieczoru, do momentu, zanim postanowiłam zostawić Locka samego w szpitalu. Uciekam z poczekalni na izbę przyjęć nie dlatego, że postanowiłam go zostawić. Jeszcze nie podjęłam tej decyzji. Uciekam, bo w żołądku wzbiera mi kwas.

Kiedy wymykam się szpitalnym korytarzem, czuję na sobie żar spojrzeń. Nie ciekawskich, pełnych podziwu czy zainteresowanych, do jakich przyzwyczaiałam się za ladą pastelerii. Raczej ludzi przerażonych, że mogę na nich zwymiotować.

Nie winię ich. W tej chwili jest to bardzo prawdopodobne.

Dostrzegam szare litery na białym prostokącie – „DAMSKA” – a pod nimi postać w spódniczce. Nie zdążam jednak do łazienki.

Mdłości ciągną mnie w dół, na linoleum, na ręce i kolana. Pasek jeansów wpija mi się w brzuch, a ja wymiotuję do plastikowego kosza na śmieci obok fontanny wody pitnej.

Najpierw czuję colę zero, karmelowy barwnik, który skwaśniał w drodze do gardła. Dziwne – to pierwsze, co piłam rano, wiele godzin temu.

Potem grenadynę rozcieńczoną lemoniadą, ale nadal słodką.

Następnie słony smak, który przypomina o rękach chwytających mnie za włosy. To piekące uczucie sprawia, że wymiotuję jeszcze obficie.

Na koniec zwracam wstęgę lepkiej bieli.

Nerwowa młoda pielęgniarka przystaje obok mnie.

Przez sekundę widzę nas obie, jakbym wisiała pod jarzeniówkami niczym balon uwieczony pod sufitem. Widzę pielęgniarkę w stroju tak różowym jak jej policzki. I siebie, *La Bruja de los Pasteles*, opierającą

ręce na podłodze, zastanawiającą się, dlaczego jej żołądek cały czas szarpie, skoro jest już pusty.

– Kochanie, nic ci nie jest? – pyta pielęgniarka bardziej z troską niż z obrzydzeniem.

Tam, na podłodze, z grenadyną na ustach, postanawiam.

Postanawiam, że ten wieczór się nie wydarzył. Że jeśli chcę kiedykolwiek wstać z tej podłogi, ten wieczór nie mógł się wydarzyć. I wtedy wszystko się splata, więc nawet nie wiem, co musi być pierwsze.

Jeśli chcę, żeby ten wieczór nigdy się nie wydarzył, muszę wstać z tej podłogi, teraz, zanim pielęgniarka zapyta mnie, co się stało. Zanim jej powiem.

Asfalt szkolnego parkingu sprowadza mnie do rzeczywistości. Jego chropowata nawierzchnia wrzyna mi się w kolana, nagie, bo mam na sobie spódniczkę od mundurka.

Powietrze wokół mnie stoi. Skrzydła jaskółek nie wzbudzają wiatru, Santa Ana nie zmiata chmur z nieba, nie wywiewa lustrzanego szkła z mojego serca. Odkąd znikają drzewa, woń kwiatów w powietrzu jest słabsza, więc nie mogę zapomnieć zapachu sprzed miesiący – grenadyny, soli i wstęgi bieli.

Kiedy kończę wymiotować, wycieram kwaśną ślinę grzbietem dłoni i wstaję. Muszę wstać. Tak jak musiałam wstać z podłogi w szpitalu.

Kiedy wstaję, widzę Locka. Nie stoi za blisko. Nie patrzy. Czeka.

Znów wycieram usta, tym razem rękawem.

Podchodzi i podaje mi kubek wody. Papierowy w stokrotki. Z sekretariatu.

Biorę kubek.

Odsuwa się.

– Dziękuję – mówię. Dziękuję za wodę i za przestrzeń, którą mi daje.

Kiwa głową, tylko raz, szybko i nieznacznie. Przyjmuje podziękowania.

Słyszał słowa Chrisa i widział, jak wymiotuję w krzaki. Zastanawiam się, czy domyślił się czegoś na mój temat. Może słyszał plotki i teraz układa je w całość. „Nawet nie połyka”. Że ktoś wepchnął mi część siebie do ust.

Popijam wodę i mam nadzieję, że nie. Mam nadzieję, że nie jest tak spostrzegawczy, nie domyślił się, że kiedy w jednym pokoju dziewczyna robiła mu krzywdę i brała go do ust, choć tego nie chciał, w drugim chłopak robił mi krzywdę i wkładał mi do ust, choć tego nie chciałam. Mam nadzieję, że nie poskładał tego do kupy: tego, co nas łączy, czego on nie pamięta, a ja nie mogę zapomnieć.

54 Nadziewane papryki.

LA EDUCACIÓN SEXUAL

Na pierwszym torcie, który dekoruję następnego ranka, piszę „Udanej rocznicy”.

Jestem pewna, że piszę „Udanej rocznicy”, zielonym lukrem, jak nakazuje mi zamówienie.

Ale słowa, które wyciskam na kremowy wierzch tortu, nie układają się w „Udanej rocznicy”.

Układają się w „Możesz to oddać tylko raz”.

– Nikt cię nie pytał – mówię i jednym ruchem szpatułki zmieniam napis w zieloną smugę. Udam, że gradienty z lukru tu mój nowy znak rozpoznawczy.

Podnoszę wzrok i z niepokojem dostrzegam rozmazany obraz własnej twarzy.

Jeden z papierowych kwiatów tui zmienił się z milutkiej kulki różowej bibuły w twardą gwiazdę srebrnego szkła.

Upewniam się, że nikt nie patrzy, i wyrywam ją pośród wciąż miękkich i kolorowych koleżanek. Wpycham ją do torby tak szybko, że prawie przewracam stos pudeł.

Ciocia wchodzi do kuchni.

– Co się dzieje, *mijita*? – pyta.

Kopię torbę z książkami pod blat. W domu pewnie zastanę stłuczone szkło. Może po prostu wyciągnę książki i wrzucę torbę do szafy? Mam jeszcze gdzieś plecak sprzed kilku lat?

– Nic – odpowiadam.

Marszczy brwi z miną „Wiem, że kłamiesz”.

– To te głupie broszury – tłumaczę. – Zanim skończymy, nauczę się ich wszystkich na pamięć.

– Edukacja seksualna – zaczyna tía z niewytłumaczalnie wytwornym akcentem, którego używa zawsze, gdy mówi o Astin. – Tak, musimy oświecać młodzież, nieprawdaż?

Kręcę głową, powstrzymując uśmiech. Próbuję odwrócić uwagę od faktu, że poprawiam napis na torcie.

– To nawet nie jest edukacja seksualna. Składamy pięć milionów broszur, z których każda mówi: „Nie rób tego”.

– Gdybyś tylko mogła uprzykrzyć dyrektorowi życie tak, jak on uprzykrza życie tobie. – Tía wzdycha z zadumą i opiera się o blat.

Patrzę na nią z ukosa.

– Co kombinujesz?

– Tylko coś, co twoja prima wysłała mi po warsztatach o *feminismo*.

– Dlaczego mówimy: *feminismo*? – Podążam za nią spacerującą po kuchni. – Skoro dotyczy kobiet, nie powinniśmy mówić: *feminisma*?

– A angielski niby ma sens? – woła Pilar, podchodząc zza lady. – Praktycznie w ogóle nie ma końcówek rodzajowych. Nie kłóć się z hiszpańskim.

– I nie kłóć się ze mną. – Tía wskazuje małe biuro, przy którym prowadzi księgi i przyjmuje zamówienia telefoniczne. – Bo mam coś, co

sprawi, że twojemu dyrektorowi spadną *pantalones*⁵⁵.

– Muszę wyźreć ten obraz z mózgu kwasem – stwierdzam.

Tía się obraca.

– Chcesz mojej pomocy czy nie?

Na jej biurku walają się katalogi i różowe faktury za regularne zamówienia. Tía stawia karton na tym bałaganie. Na klapie wciąż widnieje etykieta pocztowa.

– Dyrektor chce, żebyś uczyła się o *educación sexual*? – pyta ciocia i otwiera pudło. – Może mu się odwdzięczysz?

Zaglądam do środka. Widok jest tak niepokojący i wspaniały, że muzyka mariachi z głośników brzmi jak anielskie chóry.

Tía się uśmiecha.

⁵⁵ Spodnie.

VALENTINA

Następnego dnia rano przychodzę na lekcję pani Vanderlinden jako pierwsza.

Lock jako drugi.

Posyła mi cierpki, zmęczony uśmiech, uśmiech pod tytułem „Oczywiście”.

Zajmuje przypisane mu miejsce obok mnie. Pewnie żałuje swojego wyboru z pierwszego dnia. Raz spisany układ miejsc obowiązuje przez cały rok.

Ignoruję go tak ostentacyjnie, że niemal odwracam się plecami. Ale nie na tyle, by nie wyczuć, że zagląda mi do torby. To inna torba, nie ta z printem w koniki morskie, pasująca do takiej z meduzami, którą ma Jess. Ta jest wielka – pożyczyłam ją od mamy, żeby zmieścić wszystkie książki i nową przyjaciółkę pożyczoną od tii.

– Co to? – pyta, zapuszczając żurawia.

Nadal siedzę tyłem do niego.

– Nic.

– Nie, serio. – Teraz praktycznie składa się na ławce. – Wygląda jak krzyżówka kwiatka z maskotką.

– Przyniosłam inspirację wizualną do składania broszur. – Wyciągam z torby welurowy kwiat i wsuwam dłoń w śliskie wnętrze pacynki. – Oto Valentina la Vagina.

Lock gapi się na to, co na pierwszy rzut oka pewnie wydaje się pluszową różowo-brązową różą, a tak naprawdę jest anatomicznie poprawną pluszową waginą. Tyle że z plastikowymi oczami i materiałowymi ustami.

Patrzę, jak na jego twarzy odmalowuje się zrozumienie. Że płatki to nie płatki, tylko wargi sromowe. Że małeńki pączek na środku to nie pączek, tylko łechtaczka.

Że to pluszowa wersja mojej *concha*⁵⁶.

Czekam, aż wytrzeszczy oczy, aż da mi satysfakcję i wzdrygnie się na widok pluszowej waginy. Ale on się nie wzdryga ani nie zerka nerwowo w stronę drzwi.

– To najpiękniejsze dzieło sztuki, jakie kiedykolwiek widziałem – oznajmia.

– Poczekaj, aż zobaczysz minę Whitcomba, kiedy zacznie gadać. – Ruszam ręką, by to Valentina wypowiadała moje słowa.

Nie wygląda na przerażonego, tylko na zdumionego.

– Skąd w ogóle to wzięłaś? – pyta.

– Moja kuzynka była na warsztatach. – Znów ruszam ręką. Z tymi wielkimi oczami Valentina wygląda jak główna cheerleaderka gadających wagin. – I teraz je szyje.

– Dlaczego to robisz?

Zadał to samo pytanie w gabinecie dyrektora Whitcomba. Ale teraz jest mniej zirytowany, bardziej rozbawiony.

– Bo jeśli Whitcomb chce nas edukować – tłumaczę wysokim, radosnym głosem, który właśnie przypisałam Valentinie – powinniśmy mu się odwdziżyć.

Śmieje się i wyciąga z plecaka szydełko. Znów niebieskie, ale w innym odcieniu, takim samym jak ulubiona koszula taty.

– Ale co powiesz, jeśli oskarży cię o przyniesienie do szkoły lubieżnej sztuki albo złamanie jakiejś innej szkolnej zasady, której nie znam? – pyta.

– Lubieżnej sztuki? – Mrugam. – Masz na myśli moją pacynkę różę?
Uśmiecha się.

– Nie mogę się doczekać, aż to zobaczę.

Nagle w drzwiach zatrzymują się PJ i Chris.

Nie chodzą na tę lekcję.

Zatrzymują się, żeby popatrzeć na Valentinę la Vaginę.

Przebiega mnie dreszcz. A potem wraca odrobina dawnego tupetu, tego samego, który kazał mi coś zrobić, kiedy nieznany nikomu pijany chłopak zataczał się na imprezie. Wędruje po ramieniu i budzi do życia rękę z pacynką.

Otwieram usta Valentyny la Vaginy i ryczę.

Głośno.

PJ i Chris są tak przerażeni na widok gadającej waginy, że uciekają, jakbym wypuściła węża.

Chichoczę, nie dbając o to, czy ktokolwiek na korytarzu mnie usłyszy.

Lock szydełkuje okrąg ściągów. Pochyla głowę, jakby oddawał punkt w pojedynku.

– Sprawiasz, że naprawdę trudno cię nienawidzić.

Chowam Valentineę do torby.

– Więc przestań próbować.

⁵⁶ Tutaj slangowo: wagina.

AMANITA MUSCARIA

Dyrektor Whitcomb znosi widok Valentyny lepiej, niż się spodziewałam. Mruga, a potem przechodzi do sprawdzania broszur i przypomina, żebyśmy na koniec dla pewności przejeżdżali po zagięciach kciukiem. Valentina la Vagina zasługuje na więcej.

Przynajmniej Lock docenił mój wysiłek. Rozmawia ze mną – co prawda rzuca tylko kilka zdań o pracach domowych z przedmiotów, które nam się pokrywają, ale to już coś. A kiedy kolejne dziewczyny, te, które noszą takie same buty i perfumy jak Victoria i Brigid, przyglądają się nam, przechodząc korytarzem, Lock wygląda, jakby ich nie zauważał.

Następnego ranka wiem, którzy klienci powinni zanieść *bisquetes*⁵⁷ swoim sekretnym miłościom czy rodzeństwu, z którym są skłóceni. Wiem, kto potrzebuje tuzina *donas de azucar*⁵⁸ zamiast tortu na imprezę urodzinową. Wiem, jakiego smaku *mantecadas*⁵⁹ powinna kupić matka swoim chorym dzieciom – po miłości, jaką je darzy, wiem, co im zasmakuje, nawet jeśli nie ma ich tu z nią.

Poznaję blondynkę z torbą pełną książek po tym, że potrzebuje kolejnej galliny, zanim jeszcze zobaczę jej twarz.

Wciąż jest zakochana. Chcę ją zapytać, czy już wykonała ruch. Jeśli nie, mam nadzieję, że cynamon doda jej odwagi. Zapamiętuję, by sygnąć więcej do następnej porcji, na wypadek gdyby dziewczyna wpadła ponownie.

La Bruja de los Pasteles wraca po jednej *novia*⁶⁰ i *sol y sombra*⁶¹. Tak mnie to cieszy, że nawet nie przeszkadza mi myśl o kolejnym popołudniu składania broszur *Nigdy tego nie odzyskasz*.

Następnego dnia po szkole Valentina la Vagina leży w składziku, tam gdzie ją zostawiłam, i patrzy na gabinet dyrektora. Ale nie jest sama. Obok niej leży jakby mały bajkowy grzyb – ma jasny trzon, ciemniejszy kapelusz, nawet kilka kropek. Takie grzyby widuje się na ilustracjach z wróżkami. Ma plastikowe oczy, tak jak Valentina. I tak jak Valentina przypomina zarówno coś, co można znaleźć w lesie, jak i artystyczną wersję pewnej części ciała.

Tyle że w przeciwieństwie do Valentiny grzyb jest wyraźnie falliczny. I nie został uszyty z aksamitu, tylko zrobiony na drutach.

Nie, nie na drutach.

Na szydełku.

Domyślam się tego po uśmiechu, który Lock próbuje ukryć podczas składania broszur.

– Co ty zrobiłeś? – pytam pełnym dramaturgii tonem, ale wyrywa mi się śmiech.

– Och, to? – Lock dociska zagięcie kciukiem, jak kazał nam dyrektor Whitcomb. – Takie tam, skleciłem wczoraj wieczorem. A co?

– To dziergany penis – szepczę, usiłując nie wybuchnąć śmiechem.

– Moja pacynka z grzybem? – Lock mruga. – Szczerze mówiąc – zaczyna głosem urażonego nauczyciela szkółki niedzielnej – nie wiem,

co trzeba mieć w głowie, żeby zobaczyć cokolwiek innego. To artystyczna interpretacja *amanita muscaria*⁶². Wyrzucić z głowy te świństwa.

– Skąd wzięłeś oczy? – pytam. Dopiero teraz widzę, że do siebie nie pasują: jedno jest większe, drugie mniejsze.

– Mam czteroletnią siostrę. Zdziwiłabyś się, jakie materiały potrafią się walać w salonie.

Srebro błyska mu w oku jak mrugnięcie gwiazdy. Więc jeszcze nie wniknęło głębiej. Może ma szansę je wymrużyć.

Do pomieszczenia wchodzi dyrektor.

– Pani Anders powiedziała, że jesteście...

Staje jak wryty, gdy dostrzega Valentine i Grzybowego Penisa.

Widocznie potrzebował grzyba do kontekstu, żeby pojąć pełnię chwały waginy Valentine.

– Co to jest? – pyta.

– Pacynki – odpowiada Lock, jakby to było oczywiste.

– Do czego służą? – drąży dyrektor, a z nuty oskarżenia w jego głosie wiem, że muszę idealnie wyważyć niewinny ton. Nie mogę przesadzić. Nie mogę brzmieć, jakbym z niego kpiła.

– Do prezentacji na spotkanie koła botanicznego – mówię.

– Na temat interakcji między dzikimi różami a trującymi grzybami – dodaje Lock.

– Nieźle – szepczę bezgłośnie.

– Och. – Dyrektor jest zadowolony i jednocześnie zaniepokojony tym, że jest zadowolony. – Dobrze.

Kiedy wraca do gabinetu, jeszcze trzy razy spogląda na Valentine i Grzybowego Penisa, jakby próbował ustalić, czy ma zwidy.

– Nie mogę się doczekać, aż oboje rozkwitniecie i staniecie się pełnoprawnymi członkami naszej szkolnej społeczności.

Muszę napiąć całe ciało, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Gdy zamyka za sobą drzwi, chwytam Valentine. Śmieję się tak dziko, że kłuje mnie w boku.

– Słyszałeś? – Szturcham Locka płatkami Valentyny. – Nie może się doczekać, aż rozkwitniemy i staniemy się członkami.

Lock zaciska zęby, żeby się nie roześmiać, tak mocno, że to zauważam.

– Widziałaś jego minę? Już nigdy nie spojrzysz na kwiaty tak samo.

– Ani na grzyby. – Sięgam po nowego przyjaciela Valentyny.

Na początku zastanawiam się, jak możemy z tego żartować, z czegokolwiek związanego z seksem. Ale oboje wiemy, jak to jest nosić ciężar, który przygniata nas do ziemi, jak to jest trzymać się prosto, żeby nikt tego nie widział. Czasami to oznacza, że musimy śmiać się z dmuchania balonów z prezerwatyw albo z pacynek waginy i penisa.

Oglądam grzyba.

– Jesteś geniuszem.

Lock lekko się kłania i kończy składać kolejną broszurę.

– Jestem człowiekiem o kilku bezużytecznych talentach.

– Ach tak? Na przykład jakich?

Sprawdza, czy drzwi gabinetu dyrektora nadal są zamknięte. Składa broszurę na skos.

– *To Dlaczego czekamy czy Możesz oddać to tylko raz?* – pytam.

Robi papierowy samolocik i posyła do składziku.

– Ups, stracony – mówi. Samolocik spada na dywan. – No i po polityce wstrzemięźliwości.

– Przestań – proszę go. – Ja tu płaczę.

Podnosi samolocik i wrzuca go do plecaka.

– Chciałbym zrobić dla ciebie coś miłego, ale potrzebuję twojej pomocy.

Składam kolejny druk.

– Okej.

– Chcę zaprosić cię na obiad w ramach przeprosin za to, że byłem dupkiem, ale nie znam żadnych knajp w okolicy i nie wiem, co lubisz, więc musiałabyś wybrać miejscówkę.

– W porządku – mówię ustami Valentyny.

Widzę, że znów powstrzymuje śmiech.

– No i wiesz. Musiałabyś się zgodzić.

Wzruszam ramionami, choć promienieję na myśl, że jeśli się do niego zbliżę, może zdołam wyciągnąć mu z oka odłamek lustrzanego szkła.

– Może się zgodzę.

– Tak?

Nadzieja w jego głosie jest jak wiązka światła, która wypala dziurę w oszronionym oknie. Przez sekundę widzę dawną siebie, *La Bruja de los Pasteles*, a nie dziewczynę z odłamkiem lustra w sercu.

Kładę Valentynę obok grzyba.

– Będziesz musiał się przekonać.

57 Małe okrągłe bułeczki, podobne do scones.

58 Donuty z cukrem.

59 Babeczki maślane.

60 Dosłownie: dziewczyna lub narzeczona, tutaj: słodki drink na bazie tequili.

61 Dosłownie: słońce i cień, tutaj: brandy i anyż, drink na bazie tych składników.

62 Muchomor czerwony.

JASKÓŁKI

Kiedy Lock wyciąga rękę, by pomóc mi wysiąść z pick-upa, przyjmuję ją. („*Feminismo* – mówi mama – jest wtedy, kiedy możesz otwierać sobie drzwi sama, jeśli masz ochotę, i wiesz, że jesteś tak fantastyczna, że mężczyzna może robić to za ciebie”).

W środku podchodzimy do lady, witamy się z Danielą, która wytrząsa nachosy z frytkownicy, i zamawiamy.

Lock próbuje zapłacić.

Ja próbuję go powstrzymać. Chociaż tyle mogę dla niego zrobić: zapłacić za nasze burrito i jarritos⁶³.

Klnie pod nosem.

– Wiem, że w porównaniu z twoimi przyjaciółmi pewnie wyglądam na biedaka, ale stać mnie na obiad, jasne?

Daniela rzuca mi spojrzenie pod tytułem „Skąd go wytrzasnęłaś?”.

Coś we mnie pęka na pół jak sople. Jakakolwiek sympatia do Locka, która wykiełkowała tego popołudnia, właśnie wyparowała.

Nie chodzi nawet o założenie, że kompletnie się różnimy, o to, że on nie wie o moim stypendium i używanych książkach. Chodzi o resztę. „W porównaniu z twoimi przyjaciółmi”. Te kilka sylab przypomina mi, że moja najlepsza przyjaciółka skończyła już szkołę, a wszyscy, z którymi

siadałam na lunchu w pierwszej klasie, teraz się mnie boją przez to, co ich zdaniem zrobiłam w tamtym pokoju z PJ-em i Chrisem.

– Pójdę już – oznajmiam.

Łapie mnie przy drzwiach.

– Zaczekaj.

Zatrzymuję się.

– Przepraszam – mówi.

– Chciałam zapłacić nie dlatego, że mam cię za biedaka – wyrzucam z siebie z lekką irytacją. – Chciałam zapłacić, bo cała ta akcja to moja wina.

– Jaka akcja?

Odsuwamy się na bok, żeby rodzina za nami mogła zamówić.

– Składanie tysiąca broszur o „naszym najcenniejszym skarbie” – tłumaczę.

Wzdryga się, ale powstrzymuje śmiech.

– Nigdy więcej nie wypowiadaj tych słów – mówi.

– Przepraszam, ale wryły mi się w mózg.

– A to moja wina. Więc tak, ja stawiam.

– Po tym, jak mnie opierdoliłeś? Oczywiście, że stawiasz.

Stajemy w kolejce, znów zamawiamy. Daniela podaje nam numerek i patrzy na mnie z głębokim współczuciem, że muszę użerać się z tym *gringo*.

– Nie zamierzasz więcej uciekać?

– Masz szczęście, że jesteś uroczy.

Oboje zamieramy.

Chcę cofnąć te słowa, które rzuciłam bez zastanowienia.

Echo sprzed miesiący przeszywa mnie na wskroś.

„Masz szczęście, że jesteś uroczy”.

Słowa, które wypowiedziałam, gdy zobaczyłam, jak zatacza się na imprezie, i gdy zaprowadziłam go na górę, myśląc, że jest pijany.

„Masz szczęście, że jesteś uroczy”.

Wypowiedziałam je, kiedy przelewał mi się przez palce, tak że ledwo mogłam wciągnąć go po wyłożonych dywanem schodach. Oboje nas uderza echo. Żrenice ma tak szerokie, że prawie przysłaniają brąz tęczywek.

– Czy myśmy już się spotkali? – pyta.

Ściska mnie w gardle.

Wracam do naszego pierwszego spotkania, zanim wylądowaliśmy w tamtych pokojach.

– Na imprezie – domyśla się.

Mrozi mnie w żyłach.

– Byłaś tam – mówi. – Prawda?

Kiwam głową, bo nawet jeśli moje usta mogą kłamać, moje ciało – nie.

– Przepraszam. – Zaciska zęby i wbija wzrok we wzorzyste kafelki na stole. – Nie pamiętam tamtego wieczoru za dobrze.

Nienawidzę się za to, ale przez sekundę mu zazdroszczę. Nieświadomości, niewiedzy. A potem zastanawiam się, jak bym się czuła, gdyby było na odwrót. Jak bym się czuła, gdybym obudziła się w szpitalu ze śliną jakiegoś bezimiennego chłopaka między udami?

Naprawdę wolałabym dziurę w pamięci, utratę tego wieczoru, który wydrążył mnie, kiedy byłam tak nieprzytomna, że nie wiedziałam, co się dzieje?

Pewnie oboje pragniemy tego, czego nie mamy. Chcemy wiedzieć wszystko albo nic.

– Przepraszam – mówię.

Wzrusza ramionami.

– To nie twoja wina.

Ale to jest moja wina. Tylko on tego nie wie.

– Nie wiem, czy w ogóle chciałbym pamiętać – dodaje. – Chciałbym zapomnieć płukanie żołądka, to na pewno. – Próbuje się śmiać. – Trudno przespać coś takiego.

Wybrałam mój ulubiony stolik, pod *papel picado* w barwach róży, pomarańcza i zieleni, które zawsze przypominały mi owoce dzikiej róży bisabueli. Wybrałam go z przyzwyczajenia, zanim wzdrygnęłam się na wspomnienie ozdoby, którą musiałam wykraść z piekarni, bo stwardniała jak zamarznięty staw.

Lock wyciąga jasnoniebieską włóczkę.

Tak bardzo chcę go rozśmieszyć, że bez zastanowienia rzucam pierwsze, co mi ślina na język przyniesie:

– Dziergasz jądra dla swojego grzyba?

Gdy tylko wypowiadam te słowa, chcę się zapaść pod ziemię. Naprawdę nie mogłam wpaść na nic innego?

Ale on nawet nie mruga okiem.

– Sine jaja? – pyta, nie przerywając dziergania. – Chyba nie.

O mało nie wypluwam jarritos.

– A więc poznaliśmy się dwa razy – zauważa – a nadal nie wiem, jak masz na nazwisko.

– Cristales. A jeśli chcesz zapamiętać je na zawsze, podpowiem ci jak.

– Ależ proszę.

– Nazywam się Graciela, ale wszyscy mówią na mnie Ciela. Po hiszpańsku moje imię to prawie „niebo”, a nazwisko „kryształy”, więc wszyscy wiemy, jak bym się nazywała, gdybym była gwiazdą porno.

– Sky Crystals?

Przechyliłam głowę i patrzę mu w oczy.

– Crystal Sky.

– Och. – Śmieje się z zażenowaniem. – To jeszcze gorzej.

– Podziękuj mojej najlepszej przyjaciółce. – Lekko się kłaniam i znów uderza mnie to uczucie, że tylko z tym chłopakiem mogę bezpiecznie żartować o seksie. Tu, w przestrzeni między naszymi nerwowymi ciałami, których nerwowość ukrywamy, możemy śmiać się z seksu, gdy tego potrzebujemy. – To prawda? – zagajam, odwlekając o kolejny łyk jarritos resztę pytania. – Co o tobie mówili? Że chcesz zaczekać?

– I tak, i nie. Chciałem, żeby mój pierwszy raz coś znaczył.

– Myślę, że wiele osób tak ma.

– Tak myślałem, ale chyba kiedy powie się to na głos, ludzie uważają, że to dziwne.

– Ja nie uważam.

– Dzięki. – Robi kilka ściegów. – Jesteś w mniejszości.

Czuję przyływ ciepła na owocu dzikiej róży pod spódniczką – wrażenie, które rozpoznaję jako dar bisabueli znów budzący się we mnie do życia. Daniela przynosi nam jedzenie.

– Smacznego – mówi i rzuca mi spojrzenie pod tytułem: *buena suerte*⁶⁴.

Lock odkłada sztykielto.

– Czy teraz ja mogę cię o coś spytać?

– Tak chyba będzie sprawiedliwie. – Otwieram burrito widelcem, tak samo jak mój tata. Ze środka bucha para.

Lock robi to samo. Zastanawiam się, czy mnie naśladowe, czy nigdy nie jadł burrito.

– Kiedy to się stało?

– Kiedy co się stało?

– To, co ci się przytrafiło. Kiedy to się stało?

Czuję, jakbym leciała do przodu.

– Dlaczego uważasz, że coś mi się przytrafiło? – pytam.

– Bo nie pomogłabyś mi tak, jak to zrobiłaś, gdybyś nie wiedziała czegoś o...

Nawet nie może tego powiedzieć.

Nawet ja nie mogę tego powiedzieć.

– Może po prostu jestem miła?

I nie chciałam, żeby dzungła Astin cię pożarła i wypluła tylko kości i puste świadectwo, dopowiadam w myślach.

– Może jesteś – zgadza się. – Ale masz to coś.

Zastygam z kawałkiem *calabaza*⁶⁵ na widelcu i zastanawiam się, czy „to coś” da się usunąć jak *epazote*⁶⁶ z zębów.

– Jakie coś?

– Takie coś, o czym uczyłem się na spotkaniach. Większość z nas to ma, w takiej czy innej formie. Bez względu na to, jak się różnimy, bez względu na to, co nam się przytrafiło, mamy to coś.

Biorę kolejny gryz burrito, udając, że nie mam pojęcia, o czym mówi.

Ale potem pytam. Oczywiście, że pytam.

– I co to jest to coś?

– Coś, co mówi: „Coś mi się przytrafiło”.

– A jak to się objawia?

Zastanawia się.

– Tak, że nigdy nie wiesz, czy tej nocy zdołasz zasnąć, czy nie.

– W sumie z tym sobie poradziłam – mówię. Nie liczę koszmarów, w których jestem pękającym soplem albo *pan dulce* rozsypującym się w drobinki cukru.

– Ach tak? – rzuca. – Zdradzisz mi swój sekret?

– Lalki.

Śmieje się.

– Nie, ale serio.

– Serio. Mam dwie szmaciane lalki. – Gestem pokazuję, że są małe, że mieszczą mi się w dłoniach. – Ściskam je na przemian i to pomaga mi zasnąć.

Lekko mruży oczy, jakby powątpiewał.

– Kto cię tego nauczył?

– Nikt. Po prostu nie wiedziałam, co zrobić z rękami, kiedy próbuję zasnąć, co nie ma za bardzo sensu, bo nie powinno się robić nic z rękami, kiedy się śpi, prawda? Ale ja musiałam coś robić.

– To taki mechanizm – oznajmia. – Wiesz o tym, prawda? To naprzemienne ściskanie.

– Naprawdę?

– Tak. Mówili mi dużo o stymulacji bilateralnej czy coś, nie pamiętam dokładnej nazwy. Na początku tego nie rozumiałem i dalej trochę nie rozumiem. Ale najwyraźniej dzięki temu znów jestem funkcjonującym człowiekiem. Podziwiam, że wpadłaś na to sama.

Włoski na karku stają mi dęba. Jego wzrok sprawia, że czuję się obnażona, nie naga, ale przezroczysta, jakby widział moje sny, w których zmieniam się w szkło albo lód.

Postanawiam zmienić temat.

– Na jakich spotkaniach?

– Na terapii grupowej.

– Siedziałaś w sali pełnej ludzi i rozmawiałaś... – Teraz ja nie mogę tego powiedzieć. – O tym?

– No. – Wzrusza ramionami. – I nawet mi to pomogło. Chyba tylko dlatego dałem radę pojawić się w szkole w tym semestrze.

Znów wzbiera we mnie zazdrość. To nielogiczne, małostkowe, bezsensowne, a ja o tym wiem. Ale żałuję, że nie mogłam poświęcić lata na dochodzenie do tego punktu, w którym on jest teraz – zamiast tego spędziłam je na zmuszaniu się do uprzejmych rozmów z PJ-em

i Chrisem za każdym razem, kiedy przychodzili do pastelerii i udawali, że nic się nie stało albo że ja sama tego chciałam.

– Dlatego chciałeś się ze mną umówić? – pytam bardziej gorzko, niż zamierzam. – Żeby mieć przyjaciółkę, która jest tak samo smutna jak ty?

„Umówić”. Złe słowo, złe słowo. Kombinuję, jak się poprawić, jak mu powiedzieć, że nie to miałam na myśli, że wcale tego tak nie interpretuję. Ale on odzywa się pierwszy.

– Nie – odpowiada ostrożnie. – Zaprosiłem cię na randkę, bo lubię przebywać w twoim towarzystwie.

„Zaprosiłem cię na randkę”. Nie wiem, czy naprawił, czy pogorszył sytuację.

Przygląda się swojemu burrito tak intensywnie jak tía, kiedy próbuje zgadnąć, czym przyprawiono jej jedzenie, ale wiem, że robi to po to, żeby na mnie nie patrzeć.

Gram na zwłokę, zjadając kawałek *calabaza*. Rozpuszcza się na moim języku.

– To było bardzo dawno temu – mówię, bo muszę w to wierzyć. Muszę odsunąć to od siebie dalej niż o jedno lato. Ich śmiechy, splecione razem, tak dziwne, że aż nieludzkie.

– A upływ czasu coś zmienia? – powątpiewa Lock. – Bo z mojego, przyznaję: krótkiego, doświadczenia wynika, że nie.

Porzuca moją metodę i podnosi połówkę burrito. Sprytnie. Ja używam widelca, bo nigdy nie lubiłam brudzić tortilli szminką. To profanacja zarówno dla burrito, jak i dla szminki. Już nie noszę szminki, ale nawyk pozostał.

– Wiesz, kto to zrobił? – pyta.

Nadziewam kolejny kawałek *calabaza* na widelec.

– Tak.

Ma na tyle przyzwoitości, że nie zadaje więcej pytań. Czy byłam przytomna, czy dowiedziałam się później. Czy pamiętam, czy poskładałam wszystko w całość po czasie. Nie zadaje pytań, których się boję. Chyba wie, że powiem mu, jeśli będę chciała, a nie chcę. Zastanawiam się, czy postępuje zgodnie z jakimiś zasadami obowiązującymi między osobami takimi jak my, zasadami, które on zna, a których ja nie znam, bo siedział w sali pełnej innych chłopaków, którzy przeszli to samo.

Przez chwilę siedzimy w ciszy, a potem Lock komplementuje burrito:

– Jest niesamowite.

– To jedna z najtańszych, najlepszych i najbardziej niedocenianych knajp w okolicy – oznajmiam zadowolona, że pokazałam mu, jak używają ziemistej słodyczy kminu, gorzkawej zieleni oregano, odświeżonej cytryną i chile kolendry. – Tylko nie rozmawiaj o niej z moim tatą. On uważa, że knajpa, która kiedyś była po drugiej stronie ulicy, jest lepsza, ale po prostu się myli.

– Skąd miałbym wiedzieć? – rzuca Lock. – Nigdy czegoś takiego nie jadłem.

– Tam, skąd pochodzisz, nie ma meksykańskiego jedzenia?

– Och, jest. Ale dla mojej rodziny burrito to ser w plasterkach i mortadela w mrożonej tortilli.

– Przestań – proszę.

– Z majonezem.

– Dosłownie mnie ranisz.

– W mojej rodzinie jest wiele talentów. Ale gotowanie do nich nie należy.

Zjada ćwierć burrito, a ja nerwowo popijam napój.

– Zgłosiłaś to? – pyta, raczej z zainteresowaniem niż oceniająco. Gdyby szala przechyliła się w tę drugą stronę, kazałabym mu pilnować własnego nosa.

– Nie. – Pakuję czarną fasolę na widelec. – Bo wiedziałam, że to nic nie zmieni. Moje słowo przeciwko ich słowom, a to ich słowom zazwyczaj się wierzy.

Nadal bez sensu się wściekam, że w podstawówce chude blond *gringas* obwiniwały mnie o hałasowanie w szatni albo pisanie po szkolnych książkach. Wszyscy nauczyciele oprócz pani Gomez zazwyczaj im wierzyli.

Pewnie są poważniejsze rzeczy, na które mogłabym się wściekać, a te drobnostki powinnam odpuścić. Na przykład to, że obrywało mi się za cycki narysowane na tablicy albo za *las rubias*⁶⁷, które krzyczały: „Krwawa Mary”, bo myślały, że zobaczą ducha w lustrze w łazience. Ale nie, to wszystko się piętrzyło.

Skoro nikt nie wierzył mi w kwestii drobnostki, dlaczego ktoś miałby uwierzyć w tak poważną rzecz?

– Rozumiem – mówi Lock. – Naprawdę.

Powinnam mu powiedzieć, że nie rozumie. Jest *gringo* i chłopakiem. Co on wie o życiu latynoskiej dziewczyny? Ale przez PJ-a i Chrisa, którzy zasypali go prezerwatywami, przez Victorię, która bez mrugnięcia okiem nabijała się z jego ubrań – myślę, że rozumie o wiele więcej niż przeciętny *gringo* w naszej szkole.

– Ale ze mną jest trochę inaczej – dodaje. Patrzy na jedzenie, nie na mnie. – Bo to, co mi się przytrafiło, to tak jakby moja wina.

– Twoja wina? – dziwię się. – Co masz na myśli?

– Proszę cię. – Podnosi wzrok. – Wiesz, co się wydarzyło. Pół szkoły wie.

– Ale nie rozumiem, dlaczego mówisz, że to twoja wina.

Bierze głęboki wdech, upija łyk jarritos. *Tamarindo*⁶⁸ – kazałam mu zamówić ten sam smak, co ja, bo jest najlepszy, a *gringos* prawie nigdy sami go nie zamawiają.

Wbija spojrzenie w pomarańczowo-niebieskie kwiaty zdobiące kafelkowy blat.

– Dałam sobie coś dosypać na imprezie.

– Dałeś sobie? Nie można dać sobie czegoś dosypać. To ktoś dosypuje czegoś tobie.

– Nie chodziło mi o to, że ten, komu coś dosypują, się daje, tylko... – Opiera łokcie na stole. – Wow, naprawdę świetnie mi dziś idzie, co? – Przeczesuje włosy palcami. – Po prostu... Muszę wierzyć, że mogłam jakoś to powstrzymać. Myślisz, że się obwiniam, ale nie o to chodzi. Muszę myśleć, że coś, co zrobiłem, miało znaczenie. Inaczej to wszystko jest jeszcze gorsze.

Kręcę głową.

– Nie musisz nic mi mówić.

– Nie chcesz słuchać? – Patrzy prosto na mnie, z takim spokojem, z takim opanowaniem, że nie mogę odwrócić wzroku.

– Tego nie powiedziałam.

– Po prostu zadałem bardzo wścibskie pytanie, a pewnie nie powinienem, więc pomyślałem, że jestem ci winien własną odpowiedź.

– Nie jesteś mi nic winien.

Bawi się widelcem, którego już nie używa.

– A jeśli chcę zobaczyć, co się stanie, kiedy powiem to na głos?

– A nie powiedziałaś?

Kręci głową.

– Nawet na spotkaniach. Nie wszystko. Raczej słuchałem.

– A chcesz? – pytam.

– Chcę spróbować. Ale tylko jeśli chcesz usłyszeć. To wiele od nas wymaga, wysłuchanie czyjejs historii. Ludzie o tym zapominają. Więc zrozumieć, jeśli nie chcesz wysłuchać.

Nigdy nie powiem mu, że jego historia styka się z moją, że został rozbity w tym samym czasie co ja. On w jednym pokoju, ja w drugim, gdy nasi rówieśnicy robili nam krzywdę jednocześnie i pewnie śmiali się z tej symetrii.

Nigdy mu tego nie powiem.

Ale mogę wysłuchać. Jestem mu to winna. Muszę posłuchać o tym, czego nie mogłam powstrzymać, o tym, co wydarzyło się tylko dlatego, że tamtego wieczoru popełniłam błąd. Jestem mu to winna, bo może jeśli powie to wszystko na głos, popłyną mu łzy, a z nimi – pyłek lustrzanego szkła. Ten, który we mnie utknał za głęboko i którego już się nie pozbędę. Ale wciąż widzę błysk srebra w oku Locka, kiedy chłopak obraca głowę. Może bym go nie zauważyła, gdybym nie wiedziała, że należy go szukać, ale nadal go widzę, więc nie jest za późno.

Jeśli pozwolę mu mówić, pozwolę mu się wypłakać, łzy wypłuczą odłamek.

Wtedy coś we mnie się cofa, a Lock staje się kimś, kogo nie znałam przed tamtą lekcją pani Vanderlinden.

Staje się chłopakiem, którego słucham nie dlatego, że jestem mu to winna, nie dlatego, że chcę, by pozbył się odłamka, ale którego słucham, bo chcę słuchać. Chcę, żeby został wysłuchany.

– Jeśli chcesz mi powiedzieć, chcę wysłuchać – mówię.

Upija kolejny łyk napoju. W gardle rośnie mu gula – albo z wahania, albo od gazu.

– Kiedy byłem nieprzytomny, chyba jakaś dziewczyna uznała, że będzie zabawnie... – Zaciska zęby i kręci głową. – Zrobić mi loda.

Wzdryga się powoli, jakby przeszedł go dreszcz. Widzę napięcie w jego ramionach. Próbuje to z siebie zrzucić, ale ciężar waży zbyt wiele, więc zostaje.

– No, powiedziałem to. – Patrzy przez okno, a ja zastanawiam się, co odpowiedzieć (co chciałabym usłyszeć w takiej sytuacji?), kiedy dodaje:
– A teraz przydałaby się zmiana tematu, więc jeśli masz jakieś pomysły...

Czuję, jak bardzo Lock tego chce, bo ja pewnie też bym tego chciała. Chciałabym dostać szansę, by powiedzieć, co się stało, ale tego nie przeżywać; wyznać komuś prawdę, ale nie mieć tej kłującej świadomości, że musi się zastanawiać, co odpowiedzieć; przestać o tym mówić, nawet jeśli nie mogę przestać o tym myśleć.

Wędruję za jego wzrokiem w stronę sylwetki ptaka na szybie.

– Ktoś ci mówił o jaskółkach? – zagajam.

– O czym?

Coś we mnie drga.

Lock to widzi.

– O co chodzi? – pyta ostrożnie, ale się uśmiecha.

– Wiem, dokąd pójdziemy po obiedzie.

63 Popularny meksykański napój orzeźwiający.

64 Powodzenia.

65 Meksykańskie warzywo z rodziny dyniowatych.

66 Komosa pizmowa, tutaj: zielenina w zębach.

67 Blondynki.

68 O smaku tamaryndowca.

LALKI

Widziałeś takie małe jasnobrązowe ptaszki latające po okolicy?
– pytam.

Lock przytakuje. Idzie ze mną przez dziką trawę wśród zieleni ozłoconej ostatnim światłem dnia.

– To wróble, tak?

– Jaskółki skalne – poprawiam go. – *Las golondrinas*. W locie przybierają charakterystyczny kształt. – Myślę o chmurach skrzydeł, które zlatują się w okolicach urodzin taty. – A w bezruchu można odróżnić je od wróbli przez ich *vientres*.

– *Vientres?* – powtarza Lock.

– Podbrzusza – tłumaczę. – Młode ptaki mają białe podbrzusza, a dorosłe pomarańczowe. Nie wierz pułapkom na turystów. Na wszystkich pamiątkach są zdjęcia jaskółek dymówek.

– Wow, to trochę smutne.

– Nie będę nawet zaczynać.

Zatrzymujemy się przed starym wiaduktem kolejowym, który rzuca cień na potok.

– Jeśli przyjrzesz się uważnie... – Wskazuję spód zardzewiałego mostu. – Zobaczysz ich gniazda. – Na filarach widnieją plamki z błota

i gałązek. W świetle zachodzącego słońca zarówno woda, jak i gniazda nad nią są ledwie widoczne.

– Te postrzępione obłoczki? – upewnia się Lock.

– Tak – potwierdzam. – To jedno z niewielu miejsc, w których wciąż można znaleźć jaskółki skalne. Nie widuje się ich już zbyt często.

– Dlaczego? – pyta, a ja widzę, że nasłuchuje trzepotu skrzydeł.

– Nie domyśliłbyś się tego przez architekturę krajobrazu, ale to miejsce to równina przybrzeżna. Przez ostatnie, bo ja wiem, sto lat zostało tak zabudowane, że jaskółki skalne już tu nie przylatują. Nie odnajdują się w tym środowisku.

– Znam to uczucie. – Wzdycha. – Ale dlaczego one w ogóle tu są? – Patrzy w kierunku wzgórz, gdzie zaczyna się rezerwat przyrody. – Nie powinny się kręcić po jakichś skałach?

– Wygląda na to, że wolą mosty. Mogą się schronić. – Szukam wzrokiem ruchu przy gniazdach. – A poza tym wykorzystują gniazda wielokrotnie, więc jeśli uwiją je pod mostem, jest większa szansa, że zimą nie spadną.

– Skąd to wszystko wiesz? – dziwi się Lock.

– Moja najlepsza przyjaciółka kiedyś miała fazę i chciała zostać ornitolożką. – Od początku naszej znajomości Jess upierała się też, że zostanie fizyczką, dramatopisarką, archeolożką, psycholożką i florystką. – A jeśli ktoś opowie ci o *La Noche de las Golondrinas*, to albo jest prawdziwym romantykiem, albo chce sprawdzić, jak bardzo jesteś naiwny.

– Czym jest *La Noche de las Golondrinas*?

– To stara historia. Legenda głosi, że jeśli zobaczysz jaskółkę pewnej konkretnej nocy, będziesz miał szczęście do końca tego roku albo

szczęście w miłości do końca życia czy coś.

Od dziesięcioleci dziewczyny z miasta i okolic wkładają piękne sukienki na Noc Jaskółek. Nikt tak naprawdę nie wierzy w przesąd, że trzepot skrzydeł pomaga zwrócić uwagę ukochanej osoby, w historii o tym, że miłość chwyta wiatr i się unosi. Ale uznają, że nic nie zaszkodzi i że to fajna zabawa, więc kiczowata tradycja się utrzymuje. Córki turystów, miejscowe dziewczyny, nawet niektóre uczennice ze szkoły wciskają się w koronki w stylu vintage albo tiule pożyczone od babć lub kupione na ich wzór.

Nigdy nie należałam do tej grupy. Co roku w *La Noche de las Golondrinas* jestem zbyt zajęta sprzedawaniem *pan dulce* z tią.

– Te lalki, o których ci opowiadałam – zaczynam – te, które ściskam przed snem, mają symbolizować dziewczyny w *La Noche de las Golondrinas*.

– W jakim sensie? Te lalki to ptaki?

– Nie, to dziewczyny w bufiastych sukienkach. To typowy strój na *La Noche de las Golondrinas*, taka tradycja. Ale kiedy byłam mała, jedna kobieta sprzedawała lalki, dziewczyny w wymyślnych kieckach. Tyle że żadna z tych dziewczyn nie wyglądała jak ja. Miały blond, rude albo brązowe włosy i bardzo jasną skórę.

– To popaprane – stwierdza.

– No – zgadzam się. – Dlatego abuela zrobiła mi własne, z czarnymi włosami i brązową skórą, we własnych bufiastych sukienkach.

– Twoja babcia jest super.

– Była.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. – Wspominam abuelę i to, jak zauważyła, że szukam siebie wśród białych lalek. Nigdy jej nie mówiłam, co czułam: że jeśli nie ma takiej lalki jak ja, to nie ma mnie. – Była super.

Nawet jeśli teraz powiedziałyby mi, że byłam zbyt nieostrożna z darem, który zostawiła mi jej matka. Lock patrzy na coś w trawie. Zastanawiam się, czy dostrzega cienkie skrzydła ważek przyciąganych przez nieruchomą wodę.

– Wierzysz w to? – pyta.

– W co?

– W to o szczęściu.

Wzruszam ramionami.

– To nie ma znaczenia. Naszego charakterystycznego ptaszka i tak wystarczająco trudno wypatrzyć w ciągu dnia. – A w tym roku tyle rzeczy znika. Drzewa. Jaskółki. Nawet wiatry Santa Any. – To nie mniej zmyślane niż reszta gadaniny o jaskółkach. Miejscowe ulotki informują, że jaskółki co roku wracają dziewiętnastego marca i odlatują dwudziestego trzeciego października.

– Jakby sprawdzały w kalendarzu?

– Możesz żartować, ale dużo ludzi tak uważa. Chociaż rzeczywiście przylatują i odlatują mniej więcej w tym czasie, ale nigdy w ten sam dzień. – Wydaje mi się, że coś widzę, skrawek skrzydła pod starym mostem, ale to tylko światło słoneczne odbija się od śruby. – Ale mogę ci powiedzieć coś, co jest prawdą.

– A potem zrobisz mi sprawdzian?

– Tak, dlaczego nie robisz notatek? Jaskółki to najbardziej towarzyskie ptaki lądowe. Nawet podczas wicia gniazd się dotykają.

– Dobrze dla nich. Ja nikogo aż tak nie lubię.

Śmieję się.

– Oprócz tego dobrze znoszą zakłócenia. Pociągi już tędy nie przejeżdżają, ale nawet gdyby przejeżdżały, jaskółki i tak wilyby gniazda pod wiaduktem. Mogłyby więc gniazda nawet w przepustach na autostradzie. Są wyjątkowo obojętne na działalność człowieka.

– Znoszą zakłócenia. Obojętne na działalność człowieka. – Lock patrzy na cień mostu i zakłada ręce na piersi. – Muszę się sporo od nich nauczyć. – Spogląda na mnie. – Dziękuję ci za to.

– Za to, że opowiedziałam ci trochę o rzadkich ptakach? – pytam.

– Za to, że nauczyłaś mnie czegoś o tym dziwnym miejscu, w którym najwyraźniej teraz mieszkam.

– Witaj w San Juan Capistrano.

Uśmiecha się, jakbym właśnie powiedziała coś prawdziwego, jakby naprawdę dopiero teraz dowiedział się czegoś o tym miejscu.

– Dzięki.

Wbija wzrok w trawę, robi kilka kroków i kuca.

Dopiero kiedy go podnosi, dostrzegam błysk srebra.

Lock wstaje.

– Patrz. – Pokazuje mi kawałek lustrzanego szkła. Kiedy przyglądam się uważniej, widzę kontury i już wiem, co to jest. Pióro jaskółki obrócone w lustro.

Muszę mu je zabrać. Jeśli weźmie je do domu, pióro może się rozpaść na kawałki i kolejny odłamek utknie w Locku. W jego rodzicach albo siostrze, dzięki której znalazł plastikowe oczy w salonie.

Oddycham, by uspokoić te galopujące myśli. Lock nie może usłyszeć mojej desperacji.

– Mogę to wziąć? – pytam moim najlepszym flirciarskim głosem, cichym, ale skupionym, jakbym prosiła, żeby pożyczył mi swój ulubiony długopis albo dał mi łyk swojego napoju.

Po tym, jak Lock na mnie patrzy, jak lekko unosi głowę, żeby strząsnąć włosy z oczu, wiem, że mi się udało.

– Tak, możesz – mówi i patrzy mi w oczy, kładąc lustro na mojej dłoni.

ZAWIADOMIENIE

Lock wjeżdża na moją ulicę.

– Skąd wzięłeś tego gruchota? – Głaszczę deskę rozdzielczą, żeby pick-up wiedział, że nie chcę go urazić. – Jest starszy niż my dwoje razem wzięci.

– Sprzedał mi go właściciel sadu brzoskwińskiego. Pracowałem w jego ulubionym monopolowym i mnie polubił, więc zaproponował mi dobrą cenę.

– Pracowałeś w monopolowym?

– Tak. Przy drodze.

– Monopolowe przy drodze są legalne?

Przechyla dłoń.

– Ten był tak jakby legalny.

– A ty możesz legalnie pracować w monopolowym?

– Absolutnie nie. Płacili mi pod stołem. To była jedna z najlepszych rzeczy w tej pracy.

– Jedna z najlepszych?

– Druga to wstrząsanie dwunastopaków każdego klienta, który był chamski dla kasjera.

– O nie.

– O tak. Słyszałem, jak przeklinali w aucie.

– Otwierali butelki za kierownicą?

– Cały czas. Uważam, że to, co robiłem, było oddawaniem sprawiedliwości i prowadzeniem kampanii społecznej. – Kręci głową na to wspomnienie. – Czasem tęsknię za domem.

– Czyli za...?

– Olivedale.

– Olivedale – powtarzam, jakby to miało dać mi lepszy obraz.

– Nie masz pojęcia, gdzie to jest, prawda?

– Ani trochę. Nigdy tam nie byłam.

– No, mogłabyś tam pojechać, ale w sumie po co?

– To wasze motto?

Jego śmiech jest niespodziewany, ale ciepły i obfity, jak ulewa w słoneczny dzień. Jego śmiech jest wspaniały, szczególnie kiedy on sam się go nie spodziewa. Brzmi trochę jak cykanie świerszcza.

– Nie, przy tysiąc trzystu czterdziestu dziewięciu mieszkańcach nasze nieoficjalne motto to „Zabiłoby cię, gdybyś tu zamieszkał”.

Teraz ja się śmieję, tak gwałtownie, że czuję kłucie w zębach.

– Wow – mówi, kiedy wskazuję mój dom, najbardziej jaskrawy na naszej ulicy. – Twoja rodzina lubi wyraziste kolory.

– Moja mama lubi wyraziste kolory, a tata kocha mamę.

Mamá przez kilka miesięcy chwaliła się, że znalazła wszystkie kolory na przecenie w sklepie z farbami, źle zmieszane odcienie, których

trzeba było się pozbyć. I oto są: truskawkowe fundamenty, cytrynowe i granatowe okiennice.

Lock staje przy krawężniku i otwiera drzwi.

– Nie musisz wysiadać – mówię.

– Jestem niski, więc znam ten ból. – Wyskakuje z auta. – A ty jesteś jeszcze niższa ode mnie.

Podchodzi do moich drzwi i pomaga mi wysiąść.

– Tak dla twojej wiadomości – odzywam się, kiedy pomaga mi zejść na trawę – jestem najwyższa z całego mojego kuzynostwa.

– Zapamiętam – rzuca.

Zapach trawy, przesycony wilgocią wczesnego wieczoru, wspina się po moich nogach.

Kątem oka widzę plamę jasnej żółci, która wygląda, jakby unosiła się w powietrzu. I nagle ją rozpoznaję.

Znajomy kształt i rozmiar zawiadomienia o ścięciu.

Jest przyklejone do drzewa po drugiej stronie ulicy, tego, które ma kwiaty jak płatki śniegu.

– Przepraszam – mówię do Locka, ale na niego nie patrzę. – Muszę iść.

Biegnę za tyłem pick-upa, każdy mój krok dudni o asfalt.

– Powinienem pytać? – woła za mną Lock.

Obracam się na środku ulicy.

– Jedź do domu.

Walę do drzwi niegdyś należących do McKinleyów.

Otwiera mi kobieta. Świeży manicure, świeżo rozjaśniane włosy, świeża opalenizna natryskowa. I koszula tak śnieżnobiała, jaką noszą po domu tylko kobiety, które nigdy nie muszą się ubrudzić.

Kobieta wzdycha.

– Tak?

Wskazuję śnieżne drzewo i zawiadomienie na korze.

– Wie pani, ile środków potrzeba, żeby zasadzić takie drzewo?

Mruga.

– Słucham?

– Rozporządzenie miejskie nie pozwala na ścinanie zdrowych drzew bez rozpatrzenia sprawy.

Zatrząskuje mi drzwi przed nosem.

– A ja pojawię się na tym nudnym spotkaniu rady miasta! – krzyczę przez drzwi. – Z ostrymi słowami krytyki!

Wzdrygam się. „Z ostrymi słowami krytyki”. Na pewno drży w swoich balerinkach od Chanel.

– A potem...

Kątem oka widzę, że w moim pokoju zapala się światło. Patrzę na drugą stronę ulicy i widzę znajomą sylwetkę. Mama jest w moim pokoju i zmierza w stronę szafy.

Pędzę przez ulicę, przez drzwi wejściowe. Wbiegam na górę i wpadam do pokoju w samą porę, żeby zagrozić jej drogę do jedynych drzwi skrywających świat lustrzanego szkła.

– O – mówi mama. – Dobrze, że jesteś. – Rozkłada sukienkę na ramiączkach ze spódnicą do połowy łydki.

Kiedy ja łapię oddech, ona pokazuje mi sukienkę. Tkanina zmiękła z wiekiem i pachnie, jakby spędziła kilka lat na strychu. Ale ma kolor antycznego srebra, jak mieszanka blasku księżyca i światła świecy, jak szampan pod kryształowymi żyrandolami w filmach o latach dwudziestych.

– Gdzie ją znalazłaś? – pytam.

– W second handzie – odpowiada. – Myślisz, że potrafisz wyszukiwać łupy sama z siebie? *Por supuesto que no*⁶⁹. To genetyczne. – Prezentuje rozkloszowaną spódnice. – Powiedz mi, że to nie twój styl.

To jest mój styl. A przynajmniej był kilka miesięcy temu.

Dokładnie taką sukienkę włożyłabym na szkolny bal. *La Bruja de los Pasteles* by ją włożyła. Rozkoszowałyby się tym, jak miękkie srebro lśni na tle jej brązowej skóry, jak spódnica podkreśla jej biodra.

Ale mam wrażenie, że to magia, na którą jeszcze nie zasłużyłam.

Tęsknię za miłością do swojego ciała. Tęsknię za dopasowywaniem koronkowej bielizny do makijażu, nawet jeśli nikt oprócz mnie o tym nie wiedział. Tęsknię za ładnymi stanikami w soczystych kolorach. Tęsknię za różowymi i morskimi koszulami nocnymi, które pasowały do mojego pokoju i otulały moje miękkie ciało.

Ale tęsknota za czymś wcale tego nie przybliża.

– Nie uważasz, że jest wspaniała? – pyta mama z powagą gwiazdy telenoweli.

Cienkie nitki srebrnego haftu do mnie mrugają.

– To nie ma znaczenia, czy uważam, że jest wspaniała – odpowiadam. – Nie jestem typem dziewczyny, która nosi takie sukienki.

– Bo nie chcesz być?

– Bo po prostu nie jestem. – Nie wyglądam jak lalki sprzedawane podczas *La Noche de las Golondrinas*, z brzoskwiniową skórą i truskawkowymi blond włosami, w miętowej spódnicy z tiulu i oczami wyszytymi błękitną nicią.

– Wiesz, czego potrzebujesz?

– Sukienki, której nigdzie nie włożę?

Kręci palcem w powietrzu jak wróżka chrzestna różdżką.

– Nowej szminki.

Jęczę.

– Mamo.

– Czerwona szminka to odpowiedź...

– Mamo – powtarzam na tyle ostro, by ją uciszyć. – Już nie noszę szminki, jasne?

Pochmurnieje i jej twarz wykrzywia ta okropna mina, którą robi zawsze, kiedy czuje się zraniona, ale nie chce, żebym wiedziała. O wiele gorszą, niż kiedy wpędza mnie w poczucie winy celowo. Opuszcza wieszak i sukienka gaśnie.

Jestem najgorszą córką na świecie.

To mama nauczyła mnie, że moje krągłości są warte celebrowania. Gdy dorastałam, każdego dnia wracałam do domu, w którym biodra i uda oznaczały zdrowie i piękno, i to uchroniło mnie przed myśleniem, że w moim ciele jest coś nieskromnego i wstydliwego.

Mama zawsze wiedziała, jak mi przypomnieć, że jestem piękna. Mogłabym przynajmniej wyjść jej naprzeciw z tą śliczną, niedorzeczną sukienką.

– Na jaką okazję miałabym ją włożyć? – pytam. Nie idę na zimowy bal. Po co dawać PJ-owi, Chrisowi, Victorii i Brigid kolejną okazję, żeby mogli się na mnie gapić?

– *La Noche de las Golondrinas* – odpowiada.

– W Noc Jaskółek razem z Jess, tią, Pilar i sprzedaję *cuernos*⁷⁰ przesadnym turystom – przypominam jej.

– Myślę, że to urocze. Te historie. Dziewczyny w pięknych sukienkach. – Macha wieszakiem.

– Naprawdę chcesz, żebym w tej sukience sprzedawała *pan dulce*? – Unoszę rąbek spódnicy. – Do wieczora będzie cała w cukrze pudrze.

– Zastanów się nad tym. – Mama podaje mi sukienkę. – Jesteś takim typem dziewczyny, jakim zechcesz być.

Prawie rzucam: „Ta, wyhaftuję to sobie na następnej poduszce”, ale zaciskam wargi, żeby się zamknąć.

Lustrzane szkło odebrało mi zbyt wiele. Zmieniło mnie w dziewczynę, która ciągle szuka błysku srebra.

Nie pozwolę, żeby zmieniło mnie w dziewczynę, która łamie serce swojej mamy.

⁶⁹ Oczywiście, że nie.

⁷⁰ Rogaliki drożdżowe.

FALA CHŁODÓW

W moich snach zamarzam. Oblewa mnie zimna woda, która wsiąka mi we włosy oraz w koszulę i twardnieje w powłokę lodu na mojej skórze. Wciągam powietrze, jak tamtego wieczoru. Przeszywa mnie i uderza w klatkę piersiową. Czuję dreszcz, lód przenikający do kości.

Budzę się spocona i rozdygotana. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, co mnie obudziło.

Nie sen.

Szelest na zewnątrz.

Podchodzę do okna i widzę cień po drugiej stronie ulicy. Gruba niebieska kurtka, jeansy, czapka z daszkiem. Ktoś kuca przy korzeniach śnieżnego drzewa, jakby się zastanawiał, jak najlepiej go wyrwać.

Moja senność przeradza się we wściekłość.

Pozostała po koszmarze panika miesza się ze świadomością, że zaraz stracę ciemnobrązowe gałęzie śnieżnego drzewa i jego drobne blade kwiaty.

Mój wykład na temat rozporządzeń miejskich okazał się tak spektakularną klapą, że kobieta kazała wyrwać drzewo w środku nocy.

Widocznie w tym roku wybieram absurdalne walki, bo oto wymykam się z domu tak cicho, żeby rodzice nie usłyszeli, i wypadam na ulicę. Znoszona kremowa halka po babci trzepocze za mną.

Nie mam planu, więc próbuję coś wykombinować w te kilka sekund, które zajmuje mi przejście przez ulicę. Nastraszę go publicznym przesłuchaniem? Zacznę walić do drzwi sąsiadów? Przywiążę się do drzewa na znak protestu?

– Co ty wyprawiasz? – wołam, jeszcze zanim dotrę na drugą stronę ulicy.

Chłopak zastyga, jakby się mnie bał. Czy sąsiedzi dali mu instrukcje? Powiedzieli mu o *la loquita*⁷¹ z naprzeciwka?

– Doniosę, że naruszasz przepisy. – To najżałośniejsza groźba, na jaką kiedykolwiek wpadłam. Na równi z „ostrymi słowami krytyki”.

Podchodzi bliżej, ale potyka się o korzeń.

Dobrze. Przynajmniej nie udaje, że mnie nie słyszy.

Jestem w połowie ulicy, kiedy zatrzymuje mnie błysk srebra. Mruga z kącika oka nieznanego. Dostrzegam błysk zimnego światła, zanim rozpoznam resztę.

Staję na chodniku.

– Lock?

⁷¹Wariatka.

LEŚNY ZŁODZIEJ

Co robiłeś z moim drzewem? – pytam.

Lock patrzy na mnie z fotela kierowcy.

– Twoim drzewem?

– Chciałeś, żebym wsiadła do auta, to wsiadłam. A teraz odpowiadaj.
Co robiłeś?

Opiera dłonie o kierownicę.

– Wynajęła cię tamta kobieta? – drązę.

– Co? Nie.

– Więc co robiłeś?

Teraz opiera o kierownicę też czoło.

– Lock – niecierpliwie się.

– Zamierzałem je zabrać – mówi, nie podnosząc głowy.

Mrugam.

– Co?

Lekko się prostuje.

– Zamierzałem je zabrać, okej?

– Dlaczego?

– To długa historia.

Powoli zaczynam rozumieć. Świadomość fruwa nade mną jak liść.
A potem opada.

– To ty – niemal krzyczę. – To ty jesteś złodziejem drzew!

– Nie jestem złodziejem.

– Zabrałeś dziki bez na Los Rios.

Nie patrzy na mnie.

– Zamierzali go wyrwać.

– I magnolię!

– Zamierzali ją ściąć. – Rumieni się, ale bardziej ze zdenerwowania niż z zakłopotania. – Oszczędziłem im kłopotu.

– Dlaczego? – pytam.

– To długa historia.

– Nie możesz używać tej wymówki! Siedzę w twoim aucie w koszuli nocnej!

– Tak. – Odchrząkuje. – Zauważyłem. – Rumieni się jeszcze bardziej. Tym razem zdecydowanie z zakłopotania.

Zakładam ręce na piersi.

– Co z nimi robisz?

Ściąga czapkę, żeby spojrzeć na mnie bez cienia na twarzy.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? Bo będziesz musiała zapiąć pasy.

Zapinam pasy, nie zrywając kontaktu wzrokowego. Jeśli blefuje, to go sprawdzam. Zdejmuje kurtkę i mi podaje.

– Proszę. – Znów odchrząkuje. – W razie gdyby, no wiesz, było ci zimno.

Jest tak skrępowany, że mam ochotę się z nim droczyć, ale on praktycznie kuli się nad kierownicą. Poza tym jest mi zimno.

– Wszystko jest z nimi w porządku, wiesz? – mówi i rusza spod krawężnika.

Wciągam jeden rękaw.

– Co?

– Z drzewami – wyjaśnia. – Ludzie po prostu ich nie chcą. Nie pasują im do „wizji krajobrazu”.

Jestem zbyt zirytowana, by mu powiedzieć, że pomyślałam to samo. *Una maldición*⁷² tego głupiego programu o renowacjach.

– Dokąd jedziemy? – pytam.

– Niedaleko. Do miejsca tuż obok mojego domu.

– To ma mi pomóc? Nie wiem, gdzie mieszkasz.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie musimy się uczyć na pamięć akt wszystkich uczniów z adresami? – pyta z udawaną urazą. – No i poszło, trzydzieści godzin wakacji, których nigdy nie odzyskam.

Łypię na niego, wciągając drugi rękaw jego kurtki. Pachnie jak kora i mokra ziemia, spadające liście i metal łopat pobrzękujących na pace pick-upa. Dokładnie tak, jak spodziewałabym się po ubraniach złodzieja drzew.

Mijamy college, centrum handlowe, wjazdy i zjazdy na autostradę, aż w końcu wjeżdżamy do rezerwatu przyrody.

– Chcesz mi pokazać, gdzie pochowałeś Chrisa i PJ-a? – rzucam.

Patrzy przed siebie i ze śmiertelną powagą odpowiada:

– Im mniej wiesz, tym lepiej.

Zjeżdża na pobocze, gdzie rząd dzikich drzew osłania teren przed drogą.

– Okej. – Wyskakuje z auta i podchodzi do moich drzwi. – Pamiętaj, chciałaś wiedzieć.

Prowadzi mnie przez parawan drzew.

Spodziewam się dzikich zarośli i niskich krzewów. Ale noc otwiera się na świat gałęzi.

Fioletowe pędy niepokalanka. Lodowe kosmyki śniegowca. Pokryte porostem śliwy i jabłonie. Srebrnoniebieskie kule perukowca z chmurami bordowej waty cukrowej. Tarnina upstrzona owocami okrągłymi jak księżyc i ciemnymi jak sama noc. Cukierkowa fuksja judaszowca, dzięki której gałęzie zawsze przywodziły mi na myśl magiczne różdżki należące do wróżek.

Obłoki niebieskofioletowych kwiatów, w których rozpoznaję dziki bez z Los Rios.

Różowe płatki magnolii.

W słabym świetle księżycy, na tle spowitych błękitem wzgórz, w oddali znajduje się tajemny las. To mała magia zamknięta w zakątku rezerwatu przyrody, gdzie la llorona wstrzymuje oddech.

– Lock. – W moim głosie słychać zachwyt nad drzewami. Znajduję Locka w ciemności za mną. – Jak to wszystko zrobiłeś?

Wokół podstawy kilku drzew widnieje krąg wilgoci – dowód nowego sadzenia.

– Wykopuję korzenie i zaciągam je na pakę pick-upa – tłumaczy. – Mogę brać tylko mniejsze drzewa, ale tak już jest. Zdziwiłabyś się, jak mało osób zwraca na mnie uwagę, kiedy mam na sobie ubrania robocze. Wybieram porę, kiedy właścicieli nie ma w domu, i o ile zachowuję się,

jakbym tam pasował, sąsiedzi uznają mnie za ogrodnika albo pracownika miejskiego.

Myślę o mamie, która jako jedna z niewielu wita się z ogrodnikami parkującymi furgonetki na naszej ulicy w piątki. Sąsiedzi nie zwracają uwagi na Raúla ani Luisa do tego stopnia, że mężczyźni mogliby zburzyć mur oporowy i nikt by nie zauważył.

– Skąd w ogóle wiesz, jak to robić? – pytam.

– Przed monopolowym pracowałem w ogrodniczym – odpowiada.

To wyjaśnia roboczą kurtkę, którą teraz mam na sobie.

– Głównie nosiłem darń i zrębki kory – ciągnie. – Ale dowiedziałem się trochę o podlewaniu, witaminach, korzeniach, szoku przesadzania i takich tam.

– Ukradłeś je wszystkie? – nie dowierzam.

– Wolę mówić: „Przeniosłem” – uściśla. – No i ci ludzie sami ich nie chcieli. A poza tym nie wszystkie zabrałem po kryjomu. Niektóre dostałem. – Dotyka kory śliwy. – Jest taka pani, mieszka niedaleko mnie. Jej brat zmarł kilka lat temu. Na pogrzebie rozdawała sadzonki. Jedną zachowała i zasadziła w doniczce na balkonie. Sadzonka rozrosła się na tyle, że pani chciała przesadzić ją do ziemi.

Coś we mnie puszcza na wieść, że ta kobieta powierzyła małe drzewo, żywe wspomnienie swojego brata, w ostrożne ręce tego chłopaka.

– Po części dlatego muszę tu przychodzić codziennie. Nie mogę odpuścić podlewania, póki drzewo jeszcze rośnie. – Robi krok do tyłu i przygląda się parawanowi drzew. – Ale chyba muszę przyciąć ten pietrasznik, żeby miało więcej słońca.

Jedna jaskółka skalna z płowym podbrzuszem i granatową głową przemyka pomiędzy gałęziami judaszowca. Odlatuje, a światło księżycy odbija się w żyłkach jej piór.

Lock obraca się w moją stronę.

– Więc proszę bardzo: oto las drzew, które wszyscy inni spisali na straty.

– A lagerstremia na mojej ulicy?

Wsuwa ręce do kieszeni spodni.

– Pomyślałem, że uratuję ją dla ciebie.

– Chciałeś sprowadzić moje drzewo tutaj?

Wbija wzrok w ziemię.

– Wyglądałaś, jakby ci na niej zależało.

Moje serce jest miękkie jak cukrowa skorupka *concha*.

Zerkam na drzewa, oceniam je. Moje śnieżne drzewo ma szerszy korzeń niż którekolwiek z nich.

– Zamierzałeś przynieść ją tu sam? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Plan był ambitny, ale uznałem, że warto spróbować.

To uczucie rozbłyska i zaraz gaśnie. Ale przez sekundę mam wrażenie, że powłoka lodu, o której śniłam, pęka. Że odłamki szkła są niegroźne jak brokat w śnieżnej kuli.

Przez sekundę Lock nie jest chłopakiem, którego życie legło w gruzach razem z moim. Nie jest chłopakiem z pokoju obok, za ścianą tak cienką, że słyszę, jak rozpinają mu jeansy.

Jest chłopakiem, który troszczy się o te niechciane drzewa na tyle, że wyrzywa je z ziemi i sprowadza do tajemnego lasu gdzieś przy autostradzie Ortega.

Oddycham ciężko, nie dlatego, że próbuję zaczerpnąć tchu, ale dlatego, że w końcu to robię. Mimo wszystkich szkód, które wyrządziłam, to jedno nie jest moją winą. Drzewa nie znikwały przeze mnie – ratowała je staranna, niewidoczna praca tego chłopaka.

Zdaję sobie sprawę, że coś powiedziałam, dopiero gdy Lock pyta, co nie jest moją winą. Nawet nie poczułam wibracji z tyłu gardła.

– Nic. – Nie mogę na niego spojrzeć, więc spoglądam na trzepoczące liście i nocne pąki tajemnego lasu.

Nie patrzy na mnie z politowaniem ani z przerażeniem. Wydaje się dziwnie wzruszony, gdy mówi:

– Dziękuję.

ZDJĘCIE

Między lekcjami mijam się z Brigid na korytarzu. Wiem, że coś powie, jeszcze zanim zdąży otworzyć usta. Ma zamysłone spojrzenie zabarwione pogardą – nauczyła się go od Victorii.

– Wyglądasz lepiej – rzuca.

Zatrzymuję się, nie tyle przez jej słowa, ile przez jej ton. Jest niemal zachęcający.

– Róż, szminka. – Macha ręką, wskazując moją twarz. – Wyglądasz, jakbyś lepiej się czuła.

„Wyglądasz, jakbyś lepiej się czuła”.

Jakbym wcześniej była przeziębiona.

– Możesz się cieszyć – dodaje i odchodzi.

Wybucha we mnie wściekłość.

– Nie pytałam cię – mówię.

Przystaje i się odwraca.

– Słucham?

– Nie pytałam cię, jak wyglądam. – Podkreślam każde słowo.

Brigid ściąga usta, jakby próbowała się nie roześmiać.

– Wiem, że nie chcesz mieć przyjaciół. Wyraziłaś się jasno. Ale na twoim miejscu nie usiłowałabym robić sobie wrogów.

– Co masz na myśli? – pytam.

– Wszyscy lubili Jess. Ciebie nie lubi nikt. Oprócz nas. My cię lubiliśmy. Ale skutecznie pokazałaś nam, że masz to w dupie. Victoria może i nadal jest dla ciebie miła, ale nie zapomni, co zrobiłaś.

– Co ja zrobiłam?

– Nie pamiętasz? Wydawało mi się, że nie byłaś nawalona, ale może... – Kończy myśl wzruszeniem ramion.

– Co ja zrobiłam? – Jestem tak zdezorientowana, że nalegam na odpowiedź.

Brigid mruży oczy.

– Naprawdę nie pamiętasz?

Ściska mnie w gardle.

– Pamiętam wszystko, co się wydarzyło na tamtej imprezie – mówię.

– Więc wiesz, o czym mówię.

– Nie, nie wiem.

– Odpuść sobie tę minę niewiniątka. Nie sprawdza się u kogoś takiego jak ty.

Takiego jak ja? Kogoś niebiałego? Queerowego? Kogoś, kto ma biodra i tyłek?

– Victoria nie zapomina – cedzi Brigid. – I ja też nie. Nawet jeśli nachlani PJ i Chris zapominają następnego dnia rano. Uwierz mi, jeśli chcesz, żeby zrobiło się niezręcznie, to nie ma sprawy.

Na odchodne trąca mnie ramieniem.

Trzęsę się od uderzenia.

O czym ona mówi, do cholery? Przecież już jest niezręcznie.

Brigid i Victoria nie mogą być na mnie złe za to, co PJ i Chris mi zrobili. Muszą wiedzieć, że to nie był mój wybór.

Nie wiedzą?

Czy to dlatego tak mnie nienawidzą? Czy właśnie to mają mi za złe od tamtego wieczoru?

To pytanie wciąż dzwoni mi w głowie – muszą wiedzieć, prawda? – po ostatniej lekcji.

Kiedy otwieram szafkę, wypada z niej prostokąt z białą ramką. Przez sekundę nie rozumiem ani jego, ani tego, co na nim widnieje.

Najpierw dociera do mnie, co to jest.

Zdjęcie. Z polaroida – podobne do tych, które blakną w moich starych albumach rodzinnych. Takie aparaty zazwyczaj zalegają u ojców w garażach.

Nadal usiłuję ogarnąć ten prostokąt, kiedy przypominam sobie fascynację Victorii i Brigid starymi rodzinnymi pamiątkami. Przed ostatnim zimowym bale Victoria znudziła się wieszakami z odświętnymi sukienkami i wbiła się w jedną z wełnianych spódnic swojej babci (do której włożyła białą koszulkę bez rękawów droższą od mojego biurka). Przez pół pierwszej klasy na nadgarstkach Brigid pobrzękiwały plastikowe bransoletki z lat siedemdziesiątych, a spod nich unosił się zapach perfum za sto dolarów.

Moje oczy próbują zrozumieć ciemny obraz w białej ramce, jakby zdjęcie wywoływało się przede mną.

To burza moich włosów na mojej twarzy. Rozpoznaję, w którym momencie zostało zrobione, widzę drżenie, z którym się opieram. Ale

aparatur mnie złapał, uchwycił, jak obnażam zęby, prawie jakbym się uśmiechała.

To zdjęcie dziewczyny na tyle pijanej, że wszyscy spodziewaliby się po niej pójścia do pokoju z dwoma roześmianymi chłopakami.

Wspomnienie tamtego wieczoru wyciąga ręce i próbuje mnie porwać.

Kto zrobił to zdjęcie? I kiedy? Widać na nim tak mało tła, że mogło zostać wykonane o każdej porze. Widać tak mało mojej bluzki, że nie mogę stwierdzić na pewno, czy to był ten wieczór. Mogli zrobić tę fotkę na każdej imprezie i wyciągnąć ją teraz, nadać jej nowego kontekstu z sugestią, że uchwyciła moment z tej nocy, gdy weszłam do pokoju z PJ-em i Chrisem.

Na tym zdjęciu wyglądam nie tylko na pijaną, ale i na chętną. Nigdy nie byłabym chętna, nawet gdybym była pijana, ale w miejscu takim jak Astin jakimś cudem winna jest osoba, która pije, a nie *pendejos*⁷³, którzy traktują to jako przyzwolenie.

To zdjęcie to groźba, ostra i klarowna jak rozbite szkło.

Brigid, Victoria, PJ i Chris już wmówili całej szkole, co chcieli. Jeśli ich zdenerwuję, pokażą wszystkim to zdjęcie.

Plotki to jedno. Ale myśl o tym, że Jess, tía i mama zobaczą to zdjęcie, sprawia, że moje ciało staje się kruche jak szron. Bez względu na to, czy uwierzą w prawdę, czy w to, co zobaczą na zdjęciu, ten obraz złamie im serca i zniszczy mój świat.

Brigid miją moją szafkę i rzuca mi sztuczny uśmiech.

⁷³ Idioci, dupki.

LAS HADAS

Lukruję różowe ciasta. Uzupełniam witrynę. Piękę kolejną partię *galletas de gragea*, posypuję kruche ciasteczka tęczową posypką. Wszystko, co tylko mogę, żeby wprawić tię w dobry nastrój, bo musi mieć dobry nastrój.

Przygotowuję nawet piniaty – wydrążam połówki ciasta, wypełniam je jaskrawymi cukierkami i sklejam za pomocą lukru. Jak najszybciej ozdabiam je falbankami masy cukrowej i wiórkami kokosa, by wyglądały jak pokryte arkusikami papieru.

Zazwyczaj uwielbiam nasze torty piniaty tak samo jak nasi klienci, lubię ich wyraziste kolory i ukryte w środku cukierkowe serduszka. Ale teraz wzdrygam się na myśl, że po przekrojeniu od razu wyleją się z nich wnętrzności.

Szczególnie że nie mogę przestać myśleć o tym zdjęciu.

– *Mira*⁷⁴ – zdumiewa się ciocia, gdy wchodzi do kuchni. – *Las hadas*⁷⁵ przyszły w nocy i zrobiły połowę pracy za nas. – Całuje mnie w czubek głowy, a potem naciąga siatkę na włosy. – Dziękuję, *mija*.

Obracam się i mrużę oczy, patrząc na świt za oknem.

– Moje intencje nie są do końca uczciwe – stwierdzam.

– *Que intriga*⁷⁶. Jestem zainteresowana.

Zaciskam wargi.

– Czy mogę cię o coś prosić?

– Nosisz róż i stoisz wyprostowana. – Wskazuje moje muśnięte brzoskwińowym blaskiem policzki. – Możesz poprosić mnie o gwiazdkę z nieba.

– Wiesz, że rodzice niedługo mają ważną rocznicę.

– *Mierda*⁷⁷. Dobrze, że mi przypomniałaś. – Podchodzi do swojego biurka i bierze notatnik. – Muszę im coś kupić.

Staję w drzwiach między kuchnią a jej biurem.

– W przyszłym tygodniu mają jechać na rocznicowy wyjazd.

– *Lo sé*⁷⁸. – Ciocia zapisuje datę w notatniku, za który cały czas ręczy.

Opieram się o framugę.

– Myślę, że nie pojedą.

Przewraca kartkę na stronę z dzisiejszą datą.

– Dlaczego?

– Bo uważają, że nie mogą zostawić mnie samej.

Patrzy na mnie.

– Dlaczego?

Czuję się, jakbym rozmawiała z moim najmłodszym *primo*. Ciągłe powtarzane przez Antonia „dlaczego” męczą nawet najdzielniejsze starsze kuzynostwo.

– Bo wydaje im się, że jest ze mną źle.

– A jest źle?

– Jest lepiej, niż było od jakiegoś czasu.

Naprawdę będzie lepiej, jeśli przestanę być dziewczyną, która podsłuchuje na schodach i wie, że jest ciężarem trzymającym rodziców setki kilometrów i tysiące metrów od tych wszystkich kolorowych balonów.

Ciocia się prostuje. Przygląda mi się badawczo. Ocenia moje muśnięte różem policzki. Umyte włosy spięte w podkręcony kucyk, choć i tak musiałam schować je pod siatką. Jeansy, które podkreślają biodra rodziny Cristales.

Tía ściąga usta.

– Porozmawiam z nimi.

Rośnie we mnie nadzieja, tak żywa, że prawie widzę rodziców unoszących się wśród setek balonów.

– Naprawdę?

– Zobacysz. – Kiwa głową. – Jestem starszą siostrą. Mam swoje sposoby.

Dzwonek ogłasza nadejście klienta.

– Ja się tym zajmę – rzucam. – Jess zaraz przyjdzie. Do tego czasu ogarnę kasę.

Poprawiam fartuch, kiedy go zauważam – chłopaka o rysach, które na jawie stają się tak znajome, jak już są w moich koszmarach.

Tyle że teraz jest w pastelerii, gdzie nigdy go nie widziałam, a moje koszmary nigdy go nie zabrały.

Dziewczynka w plastikowej tiarze wybiega przed niego jak kotka płacząca się pod nogami. On robi unik bez mrugnięcia okiem.

– Uważaj, Vi – ostrzega.

– Podnieś mnie – prosi dziewczynka, gdy dociera do witryny.

Lock ją podnosi, a ona usadawia się na jego biodrze. Próbuje nałożyć mu tiarę na głowę.

Kiedy jego wzrok pada na mnie, Lock mruga.

– O – mówi, przyswajając mnie w wersji bez mundurka, w turkusowym fartuchu. – Cześć.

To „cześć” jest bardziej ostrożne niż przyjazne. Nie miał pojęcia, że tu pracuję. Pewnie spodziewał się pań z włosami białymi jak cukier puder.

– Cześć – odpowiadam, a on pewnie słyszy w moim głosie, jak bardzo podoba mi się jego widok w różowej tiarze.

– Vi, to jest Ciela. Ciela, to jest Violet.

Po tym, jak wyciąga rękę, domyślam się, że Violet urządza dużo podwieczorków.

Pozwalam jej lekko ścisnąć mi dłoń.

Magia bisabueli nie zawodzi. Kipi we mnie z wyraźnym szeptem.

– Nie lubisz lukru – zagajam.

Zachwyty na jej twarzy zdradza mi, że mam rację.

– Skąd wiedziałaś? – pyta Lock.

Zastanawiam się nad najlepszą odpowiedzią. „Szczęśliwy traf”? A może tekst tii: „Mam swoje sposoby”?

Zastanawiam się za długo, więc w końcu tylko wzruszam ramionami.

– U Vi w przedszkolu robią tak, że dzieci, które mają urodziny w wakacje, przynoszą słodkości w tych tygodniach, kiedy nikt inny nie ma urodzin – tłumaczy Lock. – Vi ma urodziny w czerwcu, więc przyszła kolej na nią.

Już sięgam po najbardziej kolorowe kruche ciasteczka, jakie mamy. Ta dziewczynka nie dba o różowy lukier *los cortadillos*⁷⁹, ale na pewno ma słabość do tęczowej posypki.

– A, jak już ustaliliśmy – ciągnie Lock – trudno ją do czegoś przekonać.

– Dogadałabyś się z moją ciocią – mówię do Violet. – Ona też nie lubi lukru. – Tía uważa lukier za zło konieczne, cenę, jaką płaci za prowadzenie interesu.

Wyciągam *galleta de gragea* z witryny. Odzyskuję wstążkę magii, która podpowiada mi dokładnie, jakie *pan dulce* kogoś uspokoi, doda mu odwagi albo nadziei.

– Może spróbujesz tego? – Wręczam jej okrągłe ciastko obsypane tyłoma drobkami, że nie widać nic pod spodem.

Violet lustruje *la galleta*, bada je ze wszystkich stron, a ja lustruję Locka.

Świadomość, że dar bisabueli nie wrócił na tyle, bym mogła go rozgryźć, zgadnąć, jakie *pan dulce* rozjaśni zakamarki jego serca, gdy stoi w pastelerii, wytrąca mnie z równowagi. Zostaje ze mną jak nieudany przepis, gdy ciasto nie napęcznieje albo źle dobiorę przyprawy.

– Lubisz kokos? – pytam Locka.

– Nie lubi – odpowiada za niego Violet.

– Lubi lukier? – pytam Violet.

– Może być – odpowiada Lock ze wzruszeniem ramion. Uśmiecha się, jakby właśnie na coś wpadł. – Czeka, próbujesz zgadnąć, jak z Violet?

Usiłuję nie zerkać na witrynę.

– Nie – rzucam.

– Totalnie próbujesz – stwierdza.

– Wcale nie.

Przynajmniej Violet kiwa głową i potwierdza, że nie myliłam się co do niej.

Pakuje do pudełka ciasteczka z tęczową posypką.

– Daj znać, jak już zgadniesz – mówi Lock. To sprawia mu zbyt dużą przyjemność.

– O Boże. – Głos Jess każe nam spojrzeć w stronę drzwi do kuchni. Moja przyjaciółka patrzy na Locka. – Flanela w kratę?

– Co? – pyta Lock, bo wcale nie ma na sobie flaneli w kratę.

– Co on tu robi? – zwraca się do mnie Jess. Jest zachwycona i to moja wina, bo nie powiedziałam jej o tym, co Brigid i Victoria mu zrobiły, ani o odłamku lustra.

Pamięta tylko pierwsze godziny imprezy.

– Czy wy... – Jess spogląda to na mnie, to na Locka.

Wzrok Violet wodzi za spojrzeniem Jess.

Tamtego wieczoru to Jess pierwsza zauważyła, że patrzę na chłopaka, którego imienia jeszcze nie znałam.

„Podoba ci się – droczyła się ze mną, kiedy siedziałyśmy na kanapie. – Gapisz się na niego cały wieczór”. Uniosła w jego stronę drinka z colą zero i grenadyną.

„Nie patrz na niego”. Próbowałam się schować w poduszkach. „Połapie się, że o nim rozmawiamy”.

„Skoro najwyraźniej jesteś ślepa, mam obowiązek poinformować cię, że gapi się na ciebie cały czas, kiedy wydaje mu się, że nie patrzysz”.

Uszczypnęła mnie, a ja jęknęłam, bardziej na pokaz niż z bólu. „Carajo⁸⁰”. Zepchnęła mnie z kanapy. „Anda⁸¹ do flaneli w kratę. Pogadaj z nim”.

Kiedy do niego zagadałam, już był na tyle rozluźniony, bym uznała, że jest po jednym albo dwóch drinkach. Nie miałam pojęcia, że dosypali mu czegoś do dra peppera.

Gdybym go znała, może bym się domyśliła.

Gdybym się domyśliła, może przewidziałabym, co się wydarzy. Może wiedziałabym, jak to powstrzymać, jak nie dopuścić do tego, byśmy znaleźli się w tamtych pokojach.

Wracam do rzeczywistości i widzę, że Jess go kasuje, a na jego twarzy maluje się puste przerażenie.

Rozpoznaje mnie.

Nie jestem już tylko dziewczyną, którą poznał na imprezie.

Przypomina sobie coś. Może nie mgliste wspomnienie mojej twarzy, ale prawdę o tamtym wieczorze. Szczegóły. Jeansy z wysokim stanem. Mój ulubiony żółty sweter. Warkocz, nad którym moja mama spędziła pół godziny.

Teraz się przed tym cofa, cofa się przede mną, zmierza w kierunku drzwi z Violet wciąż opartą na biodrze.

– Hej, nie zapomnij wypieków. – Jess wciska mu pudełko do wolnej ręki.

Bierze je, ale nadal się cofa.

Violet patrzy na nas ponad jego ramieniem.

Tuż przed tym, jak się obraca, dostrzegam plamkę srebra w jego oku. Rozbłyska, a potem gaśnie jak zielony promień o zachodzie słońca.

Wzdryga się, jakby poczuł ją głębiej.

Wtedy już wiem.

Od razu.

Odłamek lustra wchodzi tak głęboko, że Lock nigdy się go nie
pozbędzie.

[74](#) Zobacz, tutaj: no proszę.

[75](#) Wróżki.

[76](#) Intrygujące.

[77](#) Gównno, tutaj: cholera.

[78](#) Wiem.

[79](#) Ciasto drożdżowe przełożone dżemem, z różowym lukrem na wierzchu.

[80](#) Kurwa, cholera.

[81](#) Idź.

PENDEJOS

Co tu się wydarzyło? – pyta Jess.
– Naprawdę musiałaś to robić?

– Ale co? Gość ci się podoba. Przyszedł cię odwiedzić, a ty nawet mi nie powiedziałaś?

– Nie przyszedł mnie odwiedzić.

– Gówny prawda. To dlatego zniknęłaś tamtego wieczoru? – pyta bardziej z zainteresowaniem niż oskarżycielsko. – Byłaś z nim?

– Odpuść, okej? – mówię cicho, żeby tía i Pilar nie słyszały wśród warkotu mikserów i szumu piekarników.

– Wiesz co? Spoko. Nic mi nie mów. Tak jak przez całe lato.

– Jess.

– Nie. Mam dosyć udawania, że między nami nie jest do dupy, odkąd poszłam do Laurel. Jesteś na mnie zła, bo wcześniej skończyłam szkołę? Czujesz, że cię porzuciłam czy coś? O to chodzi?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Więc co się stało między nami? Nie mam pojęcia, co się dzieje w twoim życiu, i szczerze mówiąc, ty nie masz pojęcia, co się dzieje w moim.

– Wcale nie.

– Tak? A ile razy byłaś w moim akademiku?

– Nie wiem, kilka?

Może raz, odkąd pomogłam jej przy przeprowadzce.

– W którym budynku mieszkam? – naciska.

Otwieram usta, nie zdając sobie sprawy, że nie mam odpowiedzi.

Wyprowadzka do akademika była kością niezgody między nią a jej rodzicami, skoro Jess może dojeżdżać – i dojeżdża – do pracy w pastelerii. Niedzielne obiady z rodziną to dla niej limit, zwłaszcza że jej siostra, będąca buforem podczas świąt, mieszka na drugim końcu kraju.

Od tygodni nie pytałam, jak sobie z tym wszystkim radzi.

– Która dziewczyna z komparatystyki mi się podoba?

– Jest jakaś dziewczyna?

– Tak – mówi Jess niemal smutno. – Polubiłabyś ją. Głośno się śmieje. Ma kolekcję pluszaków na pół łóżka. Świetnie gotuje, ale nie umie piec. Dzięki temu jeszcze bardziej docenia dobre desery. Była tu i może gdybyś się zainteresowała, tobyś zauważyła. Zazwyczaj nosi ze sobą pół biblioteki.

– Czekaj. – Opis Jess coś mi przypomina. Myślę o dziewczynie, która parę razy była w pastelerii, z torbą książek tak ciężką, że od samego patrzenia bolało mnie ramię. Czuję zapach galliny: wanilię, cynamon i krem. – Jest blondynką?

Jess wzdycha.

– Dla ciebie jasnobrązowe włosy są blond.

– Dobra, ale czy ja uznałabym ją za blondynkę? – pytam.

– Pewnie tak.

– Jest zakochana – wyrzucam z siebie.

– Co? – pyta Jess.

Kiwam głową.

– We mnie? – dopytuje.

– Tego nie wiem. Wiem tylko, że dlatego pragnęła galliny.

W życiu nie widziałam Jess tak zrozpaczonej. Naprawdę podoba jej się ta dziewczyna i ma rację, nawet tego nie zauważyłam.

– Chcę ją poznać – dodaję. – Oficjalnie, nie tylko przy kasie.

– Zapomnij.

– Mówię serio. Przepraszam. Chcę wiedzieć, co się dzieje w twoim życiu.

– A ja chcę wiedzieć, co się działo w twoim przez całe lato.

Patrzy na mnie nie tyle wymagająco, ile pytająco i cierpliwie, jakby mogła cały dzień stać i czekać na odpowiedź, jeśli to będzie konieczne.

Jess zawsze mówi, że musiałyśmy zostać *amantes*, żeby móc stać się *hermanas*. Ale po tamtym wieczorze moje serce zatrasnęło się na wszystkich, łącznie z moją siostrą. Jess towarzyszyła mi, kiedy robiłam tatuaż, siedziała ze mną przez całą wizytę w salonie zatwierdzonym przez doktora Emmotta, nawet się nie wzdrygnęła, gdy podczas nakładania koloru poleciała krew. Rozmawiałyśmy o naszych crushach, ukochanych i znieawidzonych książkach, infekcjach intymnych i bolesnych okresach.

Ale nie mogę wyznać, co się wydarzyło po tym, jak straciłyśmy się z oczu na imprezie.

Kiedy ze sobą chodziłyśmy, w łóżku byłyśmy łagodne, ostrożne i troskliwe. Jak mogę jej powiedzieć, że mój następny raz w łóżku z inną

osobą odbył się, bo zostałam na nie zaciągnięta siłą?

Ale jeśli jej nie powiem, stracę ją. Widzę to po ostrym błysku w jej oku.

– Tamtego wieczoru coś się wydarzyło – mówię cicho. Słowa ledwo przechodzą przez zaciśnięte gardło.

– Jakiego wieczoru? – Jess nie rozumie.

– Na imprezie.

Niemal widzę cień przemykający po jej twarzy.

– Co to znaczy „coś”?

Supel w moim gardle się zacieśnia. Przelyk napina się i zamyka.

Jess i ja byliśmy piękne jako *amantes* i piękne jako *hermanas*, a ja uznałam, że to stracimy, jeśli się dowie, jaka jestem rozbita. Że z *hermana* stanę się *hermanita*, młodszą siostrą, której trzeba żałować i strzec.

Albo gorzej – że Jess zauważy garść szronu, którą stało się moje serce, rozbite szkło we mnie. Z uwagi na to, jak dobrze mnie zna, myślałam, że przejrzy moją skórę na wylot, zobaczy, że krzywda, która spotkała mnie i chłopaka w pokoju obok, to moja wina.

Ale nie mogę cały czas trzymać tego w sobie.

– Coś złego – rzucam szybko, a potem biorę płyn do mycia szyb i pryskam na witryny. Nie mogę stać nieruchomo i patrzeć na nią, gdy będzie uświadamiała sobie prawdę. – Wtedy straciłam moją smykałkę do podpowiadania *pan dulce*.

– Poczekaj. – Podbiega do mnie, kiedy czyszczę szybę. – Ten chłopak, który przed chwilą tu był, zrobił ci krzywdę? To masz na myśli?

– Nie.

Ale ona się nakręca.

– Bo jeśli tak, to skopię mu jego *gringo* dupę.

– Nie rób tego. Próbuję mu pomóc.

– Z czym?

– Z *pendejos* w szkole. Nie odpuszczają mu.

– Ale dlaczego to ty musisz mu pomagać? – To nie pytanie, które mówi: „Walić wszystkich, niech broni się sam”. To pytanie, które prosi o brakujące elementy, bo ja ich nie daję.

Nie mogę powstrzymać westchnienia, nie dlatego, że moja najlepsza przyjaciółka nie zasługuje na wyjaśnienie, ale dlatego, że nie wiem, jak sensownie to wytłumaczyć.

– Tamtego wieczoru straciłam magię bisabueli, ale od kiedy mu pomagam, magia powoli wraca.

– A jeśli to nie ma nic wspólnego z pomaganiem?

– Co masz na myśli?

– Może to dlatego, że stawiasz się tym *pendejos*? Wiem, o kim mówisz. Chodziłam do tej szkoły. Victoria poniżała cię od samego początku. Nigdy nie widziałam, żebyś się broniła.

Ta uwaga lekko mnie przygniała, ale myślę o niej tylko przez kilka sekund, bo Jess znów się odzywa:

– Przysięgasz, że cię nie skrzywdził?

– Nie skrzywdził.

– Na pewno? Bo gdyby jakaś dziewczyna, która spodobała mi się na imprezie, nagle pojawiła się w mojej szkole, to byłabym zadowolona, a ty nie byłaś zadowolona i jedyne, co mogę wyłapać z tego, co mówisz,

to że on cię skrzywdził i że miałaś nadzieję już nigdy go nie zobaczyć, a kiedy zobaczyłaś, to spanikowałaś.

– Jess – zaczynam.

Ale ona nie skończyła.

– I nie chcesz mi powiedzieć, bo wiesz, że jeśli cię skrzywdził, to, co robią mu bogate dzieciaki, jest niczym w porównaniu z tym, co ja mu zrobię...

– Jess – przerywam jej w końcu, rzucając na ladę płyn i ścierkę. – Jego też skrzywdzili. Skrzywdzili nas oboje.

Patrzy na mnie i mruga.

– Co?

Próbuję się rozluźnić.

– Mnie w jednym pokoju. – Z mojego gardła dobywa się pisk, choć mówię cicho i przez zaciśnięte zęby, bo nawet po kilku miesiącach nadal się boję, że jeśli otworzę usta zbyt szeroko, zacznę krzyczeć. – A jego w drugim. On nie pamięta nic, a ja wszystko, chociaż wolałabym nie pamiętać.

Wyrzucam to jednym tchem i przez sekundę jestem w tych dwóch pokojach. W moim, jasnym, z białą narzutą, zasłonami i drogimi lampami. W jego, ciemnym, ze zgaszonymi światłami.

Jess nie próbuje mnie przytulać ani w ogóle dotykać. Nie pyta, czemu tego nie zgłosiłam. Wie tak samo dobrze jak ja, że to oznaczałoby walkę z rodzinami, które dały nazwiska aulom i boiskom.

Tylko kręci głową, wbijając wzrok w podłogę, i mówi jedyne, co można w tej chwili powiedzieć:

– Co, kurwa?

To pytanie nie bierze się z niedowierzania. To pytanie nawet nie jest skierowane do mnie.

To pytanie zadane całemu światu.

„Co, kurwa?”

Kiedy mówi to na głos, mogę odetchnąć. To pytanie, które moje serce zadaje od miesięcy.

VERDAD

Proszę, powiedz, że to już ostatnia. – Taszcę na dół kolejną walizkę z zestawu mamy.

– Wiesz, ile trzeba, żeby wyglądać, jakby tak się wstało z łóżka. – Wskazuje swoją twarz jak hostessa w teleturnieju. – Swoją drogą. – Teraz wskazuje mnie. – Naprawisz to?

Patrzę na swoje spodnie od piżamy.

– Ale co?

Wzdycha cierpiętniczo.

– Może chociaż umyj włosy.

– I to mówi kobieta, która nauczyła mnie używać cynamonu jako suchego szamponu? – Nadal jestem sceptycznie nastawiona do tej metody, a tía uważa ją za bluźniercze marnotrawstwo *canela*, ale to nigdy nie powstrzymuje mamy przed gonieniem mnie ze szczyptą cynamonu w palcach.

– Nie proszę o suknię Miss Ameryki – mówi mama. – Po prostu... – Robi tę minę, która każe ludziom myśleć, że szuka delikatnych słów, a zazwyczaj nie szuka. – Coś poziom wyżej niż chłopięcy strój na WF.

Znów kręci palcem jak wróżka chrestna, jakby mogła przemienić mnie w Kopciuszka idącego na bal, z błyszczkiem na ustach.

– Wezmę prysznic i odwrócę bluzę na drugą stronę – rzucam.

– *Estupendo*⁸² – wtrąca się do rozmowy tata, przechodząc obok. –
W tym domu lubimy higienę.

Włożyłabym tę tiulową sukienkę z second handu i paradowała w niej po ulicy, gdyby to miało nakłonić ich do wyjścia. Przekonanie rodziców, żeby jednak pojechali na rocznicową wycieczkę, to jedyna rzecz, której nie schrząniłam.

Ciocia trąbi pod domem, więc przytulam rodziców na pożegnanie.

– Tía będzie do ciebie wpadać – oznajmia mama i się odsuwa. –
Więc nawet nie myśl, żeby organizować imprezy.

– Powinnam odwołać striptizerów? – pytam.

– Zostaw tylko trzech, inaczej będzie w złym guście.

– Jesteś taka mądra.

– Nagrasz mi seriale, ¿sí? – upewnia się.

– Sama nastawiłaś nagrywarke, *mamá* – przypominam.

– Dopilnuj, żeby nagrała – prosi, wsiadając do auta tii. – Clara i Evelina lada dzień dowiedzą się, że są siostrami.

Tía rusza, a ja macham, dopóki nie skręcą za róg. Dopiero kiedy znikają mi z oczu, dostrzegam znajomego pick-upa i znajomego chłopaka, który z niego wysiada.

Ściska mnie w żołądku.

Lock przechodzi przez ulicę.

– Szukałem cię w piekarni, ale twoja przyjaciółka Jess powiedziała, żebym przyszedł tutaj. – Wsuwa rękę do kieszeni. – Właściwie to powiedziała, że jeśli znam cię wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, gdzie mieszkasz, to powinienem przyjść tutaj, a jeśli nie, to nie znam cię

wystarczająco dobrze, żeby przychodzić do ciebie do pracy, i że mam, cytuję, uprzejmie spadać.

Brzmi tak swobodnie, że aż się zastanawiam, czy wcześniej nie wyobraziłam sobie, że mnie rozpoznał.

– Tak, to pasuje do Jess. – Wskazuję kciukiem czerwono-niebiesko-zielony dom i śmiertelnie poważnie rzucam: – Jak go znalazłeś?

Próbuje się roześmiać, ale nie do końca mu to wychodzi.

– Możemy porozmawiać? – prosi.

Zerkam na dom.

– Chcesz wejść?

– Nie.

82 Świetnie, wspaniale.

OBUDŹ SIĘ

Wtedy rozumiem.
Wie wszystko.

Wie, że to moja wina.

Wie, że gdybym się nie pomyliła, gdybym nie popełniła błędów, które popełniłam, mogłabym ocalić nas oboje.

Założyłam, że Lock był pijany. Nie na tyle pijany, żebyśmy musieli po kogoś dzwonić, ale na tyle, żeby wałęsał się po imprezie pełnej obcych w obcym domu. A ponieważ tak założyłam, zaprowadziłam go na górę, do jednego z pięciuset pokoi gościnnych Kinkopfów, i kazałam mu odespać, w czasie gdy ja będę szukała kluczy i wody dla niego.

Ten moment przesądził o jego losie. Położyłam go w pokoju, gdzie doświadczył najgorszej rzeczy, jaka mogła go spotkać.

Potem wróciłam na górę, żeby się upewnić, czy wszystko u niego w porządku, sprawdzić, czy nadal leży na boku, jak go zostawiłam, zobaczyć, czy będzie w stanie mi powiedzieć, gdzie mieszka, żebym mogła zabrać go do domu.

Ten moment przesądził o moim losie.

Nie dotarłam do niego na czas. Victoria i Brigid dopadły go pierwsze. A PJ i Chris dopadli mnie.

Przez te dwa błędy wylądowaliśmy w tych dwóch pokojach, on w ciemnym jak ocean nocą, ja w tak rażącym, że biały wystrój wciąż przyprawia mnie o mdłości.

Wiem, że w tej chwili siedzę w pick-upie Locka, ale z każdym mrugnięciem wracam do tamtego wieczoru, do momentu po.

PJ i Chris mnie zostawili. Victoria i Brigid zostawiły Locka, którego imienia wtedy jeszcze nie znałam. Leżę nieruchomo, ramiona i gardło mam spięte, nie otwieram oczu, dopóki hałas na górze nie ucichnie i nie upewnię się, że naprawdę sobie poszli.

Wtedy odnajduję Locka.

Zostawiły go na łóżku, w rozpiętych jeansach. Zanim zapnę mu rozporek, próbuję go wyczyścić. Nie chcę, żeby po przebudzeniu znalazł odciski szminki na podrażnionej skórze penisa. Ale kiedy zbliżam się z wilgotnym rąbkiem bluzki, wydaje z siebie jęk, tak ostry i zbolący, że boję się, czy nie przegryzie sobie języka, więc tylko poprawiam mu bokserki i zapinam jeansy.

Chwytam go za barki i mówię:

– Obudź się.

Wiotczeje w moim uścisku.

Potrząsam nim.

Nie reaguje, tylko trzęsie się w moich dłoniach.

– Obudź się – powtarzam. Z tyłu mojego gardła dobywa się piskliwy krzyk.

Jeśli cokolwiek tego wieczoru jest dosyć głośne, by do niego dotrzeć, to prawdopodobnie to – moje piskliwe krzyki: „Obudź się, obudź się”.

Albo to, co robię potem.

Rozglądam się po pokoju za czymś, co mogłoby go obudzić, ale nie zrobić mu krzywdy. Muszę go obudzić. Muszę go stąd zabrać.

Wtedy dostrzegam szklanki na komodzie. Jedna, po której widać, że jest pusta, stoi na marmurowej podstawce. Druga, nadal pełna, z topniejącym lodem w środku, stoi w kałuży skroplonej pary. To szklanka Brigid, nie mam wątpliwości. Victoria wie, że nie powinna niszczyć lakieru na meblach rodziców, a ponieważ rodzice urządzają jej awanturę za plamy, ona urządza awanturę Brigid.

Nie. Nie mogę mu tego zrobić. Nie mogę oblać tego chłopaka rozwodnioną wódką z lodem w prawdopodobnie najgorszą noc jego życia. Ale słyszę głosy i kroki na dole – jeśli go stąd nie wyciągnę, Victoria i Brigid mogą wrócić, żeby jeszcze bardziej go skrzywdzić. Może przyprowadzą inne dziewczyny w ramach jakiegoś testu, żeby po ich reakcjach stwierdzić, którym warto poświęcić czas, a które sobie odpuścić. Po dzisiejszym wieczorze nie zdziwiłabym się, gdyby zorganizowały sobie konkurs, ile odcieni szminki odcisną na nieprzytomnym chłopaku.

Podnoszę szklankę z kałuży. Zanim zdążę zmienić zdanie, wylewam zawartość na chłopaka.

Lód go trafia. Rozwodniona wódka wsiąka mu w rękaw. Chłopak wciąga powietrze i stęka. Nie budzi się do końca, ale się rusza.

To, co mu podali, znów próbuje go wciągnąć. W ciemności prawie widzę rękę tego czegoś.

– Nie. – Ściskam go za ramię. – Wstajesz. Teraz.

Nie jest przytomny, ale dam radę postawić go na nogi, jeśli tylko się o mnie oprze.

Widzę tego Locka, kiedy zbyt intensywnie myślę o tamtym wieczorze, kiedy na zbyt długo się na tym zatrzymuję. Jest poturbowany,

przestraszony i półprzytomny, a ja jestem suką, która zrywa go z łóżka i każe mu iść.

Głos Locka sprowadza mnie do rzeczywistości, wyrywa ze wspomnienia pachnącego moim potem, wodą po goleniu PJ-a i Chrisa oraz perfumami Victorii i Brigid, ściąga z powrotem między powyginane gałęzie ulicy, na której się wychowałam.

Rozumiem jego słowa dopiero po chwili, która przypomina mi spacer po murku przed domem abueli, nieskończone momenty, gdy wiedziałam, że zaraz spadnę, a mimo to próbowałam utrzymać równowagę.

– Zawiozłaś mnie do szpitala – mówi.

Wracam myślami do pick-upa.

Lock mruga. Nie patrzy na mnie. Opiera rękę o kierownicę i patrzy przed siebie.

Wciąż szukam błysku srebra, tej maleńkiej plamki lustrzanego szkła w jego oku. Jeśli ją dostrzegę, to znaczy, że jeszcze w nim nie ugrzęzła. Nie weszła tak głęboko, żeby nie dało się jej wyciągnąć.

Ale nie widzę nic poza blaskiem jego oczu.

– Uratowałaś mi życie – dodaje szeptem cichym jak szum liści na ulicy.

– Nie, nie uratowałam – zaprzeczam.

– Jeśli mi nie wierzysz, spytaj pielęgniarki. – Teraz na mnie spogląda. – Nie wiem, co by się stało, gdybyś mnie nie zabrała z tej imprezy, one też nie.

Byłam tak przygotowana na jego gniew, że to wytrąca mnie z równowagi, jakbym straciła środek ciężkości.

Nie zasługuję na to. Zasługuję na jego nienawiść. Zasługuję na własną nienawiść. Bo te błędy, moje pomyłki i złe założenia tamtego wieczoru złożyły się na wszystko, z czym od tamtej pory musimy żyć.

Powinnam powiedzieć mu prawdę – że ten wieczór zniszczył nas oboje i że to była moja wina.

Ale nie mogę. Nie mogę powiedzieć tego wszystkiemu chłopakowi, który nadal podnosi się z podłogi.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – pyta.

Czuję smak słów na języku. To prawda, którą mogę mu dać:

– Bo nie chciałam o tym pamiętać.

Kiwa głową.

– Dziękuję. Za... – Bierze wdech. – Za to, co zrobiłaś.

Chcę mu powiedzieć, żeby nie dziękował, jednak on kontynuuje:

– Ale nie mogę już spędzać z tobą czasu.

Odłamek lustrzanego szkła w moim sercu się przesuwa.

– Co?

– Powiedziałaś, że nie chcesz pamiętać. Ja też nie chcę. Nie mogę. A to oznacza, że nie mogę spędzać z tobą czasu.

Coś ciężkiego przygniata mi pierś.

Magia bisabueli wraca do mnie niczym jaskółki na wiosnę. Lock odnajduje się w szkole. Skończyliśmy składać broszury dyrektora Whitcomba. A odłamek lustra w oku Locka utknął tak głęboko, że nie da się go pozbyć. Dotarł do serca, tak jak mój. Nie mogę nic na to poradzić. Jeśli najlepszym sposobem na to, by o niego zadbać, jest trzymanie się z daleka, przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić.

Kiwam głową. Oczy szczypią mnie od soli.

Nie ma powodu, żebym ja potrzebowała jego ani żeby on potrzebował mnie. Teraz mogę już tylko się starać, żeby lustrzane szkło nie ugodziło nikogo innego.

– Przepraszam – mówi.

– Nie, rozumiem – zapewniam. Próbuję udawać, że odchrząkuję, bo mam alergię albo coś drapie mnie w gardle. – Naprawdę rozumiem.

Całe lato próbowałam odzyskać siebie sprzed tamtego wieczoru. Dziewczynę na tyle stabilną, by chodzić na wysokich obcasach. Dziewczynę na tyle nieustraszoną, by malować kreski eyelinerem w lusterku auta ojca. Dziewczynę, która nosiła bluzki z dekoltem tak głębokim, że pokazywała trochę cycków, a nie wciskała się w podkoszulki i bluzy jak teraz.

Ta dziewczyna dawniej potrafiła utrzymać *morita chile*⁸³ na języku dłużej niż wszyscy jej kuzyni. Ta dziewczyna zlizywała *mole rojo*⁸⁴ z palców, nie przejmując się tym, że ktoś uzna jej zachowanie za niegodne damy.

Lock na pewno ma coś takiego, część siebie, którą próbuje odzyskać. A jeśli będzie musiał spędzać czas ze mną, dziewczyną, która widziała go zemdlącego na łożku, z plamami szminki na rozporoku, straci tę część na dobre, tak jak ja prawie straciłam magię bisabueli.

Otwieram drzwi od strony pasażera. Wiatr wieje, jakby Santa Ana wciąż zastanawiała się, czy nie zmieść nieba do czysta.

– Ciela – woła Lock.

Obracam się do niego w drzwiach.

– Dziękuję – powtarza.

Kiwam głową.

Nie oglądam się za siebie.

83 Suszona papryczka.

84 Pikantny sos.

TO NIE TAQUERÍA

Tuż przed zamknięciem dzwoni do mnie kobieta, która utknęła w korku i spóźnia się z odbiorem tortu na trzydziestkę siostry. To stała klientka, która często u nas zamawia i daje wysokie napiwki, więc czekam.

Za każdym razem, gdy jestem w pastelerii, odzyskuję trochę więcej magii bisabueli. Może nie jest to tak natychmiastowe i pewne jak kiedyś, kiedy potrafiłam powiedzieć pannie młodej, jaki *pastel de boda*⁸⁵ jej się marzy, jeszcze zanim zobaczyła naszą listę smaków. Ale nawet gdy Lock i ja oddalamy się od siebie, powoli wszystko sobie przypominam, jak słowa piosenki z dzieciństwa. Odzyskuję język zawijasów *las orejas*, cukierkowych *los abanicos*⁸⁶, kolorowych *las almejas*⁸⁷.

Wychodzę z kuchni, żeby wyczyścić witryny. Potem myję podłogi środkiem o zapachu pomarańczy, który tía tworzy z płynu za dolara i olejku cytrusowego. Instynkt podpowiada mi, żeby uważać na szczotkę mopa, tak jak Pilar każe uważać na szczotkę miotły.

Jestem tak pochłonięta pracą i pogrążona w rozmyślaniach o słowach Pilar – „Nigdy, *mija*; nie, jeśli chcesz wziąć ślub” – że kiedy kątem oka dostrzegam srebrny błysk, potrzebuję sekundy, by go rozpoznać. Potrzebuję tej sekundy, by sobie przypomnieć i poczuć strach.

Ze słoików z kryształkami cukru, w których wcześniej migotały iskierki błękitu, żółci i różu, teraz błyska poszczerbione srebro. Geody

kryształków przypominają cukierki, ale są ostrzejsze, jakby zrobione z rozbitego lustra.

Zapach pomarańczy traci wyraz i ciężko osiada w powietrzu.

Podchodzę do słoików raczej z przymusu niż z własnej woli. Muszę wiedzieć, czy widzę to, co mi się wydaje, czy to jakaś gra światła.

To może być cukier. To musi być cukier. Nie mogę pozwolić, żeby lustrzane szkło podążyło za mną tak daleko w głąb pastelerii i zmieniło wszystkie kryształki cukru mojej kuzynki naraz.

A szkło już jest w kawałkach. Tak, kawałki trzymają się wątkach drewnianych patyczków, ale gdyby ktoś zdjął pokrywę, z łatwością poleciałyby w świat. To nie gładki łuk lustrzanego kwiatu ani płaskie *papel picado* zamienione w wytrawione lustro.

To szkło, które już jest potłuczone.

Będę musiała zabrać wszystko razem ze słoikami. Wepchnąć do szafy i przeprosić Cię, powiedzieć, że nie uważałam z mopem i stłukłam słoiki, tak, wszystkie. I że musiałam wyrzucić kryształki cukru razem z rozbitym szkłem, nie dało się ich uratować.

Dzwoni dzwonek przy drzwiach.

Opieram mopa o ścianę, zdejmuję rękawice do sprzątania. Sięgam po pastelowe pudełko na witrynie, żeby nabić tort klientki na kasę.

Ale do środka wtaczają się PJ i Chris.

Przynoszą znajomy zapach prawie każdej imprezy Astin – mieszankę taniego i drogiego alkoholu z dziwnymi smakami chipsów, które wychodzą z mody i wracają.

– Zamknięte – oznajmiam, ponownie chwytając mopa.

PJ się rozgląda.

– Robicie tu tacos?

– W tej chwili nic nie robimy – mówię. – Jest zamknięte.

– Sprzedajecie meksykańskie żarcie i nie robicie tacos? – PJ nie dowierza.

– To nie taquería, tylko pastelería. Taquería jest na końcu ulicy.

Od razu czuję się winna, że zwałam problem na Delgados. Zastanawiam się, czy zadzwonić do Mirandy i uprzedzić, żeby nie dawała im sangrii, żeby sprawdziła ich dokumenty, świetne podróbki, których używają od dziewiątej klasy.

Przez wzgląd na wszystkich na drodze mam nadzieję, że nie zamierzają prowadzić.

Wracam do sprzątnia. Chcę, żeby się mną znudzili i dali sobie spokój. Żeby wyszli, zanim zobaczą kryształki cukru obrócone w odłamki lustra. Muszę zabrać je do domu, gdzie nikogo nie skrzywdzą, zwłaszcza tii, Jess i Pilar.

– Hej – mówi Chris.

Wtykam mopa z powrotem do wiadra.

– Mogłabyś być trochę sympatyczniejsza, wiesz? – Łapie mnie za ramię.

Ta ręka pomogła obkleić szafkę chłopaka prezerwatywami.

Ta ręka pomogła zmienić mnie w kruchą skorupę lodu.

Chociaż raz jestem zbyt wściekła, żeby się bać.

Wymachuję mopem. Mokra szczotka trafia w środek klatki piersiowej Chrisa. Plusk dosięga PJ-a.

Chris cofa się na widok swojej przesiąkniętej koszuli.

– Jeśli nie zostawicie mnie w spokoju, powiem prawdę – ostrzegam, ściskając mopa. – Powiem wszystkim, co się wydarzyło tamtego wieczoru.

Chris ze spokojną, niemal beznamiętną miną oznajmia:

– Nie, nie powiesz.

To nie groźba, tylko fakt.

Opuszczam mopa.

PJ i Chris wiedzą, że nie mogę nic powiedzieć. Nazwiska ich rodziców widnieją na tabliczkach w szpitalach i teatrach. Przy nich moje słowa nie znaczą nic.

– Masz szczęście, że nie ma tu Vic – rzuca Chris. – I Brigid.

– Dlaczego? Przecież to wy dwaj... – Nie dokańczam. Nie mogę nawet powiedzieć, co zrobili, żeby nie dać się wciągnąć w wir tamtej nocy. Chris popycha PJ-a w stronę drzwi.

– Jeśli tego nie wiesz – mówi Chris w drodze do wyjścia, prawie jakby było mu mnie żal – jesteś jeszcze głupsza, niż myślałem.

⁸⁵ Tort weselny.

⁸⁶ Ciastka z kremem i cukierkami.

⁸⁷ Barwione ciasteczka z zawijasami na górze, przekładane kremem.

TEŃCZOWA JAK KOSZ PIKNIKOWY

Spodziewam się, że obudzę się w nocy z koszmaru, kolejnego snu o moim ciele rozpuszczającym się jak cukier albo lód, a może o ostrym szkłe, które wygląda jak cukierek, ale rani mi język.

Jednak budzę się rano ze szmacianymi lalkami w dłoniach i głosem najlepszej przyjaciółki w głowie. Jej pytanie, czy odnajduję tę zagubioną nić magii nie z powodu Locka, ale dlatego, że stawiam opór, jest wyraźne jak rumieniec rózu na niebie.

Może odzyskam moc *La Bruja de los Pasteles* w pełni dopiero wtedy, gdy przestanę pozwalać, by wzięli mnie w kadrze zdjęcia z polaroida. Mogą spełnić tę groźbę tylko raz, a jeśli to zrobią, okej, wszyscy stwierdzą, że jestem dziwką, prosiłam się o to, byłam pijana, zasłużyłam na to, cokolwiek ta czwórka zechce. Ale jeśli pozostanę niewolnicą tego zdjęcia i będę poruszać się tylko na tyle, na ile mi pozwoli, moje życie nigdy nie wyjdzie poza ramy tego jednego wieczoru.

Dlatego nie zostaję w łóżku zwinięta w kulkę, z poduszką przytkniętą do ucha, jakby to miało zagłuszyć przeszywający śmiech Chrisa i PJ-a. Wstaję. Wracam do pastelerii. Przepraszam za stłuczone słoiki, których tak naprawdę nie stłukłam, i przyjmuję komplementy tii, jak ładnie posprzątałam.

Potem wypełniam kremem galliny, bo wreszcie uchwyciłam pomysł, który kręcił mi się po głowie od rana. Słyszę go wyraźnie wśród zapachu cynamonu i wanilii.

Nie mogę nic zrobić dla Locka. Jeśli potrzebuje dystansu od teraz aż do końca szkoły, przynajmniej tyle mogę mu dać. Pomogłam mu, jak powinnam, a teraz pomogę mu, pozwalając odejść. Ale mogę zrobić coś dla mojej najlepszej przyjaciółki.

Zagniatam ciasto na *pajaritos* z płatkami lawendy z nadzieją, że zapach rozluźni supeł mojego serca.

Gdy *pan dulce* się piecze i wypełnia powietrze zapachem cukru, dzwonię do jej mamy. Zapisuję, w którym akademiku mieszka Jess.

Po południu odnajduję znajomy budynek.

Otwiera drzwi w okularach do czytania i T-shircie z układem okresowym. Gdybym nie wiedziała, że się uczy, zdradziłby ją dźwięk białego szumu. Woń jej ulubionego kremu do rąk miesza się z unoszącymi się w korytarzu zapachami owocowych żeli pod prysznic.

Podnoszę kosz.

– Zrobiłam ci piknik.

– Wow. – Gapi się na mnie. – Jakbyś już nie była wystarczająco queerowa.

– Hej, to kosz mojej mamy. – Wciskam jej go do rąk. – Więc bądź dla niego miła.

Przyjmuje prezent.

– Nie musiałaś.

– Musiałam. Ponieważ byłam tak gównianą przyjaciółką, że nawet nie wiedziałam, że jesteś zakochana.

– Nie jestem zakochana.

– Jeszcze nie.

– A ty miałaś dobrą wymówkę, żeby być głównianą przyjaciółką.

– Nie chcę wymówek – mówię. – Chcę ci pokazać, że interesuję się twoim życiem.

Wzdycha, ale posyła mi uśmiech najlepszej przyjaciółki.

– I dokąd się udamy z tym najbardziej tęczowym koszem świata? – pyta.

– Ach, my nigdzie. – Śmieję się. – To randka w pudełku. Wystarczy dodać dziewczynę z torbą pełną książek.

– Ma na imię Liz.

– Więc dodać Liz.

– Nie mówisz poważnie.

– Śmiertelnie. – Podnoszę klapkę kosza. – Proszę docenić motyw miłosny. *Novias*⁸⁸, *besos*⁸⁹, *conchas*.

– Jesteś za bardzo zadowolona z siebie.

Ignoruję ją – jest zachwycona, słyszę to w jej głosie – i dalej pokazuję jej różne *pan dulce*.

– I nie do końca w temacie miłości, ale równie ważne: jej ulubione galliny.

– Gdybyś nie była tobą, to, że o tym wiesz, byłoby dziwne.

– I oczywiście *pajaritos*. – Wskazuję na zawinięte *pan dulce*. – Nie można iść na oglądanie jaskółek bez *pan dulce* w kształcie jaskółki.

– Oglądanie jaskółek? – dziwi się Jess. – Przez suburbanizację nie ma jaskółek.

– No, może nie na Camino Capistrano. – Kładę na wierzchu mapę z izby handlowej. – Ale tam się nie wybierasz. Zabierasz ją nad stare mosty. W tym roku to tam jest najwięcej jaskółek.

– Myślisz, że wyjazd na odludzie rzuci ją na kolana?

– Myślę, że historia *La Noche* rzuci ją na kolana. Opowiedz jej o tym, że jeśli w nocy zobaczy jaskólkę, będzie miała szczęście w miłości.

– To tylko stara legenda – bagatelizuje Jess.

– Więc dlaczego się uśmiechasz?

Śmiejemy się.

Jess nie patrzy na mnie inaczej. Nawet po tym, co jej powiedziałam, nie patrzy na mnie, jakbym rozbijała się na kawałki albo już była rozbita. Czuję ulgę, jakby tysiąc jaskółek naraz poderwało się do nieba.

– Prawie zapomniałam. – Zsuwam z nadgarstka bransoletkę z różanymi koralikami i zakładam na lewą rękę Jess. – Weź ją. Z nią nigdy nie miałam złej randki.

Nie tłumaczę, że z nią nigdy nie miałam złej randki, bo nigdy nie miałam jej na randce, ale uważam to kłamstwo za usprawiedliwione. Jess naprawdę lubi tę dziewczynę. Widzę to po jej uśmiechu. Potrzebuje całej pewności siebie, jaką ja i idealne *pan dulce* możemy jej dać. A ja potrzebuję świadomości, że zrobiłam coś dobrze.

⁸⁸ Słodkie warstwowe bułeczki posypane cukrem, które kształtem przypominają dół sukni panny młodej.

⁸⁹ Dwie bułeczki złączone ze sobą dżemem truskawkowym i posypane różowym cukrem, które wyglądają, jakby dawały sobie buzi.

PIEDRAS Y CORONAS

Po ostatniej fali klientów wsuwam do piekarnika *mantecadas* dla grupy kościelnej mamy.

– Idź do domu – rzucam do cioci, patrząc, jak cukrowe wierzchy babeczek pękają pod wpływem ciepła. – Spędź trochę czasu z tío.

Loki wokół czoła puszą mi się pod siatką. W cieplej, suchej kuchni tusz do rzęs, który nałożyłam rano, wyparował. Ale coś w tym, że słońce zachodzi, a ja tworzę kształty z cukru, pomaga mi się wyciszyć i uspokoić.

– Jesteś kochana, *mija*. – Ciocia pakuje kilka *roles de canela*⁹⁰ i *puerquitos*. Dzieci mojego wujka zawsze przyjeżdżają w weekendy, a to ich ulubione słodkości.

– Idź – mówię. – Wszystko tu ogarnę.

Zaczynam przygotowywać masę cukrową do najbardziej krzykliwych *pan dulce*, jakie robimy. W kuchni tía nazywa je *las conchas de sirena*, ponieważ okrągłe puszyste ciasto pokrywa się masą cukrową w kolorze ogona królowej syren lub jakiegoś magicznego zakątka morza. Wyprzedają się w każdy weekend.

Dodaję barwnik do wszystkich miseczek z masą cukrową. Niebieski jak ocean na horyzoncie. Zielony jak wodorosty. Fioletowy jak jeżowce

i ukwiały, które widziałam z tatą w basenach skalnych.

Kiedy ugniatam masę cukrową, zamykam oczy i znów prawie jestem *La Bruja de los Pasteles*. Przypominam sobie sytuacje, kiedy wiedziałam dokładnie, jakiego ciasta ktoś potrzebuje. Czasami, jeśli spędzałam z kimś wystarczająco dużo czasu, nie musiałam nawet być w pastelerii. Potrafiłam zgadnąć, kto potrzebuje ślimaków *oreja* albo posypanych cukrem półksiężyców *cuernos*. Przyniosłam partnerce z laboratorium *beso* po fatalnym rozstaniu, bo chciałam, by wysokie ciastko pokazało jej, że może mierzyć wyżej. Dałam kuzynowi *novia* tuż przed tym, jak oświadczył się swojemu chłopakowi, i lubię myśleć, że posypany cukrem zawijas pomógł mu zebrać się na odwagę, by to zrobić.

A kiedy Jess miała trudną noc nauki na swoje rozszerzenia, przyszedłam uzbrojona w dostawę *donas de azucar*, ponieważ – jej słowa – „nawet mitoza wygląda lepiej z pączkami”.

Jess. Chociaż przez chwilę nie myślę tylko o tym lecie, kiedy przemilczałam tak wiele rzeczy przy maczaniu frytek w shake’ach albo malowaniu paznokci na tęczowo z okazji Miesiąca Dumy. Nie myślę nawet o tym, co jej powiedziałam. Mam tylko nadzieję, że odpowiednie *pan dulce* i legenda o nocnych jaskółkach pomogą jej i Liz.

Dzwonek w drzwiach oznajmia nadejście klienta.

Wychodzę z kuchni, spinając się na myśl o powrocie PJ-a i Chrisa. Ale powietrze jest tak spokojne, że to może być tylko jedna osoba – i nie jest to żaden z nich.

Światło zmienia kolor pomalowanych ścian z błękitu nieba na morski i złoci *papel picado*. Oczyma duszy nadal widzę brakujące arkusze, które musiałam zabrać, gdy zamieniły się w srebrne szkło. Ten z delikatnymi wycięciami jaskółek, ten z piętrowym *pastel de boda*, pomarańczowe kwiaty. Ale są jeszcze różowe serca, zielone króliki i fioletowe kolibry, które właśnie teraz trzepoczą, bo ktoś otworzył drzwi.

Lock robi kilka niepewnych kroków. Ma na sobie nie do końca dopasowany zestaw – kurtkę jeansową i jeansy – który Victoria pewnie zjechałaby jeszcze bardziej niż flanelę w kratę, a w którym wygląda irytująco uroczo.

Jego widok zaskakuje mnie do tego stopnia, że mam wrażenie, jakby wiatr wstrzymał oddech razem ze mną.

Lock rozgląda się po piekarni, inaczej niż podczas poprzedniej wizyty. Studiuje zdjęcia na ścianach. *Tías abuelas*⁹¹ zapalające światełka na Las Posadas⁹². Polną drogę tuż za wioską mojego pradziadka. Abuelę w moim wieku ścinającą dziki niebieski majeranek.

– Przepraszam. – Spuszcza głowę. Kilka kosmyków opada mu na twarz. – Już zamknięte?

Kręcę głową.

– Powoli zamykam. W czym mogę pomóc? – Wyszło tak formalnie, że aż się wzdrygam. Ale już się nie przyjaźnimy. On podjął taką decyzję, a ja ją respektuję. Dlatego teraz on jest klientem, a ja *La Bruja de los Pasteles*.

Stoi z rękami w kieszeniach, jak zawsze, chyba że trzyma szydełko.

– Dobra, słuchaj. Przepraszam. Byłaś moją przyjaciółką, kiedy nie miałem tu dosłownie żadnych przyjaciół, a ja zwyczajnie cię olałem.

– Lock.

– Proszę, pozwól mi skończyć. – Wypuszcza powietrze. – Nie wiedziałem, jak sobie poradzić z tym, że widziałas mnie w takim stanie.

– Rozumiem.

Gdyby widział mnie po, gdyby był na tyle przytomny, żeby zobaczyć, jak ciężko oddycham i cała drzę, nawet kiedy podnoszę go z łóżka, czułabym to samo.

– Przestraszyłem się – tłumaczy. – Nie tylko dlatego, że jesteśmy przyjaciółmi, ale dlatego... – Zerka na boki, zanim na mnie spojrzy. – Że naprawdę mi się podobasz.

Niemal czuję, jak by to było, gdyby tamten wieczór nigdy się nie wydarzył. Wyobrażam sobie bąbelki, które musowałyby w moim ciele, gdyby ten chłopak, ze swoim tajemnym lasem i śmiechem podobnym do cykania świerszcza późną nocą, powiedział mi, że mu się podobam. Ale tamten wieczór zniszczył to uczucie, czymkolwiek mogło być. Zamienił je w szkło, a potem rozbił na kawałki.

– I wiem, jak to powinno wyglądać – ciągnie. – Pewnie powinienem po prostu wejść i cię pocałować, zamiast o tym mówić, prawda? Ale ja tak nie robię. Nie wiem, czy kiedykolwiek robiłem, a już na pewno nie teraz. Nie po... – Nie kończy zdania.

Słowo „po” jest jasne.

– Nie chcę robić niczego, czego ty nie chcesz – kontynuuje. – I wcześniej nie wiedziałem, jak to wszystko powiedzieć, więc... – Wzrusza ramionami. – Mówię to teraz.

Odkąd Lock ponownie pojawił się w moim życiu, odzyskałam magię, którą w myślach straciłam na zawsze. Wiem, czy klientowi zasmakują zawijasy *las corbatas*⁹³, gwiazdy *rehiletas*⁹⁴, czy wieńce *roles de canela* z cynamonowego ciasta nasączonego mocną kawą.

Ale jego nadal nie mogę rozpracować. Kiedy jestem przy nim, kątem oka widzę migoczące światło. Iskierki dryfują powoli, jak świetliki albo spadające gwiazdy, jednak gdy próbuję je złapać, znikają. Nie potrafię go rozgryźć i zgadnąć, jakie *pan dulce* powie mu to, co pragnie usłyszeć.

Więc wyrzucam z siebie cokolwiek, jak zawsze, kiedy jestem z nim i nie wiem, co powiedzieć:

– To ściema.

Wygląda na zaskoczonego.

– Co?

– Ta cała idea: „Przyjdę i zdobędę dziewczynę”. Gdyby jakiś koleś wszedł tu niezapowiedziany i próbował mnie pocałować, zdzieliłabym go miską.

– Dobrze wiedzieć.

Nadal próbuję zgadnąć. Czerwone *colorados*⁹⁵? *Piedras*⁹⁶ jak kamienie w rezerwacie przyrody? *Coronas*⁹⁷? Nie, ale czuję, że jestem coraz bliżej.

– Po to tu przyszedłeś? – pytam. – Żeby to wszystko powiedzieć?

– Nie, mam misję – wyjaśnia. – Mama poprosiła, żebym kupił coś dla Nate’a. Siedzi w pracy do północy, a bardzo lubi desery, więc mama chce go przywitać czymś lepszym niż ciasto z proszku.

Staram się nie skrzywić.

– Mówiłem ci, że w mojej rodzinie nie ma kucharzy – broni się.

– A Nate to...?

– Przepraszam. Mój ojczym. Tata Violet.

Wchodzę za ladę.

– Co lubi?

– Nie przepada za lukrem.

– Więc stąd niechęć Violet.

– Masz dobrą pamięć – chwali mnie Lock.

Przez jego skrępowanie sama czuję się niezręcznie.

– Są inne piekarnie, Lock – mówię i dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że moje słowa będą w połowie stwierdzeniem, w połowie

oskarżeniem. – Mogłeś iść gdzie indziej.

Już nie jest skrępowany, nie wzdryga się, nie odwraca wzroku, gdy mówi:

– Nie chciałem iść gdzie indziej.

Nie uśmiechaj się. Nie uśmiechaj się. Pomyśl o składaniu tysiąca broszur o abstynencji i się nie uśmiechaj.

Ale moje myśli nie zatrzymują się na broszurach. Wędrują do kuchni, do misek z masą cukrową, do kolorów na tle połyskującego metalu.

Może PJ, Chris, Victoria i Brigid nam coś zabrali, ten płomień między nami. Ale nie pozwolę im zabrać tego – tej małej jasnej iskierki nadziei, że nadal możemy być przyjaciółmi.

Dlatego pytam:

– Masz trochę czasu?

[90](#) Cynamonki.

[91](#) Babki cioteczne.

[92](#) Nowenna przed Bożym Narodzeniem obchodzona przez społeczność latynoską w dniach 16–24 grudnia.

[93](#) Zakręcone pałeczki z ciasta francuskiego.

[94](#) Gwiazdki z ciasta francuskiego.

[95](#) Drożdżowe bułeczki z czerwoną posypką.

[96](#) Ciasteczka kształtem przypominające kamienie.

[97](#) Drożdżowy wieniec z kremem.

PANSEKSUALNOŚĆ I PAN DULCE

Może zechcesz to przemyśleć – mówi Lock, patrząc na metalowe blaty i palety mąki w kuchni pastelerii. – Kiedyś spaliłem stos filtrów do kawy, próbując zrobić coś *sauté*. Nawet nie wiedziałem, co to znaczy *sauté*, po prostu usłyszałem to w telewizji i bardzo chciałem spróbować. Zaufaj mi, nie chcesz mnie uczyć.

– Lubię wyzwania. – Wręczam mu siatkę na włosy i rękawiczki.

– Dobrze. – Zakłada je bez komentarza. – Ale ostrzegałem cię.

– Wow – rzucam.

– Co? – pyta.

– Jesteś pewny swojej męskości.

– Dzięki?

– Mówię serio. Większość chłopaków nie jest na tyle męska, żeby założyć siatkę na włosy.

– Moja mama pracowała w szkolnej stołówce. – Staje przy blacie obok mnie. – Traktuję bezpieczeństwo żywnościowe bardzo poważnie.

Zanim poznałam Locka, nie miałam pojęcia, że ktoś może wydać się jednocześnie rozbijającym szczery i strasznie zadufany w sobie.

Wybieram najbardziej wyrośnięte ciasto i pokazuję mu, jak uformować je w kulkę.

– Jak to możliwe, że nie musisz robić za nianię? – zagajam.

– Co masz na myśli?

– To – mówię, podając mu nóż ze stali nierdzewnej – że masz młodszą siostrę i nie musisz jej pilnować. Ja cały czas opiekowałam się młodszym kuzynostwem, a nawet nie jesteśmy rodzeństwem.

– Jest u dziadków. – Równo kroci ciasto i formuje kulki na kształt moich. Jak na razie jest dobrze. Żadne filtry do kawy nie stają w płomieniach. – To jeden z niewielu pozytywów naszej przeprowadzki. Jesteśmy o wiele bliżej nich.

– Mieszkają w okolicy?

– Jakieś pół godziny, czterdzieści pięć minut drogi stąd. – Wciąż naśladowuje moje ruchy. – Kochają ją, więc często po nią przyjeżdżają.

– To miło z ich strony – stwierdzam.

Ścisną kulkę.

– Tak.

Spoglądam znad swojej.

– To było bardzo wymowne „tak” – zauważam.

Wzdycha.

– Tak.

Wpatruję się w niego, aż pęka.

– Dziadkowie Violet niezbyt lubią moją mamę i mnie – wyjaśnia. – Uważają... – Waha się. – Że mój ojczym popełnił mezalians.

– Wow.

– No. W Boże Narodzenie prawie słycać, jak uruchamiają trybiki, żeby nas tolerować. Chyba lubią zabierać Violet z dala od telenoweli i velveety⁹⁸.

– To ten zły wpływ, którego tak się boją? – nie dowierzam.

– Nie pomogła wiadomość o tym, jak moja mama mnie nazwała.

– Jak cię nazwała? – pytam i formuję kolejną kulkę.

– Nazwała mnie Lock, bo wszyscy krytykowali ją za to, że zaszła w ciążę bez ślubu.

Przerywam.

– Co?

– Już ci to mówiłem. – Mruży oczy. – Wiem, że ci to mówiłem.

– Nie mówiłeś. Co jej brak ślubu ma wspólnego z twoim imieniem?

Śmieje się, bardziej do siebie niż do mnie.

– Bardzo lubili używać wyrażenia „z nieprawego łoża⁹⁹”, więc tak pokazała im środkowy palec.

– Z nieprawego łoża? – powtarzam. – W którym roku się urodziłeś, w tysiąc dziewięćset dziesiątym?

– Czasami tak mi się wydawało.

Kończę formować kulkę.

– Jeśli cię to pocieszy, Violet wyraźnie cię uwielbia. – Przypominam sobie, jak wziął ją na ręce. – Dawała ci uścisk zaufania.

– Co? – pyta ze śmiechem. Nie ma pojęcia, o czym mówię.

– No wiesz – mówię. – Uścisk zaufania.

– Co to jest uścisk zaufania?

– To coś, co robią dzieci, kiedy je trzymasz, ale one tak naprawdę nie trzymają ciebie, bo wiedzą, że nie muszą. – Wspominam stare zdjęcie, na którym robię to z tią, w moje trzecie urodziny. Mam różowe i żółte arkusiki papieru z *piñata de estrella*¹⁰⁰ we włosach i bawię się kolczykami tii, nie przejmując się, czy mnie upuści. – Jeśli się ciebie boją, to się napinają, a jeżeli się nie boją, ale jeszcze nie wiedzą, czy mogą ci całkowicie zaufać, trzymają się. Ale jeśli czują się przy tobie bezpiecznie, wiercą się i robią, co chcą. Bo wiedzą, że je trzymasz.

Uśmiech Locka jest smutny, ale ma w sobie światło.

– Dzięki. – Znow ściska ciasto.

Kładę dłonie na jego dłoniach.

– *Pan dulce* nie może mówić, więc ja mówię w jego imieniu. Spokojnie. Musisz pozwolić, żeby ciasto odbiło.

– Przepraszam.

Prowadzę jego dłonie, by zaokrąglił kulkę. Nasze rękawiczki ocierają się o siebie z cichym piskiem. Pokazuję mu, jak mieszać ze sobą różne barwniki, jak wycinać kształt muszelki z masy cukrowej i nakładać ją na kulki. Na jakich kratkach je układać.

Pan dulce się piecze, zapach cukru wypełnia kuchnię, a Lock zaczyna zmywać naczynia po jednej stronie ogromnego metalowego zlewu.

– Nie musisz tego robić – mówię.

Śmieje się.

– Muszę. Nie udawaj, że ci tu pomagam. Spowalniam cię i dobrze to wiem.

Między kolejnymi naczyniami zakręca kurek. To nawyk chłopaka, który dorastał ze świadomością, że jego matka musi płacić rachunki za

wodę albo że w jego hrabstwie panuje susza. Prawdopodobnie i jedno, i drugie. Po tym, jak powiedział mi, skąd pochodzi, znalazłam Olivedale na mapie. Leży w samym środku Doliny Kalifornijskiej. Mamy daleką kuzynkę, która dorastała w tej okolicy – podobno uciekła z cyrkiem albo z cyrku czy coś i według niej jest to miejsce, gdzie największy przydział wody trafia do sadów migdałowych.

– Swoją drogą. – Opieram się o krawędź zlewu i patrzę, jak Lock wlewa wodę do misek. – Możesz powiedzieć swoim przybranym dziadkom, że velveeta to jeden z cudów nowoczesnych amerykańskich sklepów spożywczych. A ja jestem Meksykanką. Więc to duża pochwała.

– Hmm – mruczy, jakby się zastanawiał. – To chyba jestem lepszym kucharzem, niż mi się wydaje.

– Ach tak?

– Mój fejkowy mac and cheese zbiera cztery gwiazdki od czterolatki.

Wyciągam pierwszą partię *conchas* z piekarnika i przenoszę je na kratki do studzenia, pomagając sobie palcami.

– Nie parzy cię? – pyta Lock.

– Jestem przyzwyczajona – odpowiadam, unosząc rękę, jakby mógł zobaczyć odciski na opuszkach przez plastikową rękawiczkę. – Poza tym nie można ich tam zostawić. Metal wciąż jest gorący, więc nadal by się piekły. – Odsuwam się i patrzę na ciasteczka na kratkach. Kolory zlewają się ze sobą jak na obrazie. – Widzisz? – Spoglądam na Locka. – Zaniesiesz rodzinie pudełko tych ciastek i będą pod wrażeniem.

– Nie uwierzą, że mam z tym cokolwiek wspólnego. Kiedyś próbowałem zrobić mac and cheese z sera w plasterkach.

– Zanim zostałeś mistrzem velveety?

Opłukuje ostatnią miskę i odstawia ją na suszarkę.

– Zgadza się.

Podaję mu miskę, którą właśnie wytarłam.

– Postawisz ją tam, na górze?

Wsuwa ją na wysoką półkę, a ja jestem zbyt zajęta gapieniem się na jego tyłek w spodniach roboczych, żeby mu powiedzieć, że zrobił to źle.

Co jest ze mną nie tak? Nie potrafiłam wykrzesać z siebie zalotnego uśmiechu na żadnej randce tego lata, a teraz obczajam ostatniego chłopaka na świecie, na którego powinnam patrzeć w ten sposób.

Potrzebuję mamy albo tii – albo abueli, gdyby wstała z martwych – żeby klepnęły mnie w siatkę na włosy i kazały przestać, po prostu przestać.

– Dobra – mówię, kiedy *pan dulce* już ostygło. – Czas, abyś spróbował swojego dzieła.

Wygląda na zmartwionego.

– Hej – protestuję. – Zrobiłam ciasto, zanim jeszcze tu przyszedłeś.

– A ja jestem pewien, że sam mój dotyk magicznie je zepsuł.

– E tam. – Wzruszam ramionami. – Miałeś rękawiczki. – Wręczam mu jedną *concha*. – To obniża ryzyko.

Przełamujemy po jednym ciastku. Ze środka bucha zapach wanilii i goździków.

Lock próbuje.

– Smaczne.

Wydaje się zaskoczony. Naprawdę sądzi, że samą swoją obecnością mógłby sprawić, by popisowy wypiek pastelerii smakował jak ser w plasterkach?

– Ta konkretna paleta kolorów to pomysł mojej cioci – wyjaśniam. – Lubi mówić, że to *concha* syreny.

Patrzy na mnie pustym wzrokiem.

– *Concha* to rodzaj *pan dulce* – tłumaczę. – Okrągłe ciastko z cukrową koroną na wierzchu. Taka królowa *pan dulce*.

Teraz je i niczym się nie przejmuje.

Czas uderzyć.

– Wiesz – mówię, bo wytrąca mnie z równowagi do tego stopnia, że mam ochotę mu się odwdzięczyć. – W niektórych regionach *concha* oznacza też...

– Oznacza też co? – pyta.

– Tę samą część ciała, co Valentina.

Patrzy na mnie.

– Masz mnie za durnia?

– Mówię serio. Zapytaj kogokolwiek. Moją mamę. Ona ci powie, że to prawda.

– Dobrze. Przepraszam. Przyznaję się do błędu.

Odczekuję sekundę i rzucam:

– Więc w zależności od tego, kogo zapytasz, jesz teraz waginę syreny.

Prawie dławi się *pan dulce*.

Napełniam szklanę z dystrybutora *agua fresca*¹⁰¹, usiłując powstrzymać śmiech.

Kaszele w rękaw.

– Czekalaś na odpowiedni moment, żeby mi to powiedzieć, prawda?

– Tak. – Podaję mu szklanę. – Prawda.

Pije i przestaje kaszleć.

– Przepraszam. – Nie mogę przestać się śmiać. – To było zbyt łatwe.

– Cieszę się, że cię rozbawiłem.

Składam pudełko na ciastka.

– Więc. – Ściągam siatkę z jego włosów, a potem ze swoich. – Przeprowadziłeś się aż tutaj dla Astin – mówię, a potem udaję wytworny akcent, z którym tía zawsze czyta broszury szkolne: – Czy nasza dyscyplina akademicka spełniła twoje oczekiwania?

Śmieje się.

– Macie o wiele więcej zaawansowanej matematyki niż moja poprzednia szkoła, więc tak.

Odpuszczam akcent.

– A teraz prawdziwe pytanie.

– Dobrze. – Patrzy na mnie ostrożnie i upija kolejny łyk *agua fresca*.

– Było warto?

Nie jestem w stanie wychwycić wszystkiego, co przemyka przez jego twarz. Wieczór, którego nie pamięta. Przebłąski, które pamięta.

Uspokaja twarz i patrzy prosto na mnie.

– Tak.

Moje serce staje – czuję się jak na szczycie La Medusy, ulubionej kolejki górskiej mojej mamy.

Zaczęłam to wszystko, próbując pomóc Lockowi, bo chciałam odzyskać dar, który powierzyła mi bisabuela, i wiedziałam, że plamka srebra w tym chłopaku to moja wina. Ale teraz pragnę rzeczy, których

nie mogę mieć. Chcę wiedzieć, czym byśmy byli, gdyby między nami unosiło się tyle okropnych, niewidzialnych rzeczy.

– Przepraszam, że ci nie powiedziałam – mówię. – O tym, że to ja zawiozłam cię do szpitala.

– Rozumiem, dlaczego tego nie zrobiłaś. Nie ma dobrego momentu, żeby poruszyć ten temat. – Odstawia *agua fresca* i wyciera wilgotną dłoń w jeansy.

– I przepraszam za Jess – dodaję. – To nie jej wina, tylko moja. Nie powiedziałam jej o tobie. – Robię pauzę. – To znaczy powiedziałam, ale nie o tym, że jesteś gościem z imprezy.

– „Gościem z imprezy”? Co to znaczy?

W jego głosie słyszę obawę, którą natychmiast wyczuwam. Myśli, że „gość z imprezy” to „gość, który był tak nieprzytomny, że musiałam go zawieźć do szpitala Ortega”.

– To znaczy, że próbowała mnie namówić, żebym do ciebie zagadała – tłumaczę. – Jess i ja nie nadawałyśmy się na partnerki, ale jesteśmy stworzone na najlepsze przyjaciółki i skrzydłowe.

– Umawiałaś się z Jess? – Nie wydaje się ani zaskoczony, ani zaniepokojony, jakbym właśnie powiedziała: „Fizyka kwantowa postuluje, że nie da się wyznaczyć pozycji i pędu obiektu z idealną dokładnością”.

Wiem już, że Lock nie uważa mnie za rozbitą ani wybrakowaną, bo przeżyłam coś, o czym ledwo mogę mówić. Jeśli uzna mnie za dziwną albo – jak powiedziałyby mama – „nieszablonową”, bo nie umawiam się z jedną konkretną płcią, to chcę wiedzieć teraz, bo wtedy może natychmiast się usunąć zarówno z mojego życia, jak i z kuchni mojej tii.

– O tym właśnie mówił Chris. Kiedy powiedział, że nie lubię...

Nie potrafię powtórzyć tych słów.

Ale nie muszę. W jego oczach widzę zrozumienie.

– Rozumiem – mówi i powoli kiwa głową. – Co za dupek.

– Jeśli masz z tym problem, z tym, kim jestem... – Urywam, otwierając mu furtkę.

– Nie mam. Ale jeśli nie lubisz chłopaków... – Wzdryga się. – Przepraszam i mam nadzieję, że będziemy mogli zapomnieć o wszystkim, co powiedziałem wcześniej, albo chociaż się z tego pośmiać, bo być może jesteś jedyną przyjaciółką, jaką mam teraz w szkole, i mam nadzieję, że nie zaprzepąściłem tego przez swoją ślepotę.

Gada bez ładu i składu. *Híjole*¹⁰², jest uroczy, kiedy tak gada.

– Oprócz tego, że ujął to najgorzej, jak mógł, Chris ujął to najbardziej niedokładnie, jak mógł. Nie chodzi o to, że nie lubię... – Wciąż nie mogę wypowiedzieć słowa, które powiedział Chris. Próbuje inaczej. Nie pozwolę, żeby Chris Bernard sprowadził to do rozmowy o anatomii. – Nie nie lubię chłopaków – tłumaczę.

Śmieje się.

– Dziwnie to ujęłaś.

– Może – przyznaję. – Ale lepiej tego nie wyjaśnię. – Chyba że powiem mu, jak opisuje mnie Jess: jestem tak queer, że nawet moje *dulce* jest *pan*. – Nie nie lubię żadnej płci, tożsamości płciowej ani ekspresji płciowej – kontynuuję. – Każdy ma w ludziach coś, co go pociąga. Ja też. Po prostu dla mnie nie są to rzeczy związane z płcią.

Lock nie potrafi spojrzeć mi w oczy, a ja jestem pewna, że nie chodzi o moją queerowość, ale o to, co nierozwiązane między nami.

– W takim razie pytanie brzmi: czy lubisz mnie? – Stara się obrócić to w żart, jakby nie zależało mu na odpowiedzi.

Nie wychodzi mu.

Spojrzenie oczu ciemnych jak *piloncillo* sprawia, że mam ochotę zająć ręce sznurkami fartucha. I to spojrzenie coś zmienia. Coś we mnie. Lubię tego chłopaka, nawet jeśli najgorsze, co przytrafiło się nam obojgu, wydarzyło się w pokoju obok. Lubię go, a przyznanie się do tego oznacza, że mogę odebrać coś PJ-owi, Chrisowi, Victorii i Brigid.

– Lock.

– Tak?

Musują we mnie bąbelki jak w jarritos.

– Gdybyś spróbował mnie pocałować, nie dzieliłabym cię miską.

Jego śmiech jest cichy jak oddech.

Może to najbardziej niezgrabnie wyrażona zgoda na świecie, ale jest. Wyraziłam ją i mówiłam poważnie.

Kilka miesięcy temu tak bardzo pragnęłam powiedzieć „nie”, że niewypowiedziane słowo rozdarło mnie jak spadająca gwiazda atmosferę. A to, że teraz nie tylko chcę powiedzieć „tak”, ale też nie chcę powiedzieć „nie”, to cud, jakby wszystkie jaskółki na świecie wzbiły się naraz w powietrze.

Nie wiem, jak mu to wszystko powiedzieć. Ale zanim zdążę rozłożyć to na czynniki pierwsze i wymyślić coś lepszego, jego wargi dotykają moich.

Całuje mnie powoli, delikatnie, używa mniej języka niż dwaj poprzedni chłopacy, którzy wcześniej mnie całowali. Porusza ustami pewnie, ale nie agresywnie. Rozchyłam wargi i całuję go intensywniej, a on się dopasowuje, czekając na pozwolenie, które mu daję. Odrywamy

się od siebie, żeby odetchnąć. Powietrze między naszymi ustami ma zapach cynamonu, goździków i wanilii.

Całuję go jeszcze raz. Zaciskam powieki tak mocno, że przez tę minutę cały cukier w powietrzu wiruje jak brokat w kuli śnieżnej, a mnie to wystarcza, bym mogła wrócić do życia.

98 Substytut sera.

99 Out of wedlock, stąd: Lock.

100 Piniata w kształcie gwiazdy.

101 Słodki owocowy napój na bazie wody.

102 Wykrzyknienie w stylu: wow.

WYDZIAŁ LASÓW PODMIEJSKICH

Lock siedzi w pick-upie za szkołą. Jest pięć minut przed czasem.

Kiedy wsiadam, podskakuje.

– Przepraszam – mówię.

– Nie. – Uspokaja się. – To ja przepraszam. Jestem wcześniej.

– Tak, ja też. Jestem queerową Meksykanką. Jeśli nie przyjdę wcześniej, będę cztery godziny później.

– Mogę się z tego śmiać?

– To ja zażartowałam, więc tak.

– Dobrze. – Patrzy na mnie. – Masz moją uwagę. O czym nie możemy rozmawiać w zasięgu słuchu odpowiedzialnych dorosłych w naszym życiu?

– Dowiedziałam się – zaczynam – że pewna para, która mieszka naprzeciwko mnie, jest na jakiejś gali do białego rana. Więc teraz mamy szansę.

– Szansę na co?

– Jeszcze raz spróbować z tym drzewem.

Mruga.

– Mówisz poważnie?
– Śmiertelnie. – Wyciągam z torby zwój materiału i rozwijam jak flagę.

– Wow. – Lock ogląda prezent.

– Chyba zgadłam twój rozmiar. – Rzucam mu kombinezon.

Odczytuje napis na plecach.

– Wydział Lasów Podmiejskich?

– A ja – mówię i wyciągam z torby drugi – będę twoją uroczą asystentką.

Śmieje się, szeroko otwierając usta, z pełnym rozbawienia zachwytem, który do tej pory kiełkował w nim powoli. Teraz rozkwita.

– Skąd je masz? – pyta.

– Ty tego o mnie nie wiesz, ale jestem *aficionada*¹⁰³ lokalnych second handów.

Wyciąga kombinezon przed siebie, żeby lepiej przyjrzeć się napisowi.

– Naprawdę nie chcę być niewdzięczny, ale mam mały problem. Czy inni sąsiedzi cię nie rozpoznają?

– Ci, których lubimy, są dziś na czytaniu Biblii, a reszta by mnie nie poznała, nawet gdybym się wylegitymowała.

– Dobra, drugi mały problem. Co jeśli ktoś z Wydziału Lasów Podmiejskich zobaczy nas w tych ciuchach?

– Nie ma takiej opcji – zapewniam.

– Skąd wiesz?

– Bo nie ma żadnego Wydziału Lasów Podmiejskich.

Prostuje się.

– Niezłe z ciebie ziółko – stwierdza.

– Uznam to za komplement.

Patrzy na mnie tak, że na wspomnienie pocałunku czuję dreszcz.

– Słusznie.

[103](#) Fanka, miłośniczka.

TAJEMNY LAS

Gdy wykopujemy śnieżne drzewo z ogrodu sąsiadów, owoc dzikiej róży pod moim kombinezonem pulsuje ciepłem. Korale i zieleń iskrzą, kiedy Lock i ja ocieramy się o siebie, taszcząc korzeń na pakę pick-upa. Wytatuowane *escaramujo* jest żywe jak rosnąca roślina, a ja próbuję powstrzymać śmiech, wbijając wzrok w wilgotną ziemię wokół nas.

Otrzepestujemy się, wsiadamy i Lock rusza. Nie przekracza dozwolonej prędkości. Nie robi nic, czego nie zrobiłby pracownik Wydziału Lasów Podmiejskich.

Ale kiedy wjeżdżamy na autostradę, dodaje gazu. Kręcę korbką, by opuścić szybę, i do środka wpada nocne powietrze.

Włosy lecą mi na twarz, a ja wybucham śmiechem, który powstrzymywałam na ulicy. Kradnę śnieżne drzewo i do życia budzi się nie tylko owoc dzikiej róży, ale też całe moje ciało.

Zamieniam dreszczyk dyskrecji na beztroski śmiech.

Lock uśmiecha się do mnie ostrożnie.

– Co cię tak bawi?

– Wszyscy mieli cię za chłopca z chóru.

– Byłem chłopcem z chóru, dziękuję bardzo.

– Wiesz, co mam na myśli. *Buenudo*, dobrym chłopcem. Ale ty nim nie jesteś. Ty jesteś złodziejem drzew. – Obracam twarz ku nocy, by poczuć zapach nieba. – Gorzej. Złodziejem całego lasu.

– Ej – rzuca. – Właśnie zostałam współniczką. Jeśli jestem złodziejem, to ty jesteś złodziejką.

Zerka w lusterko. Na pące cienkie kwiaty drżą na gałęziach jak chmura gwiazd w ciemności. Kilka odpada i odfruwa, konstelacje wirują nad autostradą.

To się nie wydarzyło.

W tej chwili to się nie wydarzyło. Moja zła decyzja, położenie go w pokoju, w którym z założenia miał odespać. Nic z tego się nie wydarzyło.

Lock staje na poboczu, w cieniu pietrasznika. Moje mięśnie napinają się z wysiłku, gdy pomagam mu zaciągnąć korzeń do dołka wykopanego dla lagerstremii. Kiedy zasypujemy korzeń, czuję w dłoniach chłód ziemi. Brud pod paznokciami wygląda lepiej niż jakikolwiek manicure. Wyczuwam zapach, którego nie potrafię rozpoznać: mieszankę choinki i schnącego na słońcu kartonu po owocach.

Tajemny las Locka wymazuje ten wieczór jedno drzewo po drugim. Śnieżne drzewo gości się w nowej ziemi, a ja nie niszczę tego chłopaka, tylko mu pomagam. Moja rana po lustrzanym odłamku jest na tyle duża, by wpuścić do środka zapach kwitnących pąków i dzikiego kanionu.

Wiatr porusza lagerstremią i drobne blade kwiaty spadają nam na włosy jak płatki śniegu. Stoimy pod drzewem, umorusani ziemią, spowici nocą okraszoną gwiazdami, a nasze ciała należą do nas.

Lock mi się przygląda.

– Właśnie zdałem sobie sprawę, że nosisz wstążkę.

Dotykam tasiemki z różowej satyny, którą zawiązałam na kokardkę nad karkiem, tak jak to robiły mama, ciocie i babcia w moim wieku.

– I co w związku z tym?

– Nosisz wstążkę do kombinezonu.

– Kiedy jestem *femme*, idę na całość.

– To urocze – mówi, a potem oboje spoglądamy w górę, bo muskają nas pierwsze krople deszczu. – Lepiej się pospieszmy.

Schyła się, by sprawdzić korzeń. Ale ja zastygam, gdy słyszę charakterystyczny dźwięk.

To nie delikatne bębnienie deszczu o liście.

To stukot kropli na szkle.

Lustruję gałęzie, aż je dostrzegam – listki zastygłe w maleńkie srebrne kolce, jak igiełki szronu.

Kiedy Lock nie patrzy, zrywam szklane kolce nakrapiane deszczem. Chowam je głęboko w kieszeniach kombinezonu, gdzie nikogo nie zranią, i udaję – przynajmniej na razie – że lustrzane szkło nie dotarło do lasu Locka.

LOS VIDRIOS

Lock zerka na świecący szyld.

– Piekło? – pyta, gdy żółte litery odbijają się na przedniej szybie.

– Kiedyś to była stacja Shell – wyjaśniam. – Chyba szyld uznano za zabytek, ale literka „s” zgasła jakiś czas temu.

Śmieje się pod nosem. To dziwne uczucie, które mimo woli mi się podoba – kiedy pokazuję komuś miejsca znane mi od urodzenia, a ten ktoś dostrzega rzeczy, do których zdążyłam się przyzwyczaić. Pomarańczowe podbrzusza *las golondrinas*. Drżące gałęzie drzew, jakby obudzone i ostrożne. Szyld, który ogłasza, że Camino Capistrano to droga do zaświatów.

– Skręć tutaj – instruuję, wskazując neon w okienku mojej ulubionej budki z jedzeniem.

Lock zjeżdża na mały parking.

– Co robimy?

– Odbierasz kolejną lekcję swojej edukacji kulinarnej.

Parkuje.

– Czego?

– Nie kłóć się z frytkami z guacamole – rzucam. – To zasadnicza część lekcji trzeciej. Pijesz kawę?

- Kawa i smażone jedzenie. Czuję, że powinienem być na kacu.
- Mówi to gość, który robi burrito z mortadela i majonezem.
- Ja nigdy tego nie robiłem. Po prostu musiałem być tego świadkiem.

Już chce wysiadać, ale go powstrzymuję.

– Dziękuję – mówię, mokrą i brudną dłonią dotykając jego suchego i brudnego przedramienia. – To drzewo wiele dla mnie znaczy.

– Tak, zauważyłem.

Muskam jego policzek ustami, tak lekko, że prawie nie da się nazwać tego pocałunkiem.

To nie ma być mniej niż pocałunek. To ma być podziękowanie, którego nie zbędzie uśmiechem.

Zamyka oczy na kilka sekund, gdy przyciskam mu wargi do skóry, a potem się odsuwa.

Przechodzi go lekki dreszcz, a ja uświadamiam sobie, że w czasie jazdy zrzucił górę kombinezonu. Nadal ma na sobie spodnie, ale rękawy są przy biodrach. Został w samym podkoszulku.

Żałuję, że zauważyłam żyłę biegnącą od łokcia do nadgarstka, niebiesko-czerwony neon wzdłuż mięśnia na ramieniu.

Ale kiedy ją zauważyłam, kiedy zobaczyłam jego ciało w innym świetle, zamiast wspominać go zemdlącego na łóżku, czuję się trochę jak dziewczyna, którą byłam przed tamtym wieczorem. Dziewczyna, która traktowała lustra tylko jako coś, w czym można sprawdzić szminkę.

Wodzę palcem po neonowej linii.

– Ja stawiam.

– No weź. Ja cię w to wciągnąłem.

– Bo chciałeś uratować moje śnieżne drzewo. – Otwieram drzwi. –
Potraktuj to jako podziękowanie.

Na parking wjeżdża kolejny samochód. Jego błysk wysysa cały neon
z powietrza.

– Cholera – mówi Lock, patrząc za mnie.

Z lśniącego auta wylewają się Chris i Victoria.

– Jedźmy gdzie indziej. – Lock już sięga do stacyjki.

Przypominam sobie Jess, jej stwierdzenie, że może nigdy nie
chodziło o Locka, tylko o to, że stawiam opór.

– Nie ma mowy. – Wsiadam, dla zasady i dla frytek z guacamole.

– Ciela.

– Zostań tu – nakazuję i podchodzę do okienka, gdy PJ i Brigid są
jeszcze na tyle blisko auta, że może mnie nie zauważą.

Mężczyzna w okienku odrywa wzrok od krzyżówki i przyjmuje moje
zamówienie. Bracia, którzy prowadzą budkę, mają telewizor w górnym
rogu kuchni, ale nigdy nic nie oglądają. To jeden z wielu powodów, dla
których uwielbiam to miejsce.

Wzdrygam się na myśl, że moi rówieśnicy zaczęli tu przychodzić.

Spuszczam wzrok, unikając światła neonów.

– Hej. – Brigid unosi podbródek, jakby mnie przywoływała.

Idź dalej, upominam swoje ciało. Nie zatrzymuj się. Wracaj do pick-
upa i czekaj, aż Ed da ci znak, że twoje zamówienie jest gotowe.

Ale kilka miesięcy temu mnie nie posłuchało. Dlaczego miałoby to
zrobić teraz?

Zatrzymuję się.

Zastanawiam się, czy ich czwórka widzi żyły szkła powoli wypełniające zniszczony asfalt niczym woda.

Brigid przygląda się plamom ziemi na łokciach i kolanach mojego kombinezonu.

– To twój nowy styl?

– Bądź miła – rzuca Victoria zza jej pleców.

„Bądź miła”.

To mówi dziewczyna, która prawdopodobnie rozpięła jeansy Locka albo kazała to zrobić Brigid.

Victoria rządzi całą czwórką. Ma luksus bycia wielkoduszną – kiedy przyjdzie jej na to ochota.

PJ i Chris śmieją się przy okienku. Dźwięk tak przypomina trzask z tamtego wieczoru, że aż piecze mnie skóra. Chucha na mnie jak płomień.

Lustrzane żyłki migoczą na ziemi jak rozlana rtęć.

Słyszę, jak Lock zamyka drzwi pick-upa.

– Przepraszam, że przeszkadzam. – Podchodzi do nas w naciągniętym do połowy kombinezonie. – Ale jeśli chcecie, żebyśmy odrobili za was pracę domową, musicie nas łapać w godzinach pracy.

Brigid drwi ze smug brudu na jego czole.

Ale Victoria patrzy, jakby spodobał jej się widok Locka w podkoszulku.

Spogląda na mnie, chcąc, bym to zauważyła.

Budzi się we mnie coś zaborczego. Nie zazdrość. Żeby czuć zazdrość, trzeba wierzyć – przynajmniej trochę – że ktoś raczej ukradnie nam osobę, na której nam zależy, a nie ją skrzywdzi.

To instynkt opiekuńczy.

– Fajna z was para – stwierdza Victoria, chłodna jak mgła na oceanie.
– Chyba powinniście nam podziękować.

Moje serce zmienia się w suchy lód. Nie iskrzący się jak garść śniegu, ale coś, co jednocześnie parzy i zamraża. Coś, co paruje, zamiast topnieć. Twarda skorupa mojej wściekłości trzyma je w ryzach, nie pozwala mu ulecieć w nicość.

Victoria, Brigid, PJ i Chris nie mogą rościć sobie do nas prawa. Nie są właścicielami tej iskierki, która rozbłysła między nami. To, że złamali nas oboje, nie ma nic wspólnego z tym, że jesteśmy razem. Przypominam sobie, co mówiła Jess, jak patrzyliśmy na siebie na początku imprezy, zanim wylądowaliśmy w tych pokojach.

Lock nie zwraca uwagi na słowa Victorii ani na srebrne szkło wijące się po nierównościach mokrego od deszczu asfaltu.

Ed wywołuje nasz numer. Lock jednym płynnym ruchem podchodzi do okienka, odbiera zamówienie i wraca. Porusza się szybko, mimo że na pojemniku z jedzeniem niesie dwa papierowe kubki z kawą.

Próbuje zabrać mnie ze sobą, przyciągnąć swoją grawitacją.

Tym razem to działa. Moje ciało tego chce, a ja mu pozwalam, więc idę, oddalam się od parkingu, który lśni, choć nikt jeszcze nie zauważył. Żyłki szkła suną jak przypływ, ale błysk kropel deszczu to ukrywa.

– Wiesz, że ona jest lesbijką, prawda? – woła PJ.

Lock staje i mierzy go wzrokiem.

Jess nosi to słowo dumnie i swobodnie jak ulubioną kurtkę. Ale do mnie nigdy nie pasowało. Nigdy nie czułam się lesbijką, tak samo jak nie czułam się hetero. Miałam crushe na dziewczyny, chłopaków, osoby,

które utożsamiają się z obiema płciami, nie utożsamiają się z żadną albo są zupełnie poza tymi kategoriami.

Nie przeszkadza mi, kiedy ktoś omyłkowo nazywa mnie lesbijką. To zdarzało się cały czas, gdy chodziłam za rękę z Jess, ale nigdy mnie nie ruszało. Lubię słowo „lesbijką”, tak samo jak lubię słowo „gej”. Są piękne i prawdziwe, nawet jeśli nie mówią prawdy o mnie – ponieważ mówią prawdę o ludziach, których kocham. O mojej najstarszej kuzynce, która jest lesbijką i ma dziewczynę. O doktorze Emmocie i jego mężu, którzy nazywają się gejami.

Ale jakimś cudem w ustach PJ-a słowo, które mi nie przeszkadza, słowo, które Jess nosi dumnie, staje się obelgą.

Mdłości wracają, żółć znów podchodzi do gardła. Ma taki sam kolor i konsystencję jak wtedy, kiedy Chris wypalił do Locka: „Nie lubi fiutów”.

Lock wpatruje się w PJ-a tak długo, że ten się krępuje i przerywa ciszę pierwszy.

– Lubi dziewczyny – dopowiada, jakby Lock nie znał znaczenia łatki, którą PJ przed chwilą mi przypiął.

Lock się pochyła, a ja przez sekundę obawiam się, że zaatakuję PJ-a. Ręka już mi drga, gotowa złapać go za ramię. Chociaż doceniam, że ten chłopak dba o to, jakie etykiety mi się przykleja, PJ nie jest tego wart. Żadne z nich nie jest.

Już chcę go powstrzymać, ale on patrzy na mnie z teatralnym zdziwieniem.

– Żartujesz – mówi. – Lubisz dziewczyny? Ja też.

Robi z tego niezłe przedstawienie, sarkastyczną scenkę.

Jeśli mogę polubić tego chłopaka jeszcze bardziej, niż już lubię, to w tej chwili właśnie to robię.

– To niesamowite! – Patrzy na mnie, jakbyśmy właśnie odkryli coś wspaniałego, na przykład że urodziliśmy się tego samego dnia. – Mamy tak dużo wspólnego.

Śmieję się, najpierw dlatego, że nie mogę nic na to poradzić, a potem dlatego, że nie chcę nic na to poradzić. Chcę, żeby cała czwórka widziała, jak się śmiejemy, tuż przed nimi, jakby ich tu nie było.

Victoria przewraca oczami. PJ wydaje się zdezorientowany – w jego mniemaniu – kompletną głupotą Locka.

– Dziękuję – szepczę bezgłośnie do Locka.

Teraz to ja ciągnę go do pick-upa. Skończyliśmy tu. Cokolwiek o nas myślą – zostawiamy to na asfalcie.

Odwracamy się plecami do nich i idziemy, ale Chris woła:

– To chyba znaczy, że nadal masz swój kwiatek, co, Thomas?

Lock hamuje, jakby asfalt się skończył, a on stanął na krawędzi pomostu. Przysięgam, że prawie widzę jego serce, błysk lustra srebrzący jego krew. Zmienia się, twardnieje, ma to samo spojrzenie, co w gabinecie dyrektora Whitcomba. To lustrzane szkło czyni go lekkomyślnym, popycha do konfrontacji.

– Pierdol się – rzuca tyłem do PJ-a.

– To chyba mamy odpowiedź – ocenia PJ.

– Chodź. – Teraz to ja próbuję wciągnąć Locka na moją orbitę. To ja pilnuję, byśmy trzymali się ścieżki.

Wsiadamy do pick-upa. Lock stawia pojemnik z jedzeniem na desce rozdzielczej, a kubki z kawą – w prowizorycznych uchwytach z drutu,

które dodał albo on, albo poprzedni właściciel. Wbijam wzrok w zardzewiały metal, by moje oczy nie zabłądziły na zewnątrz.

Nie patrz na nich, przykazuję sobie.

Bawię się pokrywkami kubków, udając, że się upewniam, czy są zamknięte.

Nie patrz na nich.

Ale patrzę.

Na początku nie jest tak źle, jak mi się wydaje. PJ i Chris czekają na zamówienie. Victoria ciągnie nitkę na koszuli Chrisa, jakby nie mogła się zdecydować, czy chce ją przyciąć, czy rozpruć całość. Dostaję nawet małą nagrodę, gdy PJ potyka się o szerszy pas szkła i zerka na boki, jakby szukał kogoś, kto go potrącił.

Ale Brigid wciąż mi się przygląda. Połowę jej twarzy i blond włosów oświetla błękitny neon. Patrzy na mnie z takim skupieniem, że nie zauważa srebrnego szkła wypełniającego szczeliny na wilgotnym podłożu.

Żyły szkła wygładzają maleńki parking, a potem pełzną w stronę chodnika. Połyskują na asfalcie w blasku neonu.

Ale tego Brigid też nie widzi. Obserwuje mnie niemal z zadowoleniem. Zaciska usta w uśmiechu, jakby właśnie się czegoś domyśliła.

Powinnam odwrócić wzrok. Każę sobie odwrócić wzrok.

Ale wtedy nasze spojrzenia się spotykają i wiem, czego się domyśliła. Czuję, jakbym spadała niczym upuszczony talerz, który leci w nieskończoność, zanim roztrzaska się o podłogę.

Wie, że Lock nie pamięta, a ja mu nie powiedziałam.

A teraz boi się, że to zrobię. Powiem mu, definitywnie, że to one wpadły na ten przezabawny pomysł, by obudził się ze szminką na ciele. Uznała mnie za zagrożenie, tak jak uznałaby nową dziewczynę w klasie, gdyby ta miała bardziej lśniąco włosy albo lepiej zrobione paznokcie.

Kątem oka dostrzegam ruch. Odwracam się od Brigid i patrzę na Locka.

Gapi się na ulicę, gdzie sygnalizator zmienia światła dla samochodów, których tam nie ma o tej porze.

Jego brawura zniknęła. PJ i Chris go z niej odarli.

Trzyma dłoń przy ustach i robi coś, co nie do końca rozumiem. Nie obgryza paznokci. Nie ssie palców jak dziecko.

Obgryza opuszki. Robi to tak, jakby chciał zerwać zębami linie papilarne. Ale widzę, że nie ma takiego zamiaru ani żadnego innego. Robi to bezwiednie, z poczuciem znajomego lęku, w ramach tiku nerwowego.

Pytanie, czy robił to od zawsze, czy zaczął ostatniej wiosny, jest zbyt przytłaczające i smutne, bym mogła teraz się nad nim zastanawiać.

Nie mogli dać nam wygrać. Nawet ten jeden raz.

Chris nie mógł pozwolić, żeby Lock jeden raz dopiekł PJ-owi.

– Lock – mówię najłagodniej, jak potrafię.

Obraca się lekko zaskoczony. Przestaje gryźć palce, opuszcza rękę, oswaja się z moim dotykiem.

– Nie chodzi o ciebie – tłumaczę mu. – To dlatego, że jesteś ze mną. Gdybyś chodził z jakąkolwiek inną dziewczyną w szkole, zostawiliby cię w spokoju.

– O czym ty mówisz?

Jak mam mu to wyjaśnić? Jak wyjaśnić, że taka dziewczyna jak ja, z biodrami po mamie i babci, powinna je ukrywać, a nie nosić takie same obcisłe jeansy jak każda *flaca*¹⁰⁴ w szkole? Jem i kocham jedzenie bardziej, niż dziewczyna z Astin powinna, rozkoszuję się pikantnym smakiem sosów i kolorem ciastek jaskrawych jak zachody słońca. I nigdy nie pocałowałam Jess przy chłopakach w szkole, nawet kiedy nas namawiali – zwłaszcza kiedy nas namawiali.

– Wiesz – zaczynam. – Jestem prawie jak oni, ale nie do końca. Jak Kirkland Signature z Astin.

Na jego twarzy maluje się niezrozumienie.

– Co?

– No wiesz – tłumaczę. – Kirkland Signature. Ta marka z Costco, jakby prawdziwa, ale nie do końca.

– Wiem, co to jest. – Jego mina się zmienia.

Nie jest zły, ale poważny – jak nigdy wcześniej. Widziałam go wściekłego. Przed momentem przestraszonego. Ale nigdy tak poważnego jak teraz.

– Nigdy więcej tak nie mów.

– Żartowałam – kłamię.

– To nie jest zabawne. Jesteś... – Ręka lekko mu drga. – Jesteś...

Zastanawiam się, co robić, żeby nie zaczął znów obgryzać palców: mówić coś czy milczeć.

Wygląda przez okno na sygnalizator, który nie kieruje niczym. Chociaż teraz kieruje auto PJ-a na główną ulicę.

Lock podaje mi pojemnik z jedzeniem i odpala silnik. Bierze łyk kawy i wzdryga się, jakby smagnął go wiatr. Kawa z budki jest tak

mocna, że nie da się zareagować inaczej.

– Dokąd jedziemy? – pyta. Stara się mówić swobodnie, ale jest niepewny, pokorny. Jakbym umiała narysować mapę tego miasta neon po neonie. Jakby nie był kimś, kto stworzył tajemny las w zakątku rezerwatu przyrody, tylko kimś, kto znalazł się tu dlatego, że się zgubił.

– Dokąd chcesz jechać? – Oddaję mu pytanie, bo jeśli nie zdecyduje, że tu jest jego miejsce, oni przekonają go, że jest inaczej.

Rusza.

– Właściwie gdziekolwiek indziej.

– Jedź powoli – proszę, patrząc, jak szkło wypełnia wyboje i odbija światło niczym kałuża.

Lock albo mnie nie słyszy, albo myśli, że żartuję. Nie jedzie powoli. Wyjeżdża na drogę z prędkością, która byłaby rozsądna, gdyby nie śliskie plamy.

– Lock – ostrzegam, a potem to czuję.

Jedno koło wjeżdża na szkło. Pick-upem zarzuca, tylna oś przesuwa się w prawo.

Zauważam, co się dzieje, pół sekundy przed Lockiem. Kiedy on manewruje, żeby wjechać w poślizg, ja już szarpię za kierownicę.

Kierowca z naprzeciwka trąbi i śmiga obok, niemal nas obcierając.

Lock wciska hamulec powoli, żeby pick-up się zatrzymał, a nie zaczął kręcić.

Stajemy tuż przed krawężnikiem, unikając zderzenia ze starym słupem telefonicznym.

Nie zdaję sobie sprawy, że lecę do przodu, póki nie widzę, że zaraz uderzę czołem w deskę rozdzielczą. Napinam się

i w ułamku sekundy wyobrażam sobie, że pęknę. Rozpadnę się na kawałki, zostawiając szkło, krew i cokolwiek jeszcze mam w sobie. Lock chwyta mnie i ciągnie do tyłu, tak mocno, że zapobiega uderzeniu.

W nieruchomym aucie czuję, jak Lock się trzęsie.

– Nic ci nie jest? – pyta.

Podnoszę głowę, by na niego spojrzeć. Moje usta są tak blisko jego ust, że czuję żar jego oddechu na skórze.

W kark wbija mi się coś twardego, a ja od razu wiem, co to jest. Mam nadzieję, że Lock nie zobaczy pasma srebrnego szkła w moich włosach.

Rozglądam się za czymkolwiek, co mogłoby zwrócić jego uwagę, czymkolwiek innym niż ja i różowa wstążka obrócona w nić lustra. Czuję, jak się rozpada, muszę ją zdjąć i schować do kieszeni albo plecaka, zanim rozsypie się na kawałki i ugodzi mnie, Locka bądź kogokolwiek innego. Już wrzyna mi się w szyję i drzę na myśl, że odłamek odprysnął i trafił chłopaka, gdy pick-up ostro zahamował.

Jedynie, co przychodzi mi do głowy, to pojemnik z jedzeniem, wciąż zamknięty, ale leżący smutno pod drzwiami pasażera.

Podnoszę go i otwieram, odsłaniając jedzenie przesunięte na jedną stronę.

– Sejsmiczne frytki z guacamole? – odzywam się.

– Jedzenie z motywem trzęsienia ziemi. – Próbuje frytki. – Widzę nowy trend w kuchni kalifornijskiej.

Gdy ponownie odpala silnik, przeczesuję włosy palcami, chcąc wyciągnąć każdy odłamek. Lustrzane łuki wstążki. Pęknięte pętle kokardy. Tasiemkę jasnego różu, którą Lock rozwiązywał w mojej wyobraźni, ale z której teraz zostały dwie garście potłuczonego szkła.

104 Szczupła dziewczyna.

MIGAWKA

Zokna widzę, jak sąsiadka w szlafroku z monogramem lustruje swój ogród. Patrzy na dziurę w idealnym trawniku.

Przygryzam wargę, żeby powstrzymać uśmiech, w razie gdyby dojrzała mnie zza zasłony.

Nawet setki kilometrów stąd *mi madre* będzie wiedziała, czy wypełniam jej polecenia. Meksykańskie matki zawsze wiedzą. Dlatego oprócz tego, że sprzątam i opryskuję sukulenty, wchodzę na ogólnie pojętą orbitę „prezencji” według mojej mamy.

Zaczynam od uczesania włosów, szorstkich po tacie, nie do końca prostych, nie do końca kręconych po mamie (używam takiego samego grzebienia jak ona). Nakładam róż, który od niedawna znów noszę.

Potem, tylko przez chwilę, rozważam pomalowanie oczu. Nie na pawi błękit, metaliczne złoto ani inny kolor, którego nie tykałam od miesięcy. Tylko muśnięcie brzoskwiniowego cienia na powiece i jaśniejszy brąz pod łukiem brwiowym.

Straciłam wprawę, więc rozcieram cień w niemal niewidoczną plamę. Mimo to wyglądam jaśniej, promiennie. Jak dziewczyna, która mogłaby pasować do tego pokoju w barwach różu, cytryny i turkus.

Nigdy nie powiem tego mamie, bo musiałabym znosić jej pełen zadowolenia uśmiech, ale kiedy wchodzę do szkoły, czuję ciepło

odzyskanych kolorów. Koral, brzoskwinia i róż rumienią brąz mojej skóry. Migocząca mgiełka unosi się nade mną, gdy otwieram szafkę.

Kiedy wypada z niej biały prostokąt, wiem, co to jest. Prawie przewracam oczami na kolejną fotkę z polaroida, na której wyglądam na pijaną, z burzą włosów na twarzy, jakbym się potykała.

Chwytam zdjęcie za róg, gotowa na widok ciemnego tła i różnych odcieni brązu, które składają się na każdy obraz mojej twarzy.

Ale błyszczący prostokąt to coś więcej niż brąz i rozmazane tło. Coś więcej niż niewyraźne zdjęcie, które mogło zostać zrobione na każdej imprezie.

Obok ciemnej plamy moich włosów widać błękit jeansów.

Jeansów Locka.

Kawałek szkła w moim sercu staje się ostrzem lodu.

Uchwycili nie tylko mnie.

Na zdjęciu widać nas oboje. W tym samym pokoju.

Historia, którą opowiadałam sobie, żeby móc oddychać, zderza się z prawdą, którą pokazuje to zdjęcie: że nie było żadnej ściany między tym, co PJ i Chris zrobili mnie, a tym, co Victoria i Brigid zrobiły Lockowi.

Byłam tam i nie mogłam tego powstrzymać.

Zdjęcie wyślizguje mi się z rąk.

Łapię je w locie.

Dziwny dźwięk – śmiech PJ-a, Chrisa, Brigid i Victorii – wyostrza się razem z obrazem.

Ten trzask, ten dziwny, nie do końca ludzki śmiech, to nie był tylko śmiech.

To był pstryk migawki polaroida.

Robili zdjęcia.

Pstrykali fotki aparatem tak starym, że nie rozpoznałam dźwięku. Zaciskałam powieki, dławiłam się, a moje serce pękało nad tym, co przytrafiało się mnie i chłopakowi, któremu nie mogłam pomóc. Próbując odpłynąć myślami, zmieszałam pstryk migawki z ich śmiechem.

Do dziś pamiętam jego żar.

Teraz rozpala cały mój świat, a w moim sercu szaleje sztorm.

– Wczoraj byliście uroczy. – Głos Brigid zaskakuje mnie do tego stopnia, że znów prawie upuszczam zdjęcie. Dziewczyna wyłania się zza drzwiczek mojej szafki i stuka palcem w zdjęcie. – Nie chciałabyś, żeby zobaczył resztę, prawda?

Groźba trafia prosto w moje serce, ale rozpada się w środku. Małe odłamki lecą wszędzie.

Jest więcej.

Oczywiście, że jest więcej.

I oczywiście użyli polaroida, aparatu, który nie rejestruje, kto i kiedy zrobił zdjęcie. Fotki nie zdradzają ich sekretów.

Tylko moje.

Nie, nie tylko moje.

Jeśli Brigid pokaże je wszystkim, spalą nie tylko mój świat, ale i świat Locka.

Rozglądam się, szukając wyjścia. Sprawdzam, czy w pobliżu nie ma PJ-a, Chrisa i Victorii, czy nikt inny nie patrzy.

Wszyscy są zbyt zajęci wyciąganiem książek, wymienianiem się notatkami, kręceniem się do ostatniej chwili przed lekcją.

– Nikt nie chce tego rozdmuchiwać. – Szept Brigid jest delikatny jak jej perfumy. – To była tylko impreza. Więc nie wpadnij na pomysł, żeby opowiadać niestworzone historie, jasne?

Gdybym potrafiła, wybuchnęłabym śmiechem.

Brigid nie ma pojęcia, jakie kłamstwa sobie wmawiałam, żeby zapomnieć, co dokładnie się wydarzyło. Musiałam postawić wyimaginowaną ścianę, by żyć z tym, że nie mogłam go uratować.

Jakie „historie” według niej chciałabym opowiadać?

– Zostawcie go w spokoju – mówię ledwie słyszalnym głosem. Próbuję szeptać, ale słowa grzęzną mi w gardle. – On nic nie robi.

Brigid wzrusza ramionami.

– Dopilnuj tego, a wszystko będzie dobrze.

– Nie wpływam na jego decyzje.

– Wpływasz. – Dźwięczny chichot nadaje jej słowom lekkości. – Jeśli chcesz. Tak jak Victoria i ja wpływamy na PJ-a i Chrisa.

Walczę ze sobą, by nie zamknąć oczu, bo jeśli to zrobię, znów znajdę się tam, gdzie Chris ciągnie mnie za włosy, a PJ – za ramiona, gdzie po drugiej stronie pokoju Victoria i Brigid szturchają zwiotczone ciało Locka, by się upewnić, czy jest nieprzytomny.

Nie chcę znów patrzeć na to zdjęcie, ale to robię.

Gdyby chodziło tylko o mnie, mogłabym odpuścić. Odwrócić się i zostawić Brigid z kłamstwami, które chce opowiadać.

Ale nie chodzi tylko o mnie.

Chodzi o chłopaka, który znów zostanie nagi i okaleczony, jeśli ktoś zobaczy to zdjęcie.

– Nie możecie mu tego zrobić – mówię tak cicho, że Brigid znów musi podejść tak blisko, bym poczuła jej perfumy. – Możecie mnie nienawidzić, ale nie możecie mu tego zrobić.

– Nienawidzić cię? – Brigid mruga. – Dlaczego uważasz, że cię nienawidzimy?

Jej konsternacja jest tak szczerą, że nie wiem, co z nią zrobić.

– Jesteś przewrażliwiona – stwierdza. – Nikt cię nie nienawidzi. Wiedziałabyś o tym, gdybyś poświęciła dwie sekundy, żeby się nad tym zastanowić.

Rozumiem każde słowo z osobna, ale nie umiem poskładać ich w całość.

– Co? – pytam.

Brigid prychnęła.

– Myślisz, że zawracalibyśmy sobie głowę kimś, kto nie jest tego wart?

– Co? – powtarzam.

– To był komplement – wyjaśnia. – Dobrze się uczysz, przyjaźnisz się z Jess, nie robisz afery z tego, że podobają ci się dziewczyny, i czasami bywasz nawet całkiem ładna.

„Nawet całkiem ładna”.

Cały wywód Brigid był kontrowersyjny, ale mój mózg zatrzymuje się na tych słowach.

„Nawet całkiem ładna”.

To przypomnienie, że moje latynoskie ciało jest czymś, co należy usprawiedliwiać, a nie celebrować.

– Gdybyś się tak nie spinała, moglibyśmy zostać przyjaciółmi – ciągnie. – Chcieliśmy być twoimi przyjaciółmi.

Czuję, że moje zebra są kruche jak szkło. Jeśli wezmę jeden zły oddech, wszystkie naraz pękną.

Tej czwórce nawet nie przyszło do głowy, że mnie krzywdzą.

Ich zachowanie było zaproszeniem. Uwerturą do tego, bym została jedną z nich, nawet całkiem ładną queerową Latynoską, którą przygarnęliby do grupy jako ciekawostkę.

Wydawało im się, że to będzie dla mnie jakiś zaszczyt.

– Ale nie, ty musiałaś dramatyzować – dodaje Brigid.

Niedowierzenie staje mi w gardle.

„Dramatyzować”.

Dla nich walczyć i stawiać opór znaczy dramatyzować.

Pewnie się spodziewali, że będę chichotać, że rzucę niepewne „nie”, a potem uśmiechnę się i powiem „no dobrze”, żeby mogli mi kibicować.

Liczyli na to, że każda dziewczyna – a zwłaszcza nawet całkiem ładna Latynoska – zrobi wszystko, co każą, w zamian za ich przychyłność. Zniesie wszystko, wytrzyma wszystko, usprawiedliwi wszystko.

Wpisali swoje założenia w krągłości i kolory mojego ciała.

– A Lock? – pytam cicho, ale zgrzytam zębami tak, że brzmię, jakbym cedziła słowa. – Kiedy płakał przez sen, według ciebie też dramatyzował?

– Wyluzuj. – Brigid wzdycha z irytacją. – Jeśli jeszcze nie słyszałaś, twój nowy chłopak był strasznym świętoszkiem.

„Świętoszkiem”. Ciągłe zawieszam się na pojedynczych słowach albo frazach Brigid. Nie chcę tego robić, ale wpijają się we mnie jak szpony. Nie chodzi o to, że Lock by się nimi przejął – wątpię, że by go to obeszło, bo przywykł do docinków, że pochodzi z zapadłej dziury – ale o to, że uwydatniają coś, co już wiem: każdy, kto chce decydować o własnym ciele, zamiast poddawać się Victorii i jej paczce, zasługuje na obelgę.

– Prawdopodobnie umarłby jako prawiczek, gdybyśmy go nie rozluźnili – ocenia Brigid. – Więc nie ma za co.

„Nie ma za co”. Słowa wrzynają się we mnie, ale dopiero po chwili zauważam ból, jakby z ręki wyślizgnął mi się nóż.

– Próbowałam im powiedzieć, że będziesz się spinać, ale Vic lubi dawać ludziom szansę. Naprawdę ma piękną duszę.

Prawie zachłystuję się powietrzem. Ma na myśli dziewczynę, która nie potrafi powiedzieć komplementu bez złośliwości? „Jest uroczy, mimo trądziku”. „Jest całkiem ładna, chociaż trochę gruba”.

Ale Brigid mówi to wszystko śmiertelnie poważnie. Trzepocze wytuszowanymi rzęsami z całkowitą szczerością.

– Każdy inny uznałby się za szczęściarza, wiesz? – Krzywi się, jakby chciała mi powiedzieć, że mam spódnicę włożoną w majtki. – Jesteś trochę niewdzięczna. Może dlatego nie masz już żadnych przyjaciół. Próbowaliśmy być twoimi przyjaciółmi i wszyscy wiemy, jak to się skończyło.

W mojej głowie zderzają się dwie konwersacje. Ta rozmowa z Brigid i wcześniejsza, z Victorią. Beznadziejny przypadek. Jestem beznadziejnym przypadkiem, bo nie byłam chętną, wdzięczną

uczestniczką, jakiej oczekiwali. Jestem beznadziejnym przypadkiem, bo w ten sposób oferowali mi przyjaźń.

Czuję to od razu – Brigid przerzuca na mnie ciężar wydarzeń tamtej nocy. Gdybym się zaśmiała, nawet nerwowo, a potem poddała, miałiby argument. „Dobrze się bawiłaś, śmiałaś się”. Gdybym się zaśmiała – czy ze skrępowania, czy z niepewności, czy ze strachu – mogliby przedstawić to po swojemu. Ale mój opór jest oskarżeniem. Potępieniem, do jakiego nie przywykli. Buntem, którego nie rozumieją.

Stawiałam opór, więc atakowali mocniej.

Stawiałam opór, więc wznieciłam w nich ogień.

Stawiałam opór, więc ich gra towarzyska zmieniła się w walkę.

Stawiałam opór, więc zaczęli skandować i się nawzajem dopingować. „Dawaj, dawaj, dawaj. Każ jej to zrobić”.

Kiedy stawiałam opór, coś w ich wizji świata pękło. Odarłam z blasku zaszczyt, który mi przyznali.

A oni dalej mnie za to nienawidzą.

PJ i Chris prawie o tym zapomnieli, tak jak bogaci chłopcy zapominają o wszystkim. Ale widocznie kiedy zobaczyli mnie z Lockiem, płomień rozgorzał na nowo.

– Myślę, że musisz jeszcze trochę nad sobą popracować – oznajmia Brigid, zanim odpłynie z tłumem na korytarzu. – Więc może się nad tym zastanów.

ZAMARZAM, PŁONĘ

To nie do końca nieprawda, że byliśmy w dwóch różnych pokojach. Dla Locka byliśmy. Przez to, co mu dosypali, znajdował się w miejscu mrocznym jak ocean pod osłoną nocy. Ja znajdowałam się w miejscu pełnym oślepiającej bieli.

Musiałam sobie wyobrazić, że byliśmy w dwóch różnych pokojach, bo za każdym razem, gdy sobie przypominam, co mu się przydarzyło, moje ciało staje się miękkie i kruche jak *pan dulce*. Wmawiałam sobie, że między nami była ściana, ponieważ nie mogłam żyć z tym, co widziałam, z tym, co tam robiłam i czego nie mogłam powstrzymać. Nie potrafiłam tego udźwignąć. Musiałam zakopać to w sercu tak głęboko, żeby o tym zapomnieć. Musiałam zakopać tę część mnie, która wiedziała, że ten chłopak został zniszczony nie tylko w tym samym momencie, ale też w tym samym miejscu co ja. Musiałam zakopać tę część mnie, która wiedziała, inaczej nie byłoby ani jego, ani mnie – tylko niepojęta siła tamtej chwili i tamtego pokoju.

Więc tak z tym żyłam, wyobrażając sobie naszą dwójkę w różnych pokojach, Locka zabranego daleko przez ciemność.

Ale tym zdjęciem z polaroida Brigid wepchnęła nas z powrotem do tej samej przestrzeni. Wyrwała mi kłamstwo, które pozwalało mi przeżyć.

Nie wyłapuję, kiedy Victoria przechodzi obok mnie po ostatniej lekcji. Robi to pewnie dlatego, że na korytarzu jest mnóstwo ludzi i po prostu wybiera najprostszą drogę.

Sekundę za późno przypominam sobie, że Victoria nie schodzi ludziom z drogi. To oni schodzą z drogi jej.

Jeśli przechodzi obok mnie, to znaczy, że tego chce.

Zdaję sobie z tego sprawę w chwili, gdy podnosi kubek, który ma w ręce, i wylewa na moją bluzkę lodowatą wodę.

Wciągam powietrze z zaskoczenia i czuję, jak pali mnie w gardle. Victoria idzie dalej. Jej rozjaśnione i idealnie pofarbowane włosy falują.

Czuję chłód. Przenika mnie tak mocno, że znowu wracam do tamtego pokoju, do tamtego wieczoru.

Victoria – ta Victoria, która istnieje w tym momencie, na tym korytarzu – odchodzi. Ale chłód nadal mnie ściska. Nie widzę Brigid, PJ-a ani Chrisa, ale jakimś cudem cofam się w czasie i PJ trzyma mnie za ramiona, wpija paznokcie w moją skórę.

Znów jestem w tamtym pokoju, a oni obrzucają mnie lodem, bo nie chcą robić tego, co mi każą.

Gdybym wtedy składała się z lodu, gdybym była silna i twarda jak kamień niczym *La Reina de Las Nieves*, odparłabym atak. Nie ruszałabym się i zaciskałabym usta, nawet gdyby rzucili we mnie całym śniegiem zimy.

Ale nie byłam, więc tego nie zrobiłam.

Strumień osób z mojej klasy rozsuwa się na tyle, że widzę znajomego chłopaka po drugiej stronie korytarza – chłopaka, który kilka miesięcy temu leżał na tamtym łóżku.

Patrzy na mnie. Z jego oczu bije coś pomiędzy zmartwieniem a zrozumieniem.

To znów się wydarzy, tutaj, na szkolnym korytarzu.

PJ albo Chris coś mu dosypią, Victoria i Brigid rozepną mu spodnie i będą szukać pierwszej dziewczyny, która wejdzie do pokoju, żeby PJ i Chris mogli zrobić z nią to, co Victoria i Brigid robią z Lockiem. To ja będę tą dziewczyną sprawdzającą, co u chłopaka, którego zostawiła tu z myślą, że musi odespać, bo za dużo wypił.

Wszyscy będą patrzeć, oparci o szafki, i nie zareagują, bo ludzie tak robią. Patrzą i pozwalają na wszystko.

Gdy zacisnę usta, znowu obleją mnie wodą z lodem, tak jak tamtego wieczoru, a ja znowu wydam z siebie niemy krzyk i mimo woli otworzę usta.

Tylko że oni już wylali na mnie wodę z lodem.

Już dyszę i drzę. Zamarzam, a wspomnienie trzeszczącej mieszanki ich śmiechu i pstrykania polaroida sprawia, że w środku płonę. Zmierzam do najbliższych drzwi. Przechodzę przez parking, a potem przez ulicę.

Zanim dobiegnę do koryta rzeki, już się nastawiam, że zobaczę pomarańczowe kielichy maków, przybrzeżne bylice i trawy, wszystkie rośliny, których w dzieciństwie dotykałyśmy z kuzynkami, a których nazw uczyła mnie Jess.

Jednak gdy docieram na miejsce, staję jak wryta. Nie widzę znajomego koloru i kołysania. Maki są srebrne. Zielone pędy bylicy przypominają kruszone kryształy. Jaskrawozielone liście i różowe kwiaty machorki zastygły w ostrza lustrzanego szkła. Burgundowe liście rącznika pospolitego stwardniały w odłamki lustra. Ich koralowo-żółte

kwiaty wyglądają jak rzeźby ze srebrnej wody. Małe błotniste baseny przeobraziły się w wiekowe lustra.

Za dużo rzeczy zmienia się w lustrzane szkło. Nie mogę zgarnąć i upchnąć w szafie ich wszystkich. Jest ich zbyt wiele.

– Ciela.

Gdy słyszę swoje imię z jego ust, moje serce mięknie jak liście na deszczu.

Zmieniam się w Ciele, którą byłam, gdy po raz pierwszy bawiłam się z kuzynkami przy tym korycie. Małą i pełną nadziei, że jeśli się nie poruszę, nikt mnie nie zauważy. Wstrzymuję oddech i liczę, że Lock mnie nie zobaczy.

– Ciela.

Robi kolejny powolny krok w moim kierunku. Słyszę to w cichym szumie dzikich traw. Napinam się z obawą, że szum przejdzie w chrzęst tłuczonego lustra.

Empidonki wierzbowe odlatują z drzew, uciekając przed ostrym błyskiem szkła. Szczuroskoczki trącają trawy, drepcząc z dala od rzeki. Przeplatki atalie odfruwają.

Para skrzydeł przemyka obok Locka, przyciągając jego wzrok. Wcześniej patrzył prosto na mnie, więc teraz podskakuje, jakby dopiero zauważył kwiaty z rtęciowego szkła i liście w kształcie maleńkich lustrzanych noży. Mruga, chłonąc to, jak słońce pozłaca ostre krawędzie, a one rzucają tęcze na gałęzie wciąż będące gałęziami, jak nasze zniekształcone odbicia mającą w większych plamach srebra.

Opuszcza ramiona.

– Och – wzdycha.

To nie szok ani wstręt, tylko zrozumienie. Może odłamek lustrzanego szkła w jego sercu rozpoznaje lustrzane szkło wokół nas.

Zakładam ręce na piersi, jakbym dzięki temu mogła się poczuć mniej obnażona. To tak bezużyteczny gest, że wyrywa mi się śmiech. Ten dźwięk to pierwsze, co mi uświadamia, że jestem bliska płaczu. Odpląnęłam myślami tak daleko, że nawet nie zauważyłam szczypania soli w oczach i ścisku w gardle.

Lock nie patrzy na mnie, jakby domyślił się, że zrobiłam coś złego. Nie patrzy na mnie, jakbym była przerażająca, lecz tak, jakbym trzymała coś cudownego w moim rozciętym przez lustro sercu. Patrzy na mnie, jakby już to dostrzegł, jakbym nie musiała się otwierać, by pokazać mu poszczerbiony, skrzący się świat wewnątrz mnie.

– Ciela. – W jego ustach moje imię jest idealne i ostre, jakby musiał ostrożnie ważyć je na języku.

Gałąź nad nim się trzęsie. Noże lustrzanego szkła drżą, odbijając światło. Dostrzegam przestrożę w ich ruchu i tylko ona każe mi zrobić to, co robię potem: dotykam Locka bez jego zgody.

Chwytam go i przyciągam do siebie w chwili, gdy lustrzane noże odrywają się od gałęzi. Spadają obok nas i wbijają się w ziemię.

– Przepraszam – mówię, usprawiedliwiając to, że dotknęłam go bez pytania. – Przepraszam.

– Nie szkodzi – odpowiada. Nie uwierzyłabym mu, gdybym nie poczuła, jak się rozluźnia w moich ramionach.

Jesteśmy bliżej niż wtedy, gdy uratował mnie w pick-upie. Nawet bliżej niż wtedy, gdy mnie pocałował. Stoimy nad rzeką i ledwo oddychamy, ze zdziwieniem przyjmując, że możemy trwać tak blisko siebie i nadal być bezpieczni.

WIATR PORYWA JE WSZYSTKIE

Muszę mu powiedzieć.

Muszę mu powiedzieć, że byłam w tamtym pokoju, że wiem dokładnie, co mu się przydarzyło, bo byłam tam przez cały czas. A on wiedziałby, co przydarzyło się mnie, gdyby był przytomny.

To oni – PJ, Chris, Victoria i Brigid – robili nam to przed sobą nawzajem, jakby chcieli się popisać. Ale dlaczego nie mieliby chcieć się popisać? Dlaczego nie mieliby chcieć razem się z nas pośmiać?

Lock musi wiedzieć. Postanawiam to, gdy wsiadamy do jego pick-upa.

Postanawiam to, gdy zdejmuję szkolny sweter i koszulę i wręcza mi je bez słowa, bo moja bluzka jest tak mokra, że widać mi stanik i wciąż mam dreszcze.

Ten chłopak, któremu rozpięto jeansy bez jego zgody, bez wahania rozbiera się przede mną i zostaje w samym podkoszulku. Muszę mu powiedzieć. Musi wiedzieć to, co ja wiem.

– Więc dokąd mam cię zabrać? – pyta.

– Lock. – Wciągam powietrze, zanim włączy silnik.

To go zatrzymuje.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczynam.

Czeka.

– Byłam na tamtej imprezie.

– Wiem. Zawiozłaś mnie do szpitala.

– To nie wszystko. – Mój głos słabnie.

Muszę mu powiedzieć.

– To ja położyłam cię w tamtym pokoju – wyrzucam z siebie.

Nieruchomieje, a potem kręci głową.

– Co?

– Myślałam, że byłeś pijany. – Zasycha mi w gardle. – Nie wiedziałam, że ci coś dosypali. Myślałam, że musisz odespać, więc zabrałam cię na górę i położyłam w jednym z pustych pokoi, a potem zostawiłam, żeby znaleźć torebkę i wodę dla ciebie, a kiedy wróciłam...

– Urywam. Gardło mam suche jak kora drzewa. – Przepraszam – mówię, zbyt wycieńczona, żeby płakać. – Przepraszam, że cię tam położyłam. Strasznie cię przepraszam.

Dziwnie na mnie patrzy – w jego oczach widać coś między zamyśleniem a szokiem.

Nienawidzi mnie.

Zasługuję na to. Tak bardzo, że nawet się tego nie boję.

– Czemu mi nie powiedziałaś? – pyta.

– Bo nie wiedziałam, jak spojrzeć ci w oczy i powiedzieć, że to moja wina.

Lock poważnieje.

– Naprawdę myślisz, że to twoja wina?

W kabinie pick-upa wciąż unosi się zapach śnieżnego drzewa. Gęstnieje mi na języku tak bardzo, że nie mogę odpowiedzieć.

– Posłuchaj – mówi. – Próbowalaś mi pomóc. To, że ktoś to wykorzystał, to nie twoja wina. – Przełyka gulę w gardle, a ja dostrzegam jego *manzana de Adán*¹⁰⁵. Obraca się twarzą do mnie. – Nie czuj się winna.

Stary winyl skrzypi pod jego ciężarem, a ja staram się nie wzdrygnąć na myśl o polaroidzie.

– Przywróciłaś mnie do życia, Ciela – dodaje. – Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę. I to nawet nie to... co robiliśmy... co nam zrobili...

Jąka się, a jego oczy wędrują ku pustej przestrzeni między nami.

Nie. Nie może tego zrobić. Nie może uznać, że zrobiłam dla niego coś dobrego.

– Samo to, że cię znam. Sama świadomość, że to rozumiesz. – Podnosi wzrok. – Dzięki temu czuję, że po tym wszystkim można dalej żyć.

Wracają znajome mdłości. Czuję się krucha jak cukrowa skorupka *conchas*.

– Lock – odzywam się. – Jest jeszcze coś.

Znów spuszcza wzrok.

– Nie mów mi.

Nagle ściska mnie w żołądku tak, że na sekundę zapominam o mdłościach.

– Co?

– Nie mów mi.

– Dlaczego?

Tym razem patrzy prosto na mnie.

– Bo wiem, co chcesz powiedzieć, a ja nie chcę wiedzieć.

– Lock. – Jego imię ledwo wybrzmiewa w moich ustach. – Wiem, kto to zrobił, i wiem, jak to się stało.

– Ja też – mówi.

Wybałuszam oczy.

– Może nie dokładnie – precyzuje. – Ale mogę się domyślać po tym, kogo to bawi. Mogę przypuszczać po tym, kto śmiał się najgłośniej, kiedy znalazłem prezerwatywy na szybie. Czemu miałbym chcieć wiedzieć więcej? Musieć przechodzić obok niej każdego dnia? Wiedzieć, kto uznał, że będzie zabawnie zrobić mi to, kiedy straciłem przytomność i nie mogłem odmówić? Zostawić na mnie ślady szminki?

Odłamek lustra w moim sercu się obraca.

Lock myśli, że oni wiedzą, bo sobie o tym powiedzieli.

Nie ma pojęcia, ile osób było w tamtym pokoju.

– Wiedzieć, który chłopak pewnie na to wpadł? – wylicza dalej. – W jaki sposób miałyby mi to pomóc? – Stara się patrzeć mi w oczy. Widzę, że walczy o to ze wszystkich sił. – Wiem już dość. – Kiedy łamie mu się głos, dostrzegam błysk w jego oczach. – Kto... – Wzdryga się i kręci głową. – Wziął mnie w usta. Nie chcę tego wiedzieć. Wiem już wystarczająco.

Ten mały odłamek lustra rani każdy zakamarek mojego serca. Lock nie wie o wiele więcej niż to, kto wziął go w usta.

– Wiesz, co jeszcze wiem? – ciągnie. – Nie jestem synem darczyńcy. Jestem dzieciakiem ze stypendium. – Wskazuje głową na parking, na

polerowany chrom i srebro, od których odstaje jego pick-up. – Moje słowo nic nie znaczy w porównaniu z ich słowem.

Moje serce zamiera. Właśnie z tego powodu nie tylko nie chciałam nikomu mówić, ale też wiedziałam, że nie ma sensu nikomu mówić.

– Słuchaj – kontynuuje. – Wiem, że jestem biały. Nie będę udawał, że rozumiem, co przeszłaś i jak to jest być tobą. Ale myślę, że dobrze wiesz, o czym mówię.

– Tak. – Ścisza mnie w gardle. – Ale czy nie chcesz przynajmniej wiedzieć...

– Ta wiedza ci pomogła? – przerywa mi.

– Lock.

Spogląda na mnie przez kosmyki, które wpadają mu do oczu.

– Pomogła? – pyta.

Przez sekundę w pick-upie słychać tylko nasze oddechy.

Wygląda tak bezbrinnie, że czuję, jakbym widziała go nago, chcę mu powiedzieć, żeby się zakrył, zamknął przed całym światem.

– Jeśli powiesz mi, że tak, to cię wysłucham. – Patrzy na mnie pewnym wzrokiem. – Pomogła?

Wzdrygam się i próbuję odsunąć od siebie wrażenie dłoni Chrisa na moich włosach.

Każdy argument za tym, by mu powiedzieć, rozpada się na tysiąc płatków lagerstremii. Wiatr porywa je wszystkie.

– Nie – odpowiadam.

– W ogóle?

– W ogóle. – Mój głos dobywa się szeptem.

– Dlaczego nie?

Jestem mu winna prawdę.

– Bo muszę z tym żyć. – Ledwo udaje mi się wypowiedzieć te słowa.

Lock uśmiecha się do mnie smutno.

– No i proszę.

Nie rób tego. Mój mózg krzyczy na mnie i na Locka. Nie rób tego, nie rób tego, nie rób tego.

Nie zmuszaj mnie, żebym nie mówiła ci tego, co wiem. Nie zmuszaj mnie, żebym była jedyną osobą, która wie. Nie mogę dłużej żyć sama z tą wiedzą.

– Lock – zaczynam.

– Ciela. – W jego głosie słyhać po części prośbę, po części ostrzeżenie. – Musisz to uszanować. – Macha głową, by odrzucić włosy z twarzy. W jego oczach odbija się światło. Są mokre i lśnią. – Nie chcę wiedzieć.

Nie wie tylu rzeczy, które ja wiem. Ale prosi, żebym zamknęła te drzwi. Jeśli ledwie żyje z tym, co mu się przytrafiło, nie mogę obarczać go tym, co wiem, ani tym, co spotkało mnie w tym samym pokoju.

Kiedy znów się odzywa, każde słowo ma swój ciężar:

– Pozwól mi sobie odmówić.

To mnie powstrzymuje.

Z tym nie mogę się kłócić. Wszystkie słowa, jakie miałam, więzną mi w gardle.

Nie mogę powiedzieć mu prawdy tylko dlatego, że nie chcę nosić jej sama. Nie mogę odbierać mu wyboru.

Tamtego wieczoru nie mogłam powiedzieć „nie”.

A teraz mówi „nie” mnie. Nie chce słuchać tego, co mam do powiedzenia. Muszę to uszanować – przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić.

Spogląda na zegarek na desce rozdzielczej.

– Kurka – mówi.

– „Kurka”? – Nie sądziłam, że w takim momencie będę zdolna się roześmiać, ale ta cenzura jest tak nietypowa dla Locka, że bierze mnie z zaskoczenia. Nie mogę się powstrzymać.

– Mam czteroletnią siostrę – przypomina. – Kiedy wracam do domu, włączam tryb starszego brata. To obejmuje „kurka” i „ja piórkuję”, a jeśli mam bardzo zły dzień, „zakichany”.

– Rozumiem. Co się stało?

– Mam zrobić obiad i nawet nie wiem, co przygotować.

– Myślałam, że nie gotujesz.

– Gotuję. Gotuję to, czego nie da się schrzanić. Jeśli jest z pudełka i ma bardzo prosty przepis, to nawet całkiem nieźle mi wychodzi. Robię najlepszą quesadillę z serem w plasterkach na świecie.

– Zadajesz mi ból.

– Potem dodajesz ketchupu...

– Teraz chcesz mnie zdenerwować.

– Wiem. Przepraszam. To zbyt proste.

Prawie-śmiechem otrząsamy się z prawie-płaczu.

Lock odgarnia włosy z oczu. Śmiech zamiera mi w gardle.

Kiedy się rusza, widzę, że ma rozdarte ramiączko, a pod spodem przez sekundę miga srebrna nić.

Lustrzane noże jednak go drasnęły. Nawet przed nimi nie potrafiłam go uratować. Małeńki odłamek lustra ugodził go w bark i jeśli nie chcę, żeby jako kolejny ugrzązł głębiej, muszę go wydostać.

Przypominam sobie jego ostatnie słowa i wpadam na pomysł tak błyskotliwy jak srebrna nić.

[105](#) Jabłko Adama.

SZKŁO ROZSZCZEPIAJĄCE ŚWIATŁO

Prowadzę go przez *mercado*¹⁰⁶ tą samą uliczką, którą chodzę z mamą, odkąd skończyłam trzy lata. Wybieramy papryczki chili z rubinowych *ristras*¹⁰⁷. Pytam hodującą kwiaty dyni kobietę o jej *nietos*¹⁰⁸. Słyszę swój horoskop od mężczyzny, który odkrawa kawałek *queso fresco* z kręgu. Okruszki sera sypią się jak drobne perły.

Wszyscy gapią się na Locka, nie podejrzliwie, raczej ze zdezorientowaniem, jakby zawędrował tu biały koń.

Las viejas uśmiechają się do mnie pogodnie i wiem, że przekażą to mojej mamie.

Budynek Locka przypomina pół tuzina innych w promieniu kilku kilometrów od szkoły. Stiuk. Betonowa fontanna na środku dziedzińca. Barwy, które mają przywozić na myśl Hiszpanię. Te same ściany w kolorze złamanej bieli i prawie różowy, prawie beżowy dywan, który chyba jest obowiązkowym elementem wystroju w Kalifornii Południowej, bo my też go mamy.

Na ścianach wiszą ramki. Połowę wypełniają zdjęcia, połowę – dzieła sztuki, głównie autorstwa Violet: różowe i fioletowe łuki namalowane palcami, kleksy brokatu. Ale niektóre wyglądają na dzieło Locka: akwarelowe drzewa na szarym papierze tak starym, że żółknie.

W kuchni zniszczone książki kucharskie stoją obok nowszych. W salonie pojemniki podobne do tych, w których moja mama przechowuje jedzenie, tylko przzerośnięte, skrywają jaskrawe kolory – jak się domyślam – zabawek Violet.

Odkładam torbę z zakupami.

– Mówiłeś, że masz cebulę?

Lock otwiera szafkę i odcina cebulę z kiści. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, co ją trzyma.

– Czy to...

– Rajstopy – przytakuje Lock. – Dzięki nim cebule nie kiełkują, kiedy kupujemy dużo naraz.

To nie rajstopy, tylko pończochy, ale nie chcę go poprawiać. Mama tłumaczyła mi, że chłopcy nie mają wyobraźni, żeby pojąć takie szczegóły. Chyba większość osób z mojej klasy nie ma wyobraźni, bez względu na tożsamość płciową. Sama bym o tym nie wiedziała, gdyby abuela nie kazała mnie i moim kuzynkom zakładać przezroczystych pończoch za każdym razem, kiedy szłyśmy do kościoła. Chciała nauczyć nas skromności, a także tego, że *gringos* definiują kolor *nude* w każdej kategorii: od make-upu do szpilek, i ten kolor nigdy nie pasuje do nas.

Lock ostrożnie obiera cebulę.

Muskam palcami jego bark i wsysam powietrze przez zęby, jakbym dopiero teraz dostrzegła rozdarte ramiączko i ranę pod spodem.

– Powinniśmy to oczyścić.

– To? – Odsuwa ramiączko, przywiązując większą wagę do dziury w materiale niż do zadrapania na skórze. – Zaszycę to w dwie sekundy.

– Oczywiście, że umiesz szyć.

– Co to ma znaczyć?

– To komplement. Większość chłopaków ze szkoły nie zbliżyłaby się do igły i nici. – Z udawaną nonszalancją pytam: – Gdzie trzymacie spirytus?

– Spirytus? Na to?

– Szydełkujesz, szyjesz, nie zgrywaj teraz macho.

– To draśnięcie.

– Krwawisz.

– Krwawiłem. – Patrzy na rękę. – Całkiem przeoczyłem to krwawienie.

– Okej, proponuję kompromis. Jak wrzucimy wszystko do garnka, dasz mi to oczyścić.

– Jeśli do tego czasu jeszcze będziesz w stanie to znaleźć, to śmiało.

Wyjmuję zakupy z torby.

– Nie musisz tego robić – mówi.

– Ale chcę – odpowiadam. – Nie jesteś aż tak beznadziejny w kuchni, jak ci się wydaje.

Patrzy na zegar i zdaję sobie sprawę, że ocenia, ile mamy czasu.

– Czy twoi rodzice wiedzą, że jestem... – odzywam się bez zastanowienia i teraz żałuję, że zaczęłam. – No wiesz, taka jak ty?

– Jak ja? Co masz na myśli?

To, że zaprzyjaźniłeś się z kimś, kto doznał takiej samej krzywdy jak ty, dopowiadam w myślach, ale na głos mówię:

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Że też jesteś wspaniałą stypendystką Astin? – Po jego minie widzę, że się zgrywa.

– Lock.

– Złodziejką drzew?

– Lock.

Jego śmiech gaśnie jak blednący blask. Lock poważnieje.

– Nigdy bym im nie powiedział. To nie moja rola. Nie powiedziałbym im nawet o sobie, gdybym nie musiał. Sama wiesz, że ta rozmowa jest okropna.

– Nie wiem. – Wyciągam kukurydzę z torby.

Patrzy na mnie.

– Nie powiedziałaś rodzicom?

Bawię się jedwabnymi nitkami kukurydzy.

– Jestem pewna, że po części widzą we mnie pięciolatkę. Boję się, że kiedy powiem im, co mnie spotkało, co mnie rozbiło, to będzie pierwszy raz, gdy spojrzą na mnie jak na kobietę. – Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie powiedziałam tego na głos.

Cicho gwizdże, jakby podkreślał ciężar tego, co przed chwilą przyznałam.

– No – mówię powoli.

– Nie jesteś rozbita. – Lock wyciąga deskę do krojenia. – Wiesz o tym, prawda?

– Lock. – Śmieję się z niedowierzaniem. Myślę o tym, jak ciągle ukrywam się pod bluzami, nawet kiedy jest za ciepło. Myślę o Chrisie, który trzyma mnie za włosy, o PJ-u, który mu kibicuje. Myślę o tym, że nie mogę już nosić czerwonej szminki, bo przypomina mi o Brigid i Victorii, które rozpięły Lockowi rozporek. Myślę o odłamkach lustra grzęznących w naszych sercach. – Jestem. A ty nie?

Od razu żałuję, że zapytałam.

Śmieje się z bólem.

– Słuszna uwaga.

– Nie – mówię. – Przepraszam. Nie powinnam zakładać nic na twój temat.

Zaciska zęby, ale nie jakby się złościł, bardziej jakby był spięty.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– Po prostu... – Obiera kukurydzę szybko i sprawnie, więc poznaję, że to nie jego pierwszy raz. – Gdybym nie pozwolił czegoś sobie dosypać, mógłbym to powstrzymać.

– Nie możesz tak myśleć.

– Nie mogę? – Odrywa liście wokół żółtej kolby. – W którymś momencie popełniłem błąd. Odstawiłem kubek. Nie pilnowałem go. Coś zrobiłem.

„W którymś momencie popełniłem błąd”.

Staram się nie przekładać jego słów na to, z czym żyję od miesięcy.

– Mnie też byś tak powiedział? – pytam. – Albo komuś takiemu jak ja? Że na to pozwoliłam?

Zrywa delikatną nitkę z kukurydzy.

– Jestem facetem.

Mówi to bez przechwałek i poczucia przywileju. Mówi to ze wstydem tak głębokim, że pęka mi serce.

– Faceci też tego doświadczają – oznajmiam. – Wiesz o tym. Widziałeś ich na terapii grupowej.

– Cóż. – Przechodzi do kolejnej kukurydzy. – Pierwszy raz o tym słyszałem. Zanim zacząłem terapię, myślałem, że jestem jedyny.

Próbuję wrócić w miejsce, które znalazłam w tajemnym lesie, miejsce, w którym to nigdy się nie wydarzyło.

Ale to się wydarzyło i dowodem jest chłopak przede mną. Ma dość poczucia humoru, by żartować z bolesnych rzeczy, by dmuchać balony z prezerwatyw i szydełkować grzybowe penisy. Pod tą kruchą, wyluzowaną powierzchnią kryje się jednak opaczne rycerstwo, poczucie, że skoro jestem dziewczyną, to znaczy, że przetrwałam, ale skoro on jest chłopakiem, to znaczy, że był nieostrożny i słaby. Za każdym razem, gdy podkreśla moją siłę, jednocześnie umniejsza sobie.

Kiedy stoimy w jego kuchni, chcę zmieścić to wszystko w naszym jedzeniu i zmienić w coś innego. Przykryć rześkim aromatem kolendry i kukurydzy, pieprzykiem *tomatillo*¹⁰⁹ i chile, ciepłym *calabaza* i czarnej fasoli. Chcę bez reszty uwierzyć zapewnieniom mamy, że *mole* i kwiaty cukinii odpędzą każdą troskę. Że głęboka czerwień papryczek ancho i guajillo roznieci wewnętrzny ogień, który pomoże stawić czoła światu.

– Okej. – Odsuwa ramię. – Nie mów, że nie dotrzymuję słowa.

Pokazuje mi rękę i płytką ranę, w której utkwilo pasmo srebra. Szukam go, gdy wylewam spirytus na wacik i przeciągam mu po barku z nadzieją, że wywabię srebro.

– Nic mi nie jest – uspokaja mnie. – Naprawdę.

Ale nie wie, co potrafi nawet najmniejszy odłamek lustra. Nie wie, że przez niego było mi tak zimno, że straciłam magię bisabueli, a on sam stał się na tyle lekkomyślny, by ryzykować wylanie z Astin.

Nie ma żadnego srebra. Nie dostrzegam nic na jego ręce ani na waciku, ani na opuszkach moich palców, gdy dotykam rany. W moim

sercu wzbiera nadzieja, że je strzepnęłam, a nie że krew Locka zdążyła je wchłonąć.

– A tobie? – pyta.

– Co: mnie?

– Nic ci nie jest?

Przez ostatnie kilka miesięcy słyszałam to pytanie od mamy, tii, pielęgniarki w szpitalu, nieznajomych na targu, *las viejas* cmokających w kościele, kiedy przychodziłam bez makijażu. I za każdym razem kłamałam. Za każdym razem powstrzymywałam się od odpowiedzi, którą chciałam wykrzyzczyć do nieba.

Ale teraz jej nie wykrzykuję.

Teraz, gdy wreszcie ją z siebie wyrzucam, śmieję się.

– Jest – mówię. Śmieję się, bo to prawda. Śmieję się, bo nie wiem, jak udawało mi się kłamać za każdym razem aż do teraz. – Coś mi jest.

Czekam, aż wybałuszy oczy ze zdumienia, że się z tego śmieję.

Ale on śmieje się ze mną, kręci głową i mówi:

– Mnie też.

– Dlaczego się śmiejemy? – pytam.

– Nie mam pojęcia – odpowiada. – To nie jest zabawne.

– Naprawdę nie jest – przyznaję.

Ale nadal się śmiejemy, jakbyśmy wiedzieli, że musimy. Że nie zdołamy żyć z tym inaczej, niż śmiejąc się za każdym razem, gdy przypomnimy sobie, jak to robić.

Nabijam *calabaza* na widelce.

– Chwila prawdy. – Podaję mu jeden.

– To nie może być dobre – stwierdza. – Dopuszczasz mnie do czegoś, co nie jest gotową mieszanką w proszku.

Dmucham na swój widelec.

– *Z pan dulce* sobie poradziłeś.

– To co innego – protestuje stanowczo. – Wyrwałaś jedzenie z naturalnego środowiska i sprowadziłaś do świata tostów z serem.

– Wiedz, że zrobienie idealnego tosta z serem wymaga umiejętności. A teraz przestań grać na zwłokę.

Próbujemy przyprawionej chile cazueli¹¹⁰. Drobne ziarna kukurydzy rozpuszczają się na naszych językach.

– Nie wierzę, że miałem w tym jakiś udział – oznajmia Lock. – Jest za dobre.

– Miałeś. Stałam obok. Widziałam cię.

Smak *las especias* ożywia wszystko.

Najpierw włącza się sznur lampek na balkonie, gdy zaczyna zmierzchać.

Potem krople wody na suszarce migoczą jak paciorki szkła.

Następnie aromat *pápalo* otula włosy i ramiona Locka pachnącą zielenią *epazote*.

„Kochasz go”, śpiewa ciepło przypraw.

„On kocha ciebie”, nuci pikantna słodycz papryczek.

„Kochasz go”, szepczą złote płatki kwiatów dyni.

Przez chwilę tkwię w bezruchu, łapiąc się na tym, że przyprawy choć raz mówią nie tylko do mnie, ale i o mnie. To coś więcej niż odzyskany

dar bisuabueli. To jej magia kwitnąca w mojej krwi, zapuszczająca korzenie coraz głębiej.

Słyszę skrzypienie otwieranych drzwi.

Podskakuję. Lock nie.

– Coś tu ładnie pachnie – mówi męski głos.

– To wszystko jej zasługa – woła Lock w kierunku drzwi. – Ja tylko obrałem kukurydzę i coś tam pokroiłem.

Violet biegnie do Locka.

– Hej. – Lock się śmieje i czochra jej włosy. – Dobrze się bawiłaś u babci i dziadka?

– Babcia nauczyła mnie wycinać śnieżynki z papieru.

Rozkłada dwie śnieżynki, które zmięły się w jej entuzjastycznym uścisku, ale wciąż są dosyć ładne, by rzucać wzorzyste cienie wśród światełek na balkonie.

Zakładałam, że Violet mnie nie pamięta, ale ona wita mnie słowami „Tęczowa posypka”, jakbym miała tak na imię.

Nie jest to najgorsza ksywka, jaką kiedykolwiek dostałam, więc się nie kłócę.

– Są fantastyczne – chwali śnieżynki Lock. – Przyklejmy je do okna. Będziesz miała śnieżynkowe cienie na ścianie.

Dziewczynka patrzy na niego z zachwytem, a potem ucieka na korytarz.

– To przyszła dekoratorka wnętrz. Lock mówi jej językiem.

W salonie pojawia się kobieta, która – jak przypuszczam – jest mamą Locka. Blondynka, nie naturalna, od razu to widzę, ale dobrze dobrała odcień. Szczupła. Długie jasne rzęsy. Zmarszczki palaczki wokół ust,

delikatne, więc pewnie rzuciła jakiś czas temu. Zwężane jeansy i trampki, takie jak te, które nosi ciocia w pastelerii. – Lock, nie przedstawisz swojej przyjaciółki?

– To Ciela. – Wskazuje głową na mój mundurek. – Nie zgadniesz, skąd się znamy.

Mężczyzna w koszulce polo z logo country klubu, w którym – jak wiem od Locka – pracuje, wyciąga rękę.

– Nate. – Ma siwiejące rude włosy, co tłumaczy truskawkowy blond Violet. – Miło cię poznać.

– Chwileczkę – wcina się mama Locka. Niepokojąco się rozpromienia. – To ty jesteś tą dziewczyną od pacynki waginy? – Wypowiada słowo „wagina” przyciszonym głosem, pewnie żeby Violet nie usłyszała.

– Boże, błagam – jęczy Lock i zamyka oczy, jakby naprawdę się modlił. – Niech mnie piorun trzaśnie.

– Tak mnie opisywałeś? – pytam go.

– Moja wina. – Jego mama podnosi rękę. – Mam słabą pamięć do imion. – Przygląda mi się. – Jest ładna.

– Ona tu stoi, mamó. – Lock schyla głowę. – I ja też, dopóki nie wymyślę, jak wydrążyć tunel na drugą stronę świata.

Jego mama rzuca torebkę na kanapę.

– Zostajesz na obiad.

Waham się przez to wszystko, co wiem, i to wszystko, co rodzina Locka być może wie. Że nie jestem tylko dziewczyną z pacynką waginą, ale dziewczyną, która tamtego wieczoru zawiozła Locka do szpitala. Że nie jestem tylko dziewczyną, która zawiozła go do szpitala, ale też dziewczyną, która zostawiła go tam samego.

Czasami noszę w sobie sekrety i prawie ich nie czuję. Czasem mogę je utrzymać jak tajemny las, który trzyma wszystkie zapomniane drzewa Locka. Innym razem nie czuję nic prócz tego, jak tamta noc rozbiła mnie na kawałki niczym szkło rozszczepiające światło na różne barwy. Jak uczyniła ze mnie dziewczynę o sercu posrebrzonym lodem i szkłem. Kłamczuchę, jednocześnie bardziej bojaźliwą i bardziej lekkomyślną.

– To nie propozycja, to stwierdzenie faktu – tłumaczy Nate.

Lock przytakuje.

– Przyzwyczaisz się.

[106](#) Targ, rynek.

[107](#) Pęki papryczek.

[108](#) Wnuczęta.

[109](#) Miechunka pomidorowa.

[110](#) Danie jednogarnkowe.

ROZKWIT

Obiecuję, że następnym razem, jak przyjdiesz, będą wiedzieli, jak masz na imię – mówi Lock, zatrzymując pick-upa pod moim domem.

– Nie przejmuj się – uspokajam go. – „Tęczowa Posypka” zaczyna mi się podobać.

Macham do niego w drzwiach. Zachowuje się jak Jess – czeka, aż wejdę do domu.

Biegnę na górę i rzucam się na łóżko. Chcę oddzielić dobre chwile z dzisiaj od tych złych.

Niestety na sekundę zapominam, że moje łóżko to dzwonki wietrzne. Drewniany stelaż trzeszczy, gdy tylko czuje mój ciężar.

Przekręcam się i jest jeszcze gorzej. Moje własne łóżko mnie ocenia, a ja chcę wziąć odwet. Wiercę się na wszystkie strony, jakbym mogła je zmęczyć.

Mój mózg jest tak wyczerpany, że wdaję się w bójkę z łóżkiem do samodzielnego montażu.

Słyszę dzwonek do drzwi.

Stękam i wstaję, kuksańcem dając materacowi do zrozumienia, że to jeszcze nie koniec. Nie, nawet jeśli sąsiedzi z naprzeciwka przyszli tu, żeby obwinić mnie o zniknięcie ich drzewa.

Jednak gdy otwieram, w drzwiach stoi Lock.

– Hej – mówi. – Przepraszam. Chciałem tylko się upewnić, czy wszystko w porządku.

– Tak. – Odgarniam włosy z twarzy i zastanawiam się, czy wciąż jestem zaczerwieniona po bójce z łóżkiem. – Wszystko świetnie. A co?

Rzuca mi pełne cierpliwości spojrzenie. Spojrzenie pod tytułem „Okej, poczekam, aż powiesz prawdę”. Jeśli zaprzyjaźni się z Jess, przez te ich spojrzenia nigdy nie będę mogła okłamać ich w żadnej sprawie.

Opieram się o ścianę i pocieram skronie.

– Coś jest nie tak z moim łóżkiem.

– Mogę zerknąć? – pyta.

– Co?

– Tylko jeśli nie masz nic przeciwko, żebym poszedł do twojego pokoju. Jeśli masz, rozumiem.

Macham na schody.

– Zapraszam.

Rusza na górę, a ja idę za nim.

– Czeka. – Dotykam jego ramienia.

Wzdryga się, tak jak wcześniej ja. Prędko, prawie niezauważalnie. Oboje w ułamku sekundy rozpoznajemy, kto nas dotyka. Przy nim moja nerwowość mija szybciej niż przy kimkolwiek innym.

Mimo to jestem zażenowana, że popełniłam błąd. Czasami duża swoboda prowadzi do utraty ostrożności.

– Przepraszam – mówię.

Spogląda za siebie, odyskując opanowanie. Znam tę reakcję. Gdy czujemy się przy kimś wystarczająco bezpiecznie, pozbywamy się chwilowego strachu, który bierze się z dotyku.

Nauczyłam się tego przy Locku. Pewnie nauczyłabym się przy Jess, gdybym powiedziała jej wcześniej.

– Jak w ogóle mnie usłyszałeś? – zmieniam temat. – Nie odjechałeś?

– Sprawdziłem, czy na ulicy nie ma innych zawiadomień.

– Jesteś dziwny.

Dociera na górę.

– Uroczo dziwny czy przerażająco dziwny?

– W ani jednym procencie przerażająco dziwny, w dziesięciu procentach uroczo dziwny, w dziewięćdziesięciu procentach po prostu dziwny.

– Może być. – Zatrzymuje się przed moimi drzwiami. Nie muszę mu pokazywać, które to. Sznurek lampek w kształcie papryczek chili pewnie wystarczy za wskazówkę.

Śmieje się.

– Co? – Wchodzę do środka i kopniakiem przestawiam kosz na pranie, by zastawił szafę. Wątpię, żeby Lock otwierał ją bez pytania, ale dzięki tej przeszkodzie czuję się trochę spokojniejsza.

– Ikea, prawda? – pyta.

– Tak – potwierdzam i staję przed szafą jako druga przeszkoda. – Skąd wiesz?

– Mam to samo łóżko – wyjaśnia. – Kupiłem na wyprzedaży garażowej po przeprowadzce, więc nie miałem instrukcji, a nie znałem

nazwy modelu. Musiałem trochę kombinować. – Waha się przed wejściem do pokoju. – Mogę spróbować?

– Śmiało – zachęcam.

Ściąga materac z łóżka.

– Popeliłem ten sam błąd. – Podnosi stelaż i obraca go na drugą stronę. Drewno trzeszczy tak głośno, że słychać je na korytarzu, a potem cichnie.

– Powiedz, że żartujesz – proszę.

– Niestety nie.

– To nie może być takie proste.

– Stelaż ma lekki łuk, którego prawie nie widać, chyba że o nim wiesz. – Odkłada materac na miejsce. – Spróbuj teraz.

– Nie ma mowy. – Prycham. – Sam zagraj na łózkocymbałkach.

Chyba pierwszy raz widzę, jak naprawdę przewraca oczami.

– Mówię poważnie – dodaję. – Wskakuj. Sam się przekonasz.

– Chcesz, żebym wszedł na twoje łóżko? – pyta ostrożnie.

– Tak. Chcę, żebyś zobaczył, że mam rację.

– Dobrze. – Siada.

A łóżko brzmi jak łóżko. Jak materac bez cymbałek pod spodem.

– Jak to zrobiłeś? – Siadam obok niego. Opadam tak ciężko, żeby trącić stelaż.

Łóżko milczy. Tylko materac ugina się pod moim ciężarem.

W tej chwili.

Tak szybko.

Coś w powietrzu się zmienia.

Migocząca smuga rozciąga się wokół nas jak nikła, blada Droga Mleczna.

Mówi mi to, co *pápalo* i kwiaty dyni podpowiadały w kuchni Locka.

Pan de yema. Anyż. Wanilia. Słoneczny pomarańcz żółtek jaj od kur mojej kuzynki, które stroszą pióra w wilgotnej trawie. Próbowałam to rozgryźć, odkąd Lock po raz pierwszy wszedł do pastelerii, a teraz już wiem.

Przez chwilę nie jestem dziewczyną o sercu rozciętym przez szkło. Jestem dziewczyną o sercu dzikim i jaskrawym jak wirujące barwy *chamoyada*¹¹¹.

– Co się dzieje? – pyta Lock.

Czuję, że zaraz wstanie.

Całuję go tak mocno, że przyszpilam go do łóżka, a gdy jestem w połowie na nim, chwyta mnie w tali.

Oddaje pocałunek tak zawzięcie, że powietrze między naszymi ustami nabiera smaku, staje się jednocześnie ostre i słodkie jak *dulce de leche*¹¹².

Jestem już cała na nim, sięgam rąbka jego T-shirtu, ale zatrzymuję się i pytam:

– Chcesz tego?

Odgarnia mi kosmyk włosów z twarzy.

– Tak. – Choć mówi cicho, w jego głosie czuć pewność. – A ty?

To, jak patrzy na mnie, moje ciało, brąz mojej skóry, to, jak trzyma rękę u dołu moich pleców, sprawia, że czuję się piękna niczym tafla skrzącego się lodu, niczym niebo malowane zorzą.

– Tak – odpowiadam i kiedy to mówię, nie boję się ani jego, ani siebie. Tak blisko niego moje serce nie jest blizną wokół odłamka szkła. Jest żywe, gorące i lśniące.

Migocząca smuga przenika nasze ciała i popycha nas ku sobie niczym wiatr. Unoszę jego T-shirt, całuję środek torsu, trzymając usta z dala od paska jeansów. Rozpinam spódniczkę od mundurka i kładę jego ręce na plisach. Chciałam ją zdjąć, odkąd poczułam chlust wody z lodem. Muska palcami moje biodro, dziką różę wytatuowaną tuż pod łukiem bielizny.

– Zmywalny? – pyta.

– Poliż, to się przekonasz – rzucam.

Wciąga powietrze, a ja widzę, że go zaskoczyłam.

Mimo to szybko się otrząsa – nawet nie zdaje sobie sprawy, że to robi, dopóki nie czuję jego języka na biodrze.

Wyrywa mi się śmiech, głośny i niespodziewany. Ten śmiech należy do *La Bruja de los Pasteles*, tak bardzo, że przez chwilę zastanawiam się, skąd pochodzi.

– Nie wierzę, że właśnie to zrobiłeś. – Moje słowa brzmią cicho pod słabnącym śmiechem.

– No proszę. – Lustruje tatuaż, teraz lśniący od jego śliny. – Kto by pomyślał. Prawdziwy. – Wodzi palcem po okrągłym sercu *escaramujo*. – Co to jest?

– Owoc dzikiej róży.

– Owoc dzikiej róży na biodrze¹¹³? To urocze.

Sięgam w dół i dotykam tego samego miejsca na nim.

– Nie, serio. – Teraz obrysowuje wiotkie pędy wyrastające z czubka koralowej cebulki. – Jak namówiłaś rodziców?

– Skąd wiesz, że wiedzą?

Patrzy na mnie, jakby słyszał o nadprzyrodzonych mocach meksykańskich matek.

– To prezent na moje piętnaste urodziny – mówię. – Gdyby nie *quinceañera*¹¹⁴, nie miałabym szans. Nasz znajomy ma dużo tatuaży i wiedział, gdzie nas wysłać.

To był jeden z warunków: polecenie doktora Emmotta.

Lock muska dwa liście, a mnie przebiega dreszcz.

– Dlaczego go zrobiłaś?

To, że jest skłonny zwolnić na tyle, by zapytać o dziesięć centymetrów kwadratowych mojego ciała, sprawia, że pragnę go jeszcze bardziej.

– Chciałam sobie przypomnieć, że moje ciało należy do mnie – wyjaśniam.

Między nami zawisa mimowolne założenie, że zrobiłam tatuaż po tym, co mnie spotkało, jakby w ramach rytuału odzyskania. Jednak on jest symbolem z czasów przed i nieraz wydaje się anachroniczny na mojej własnej skórze.

Całuję Locka, zanim zdążę go poprawić. Chcę wiedzieć, że moje ciało może czuć coś innego niż to, co przez ostatnie miesiące. Chcę zająć się nim inaczej niż Victoria i Brigid. Chcę być delikatna i ostrożna.

I chcę mieć szansę decydować.

– Jesteś pewna? – szepcze mi we włosy.

Zbliżam usta do jego ucha i mówię najszczerze słowa, jakie kiedykolwiek mu powiedziałam:

– Kiedy jestem z tobą, nic z tego się nie wydarzyło.

Chwytam jego dłonie i przyciskam do siebie. Rozumie moje intencje i ostrożnie przesuwa ręce po moim ciele. Uczy się miękkości moich ud i pośladków.

– Lock – zaczynam.

Zastyga.

– Masz może kilka tuzinów prezerwatyw? – pytam.

– Wiesz co, chyba tak. Muszę sprawdzić w szafce. Albo w plecaku. Albo na szybie.

Obejmuje mnie w pasie ramieniem i przewraca na plecy. Mój śmiech jest piskliwy i beztroski – tak mogłaby się śmiać *La Bruja de los Pasteles*, kiedy po raz pierwszy spała z chłopakiem.

Teraz Lock nie jest chłopakiem, którego nie mogłam uratować. Teraz jest chłopakiem, którego oddech wibruje przy moim uchu, gdy rozpinam mu jeansy. Jest chłopakiem, który delikatnie chwytą gumkę mojej bielizny. Wymieniamy szepty tak cicho, że nie wiem, które z nas co mówi.

„Jeśli chcesz przestać, powiedz”.

„Zostań ze mną”.

„Jesteś tu”.

„Możesz czuć się bezpiecznie”.

„Nie jesteśmy wtedy. Jesteśmy teraz”.

Dotyka mnie i czuję, że żyję. Żyję, gdy muskam ustami jego szyję i szepczę słowa z nadzieją, że nawet jeśli ich nie usłyszy, to poczuje je na

skórce. Mam w sobie tyle życia, by z jednego owocu na moim biodrze rozkwitło sto krzaków róży z tysiącem pąków i milionem liści.

Przyjmuję go do mojego wnętrza, chcąc tego i wiedząc, że on też tego chce.

Przyjmuję go do mojego wnętrza, bo teraz tak decydujemy.

[111](#) Słodki drink z mango i truskawkami.

[112](#) Kajmak.

[113](#) W nazwie owocu dzikiej róży (rose hip) kryje się słówko hip, czyli „biodro”.

[114](#) Huczna uroczystość z okazji piętnastych urodzin.

LA CONCHA DE SIRENA

Nie budzę się naga, tylko w piżamie.

Mam niewyraźne, senne wspomnienie, w którym Lock wyciąga ją spod mojej poduszki i mi ją wkłada, a potem sam się ubiera, całuje mnie w skroń i wymyka się z pokoju.

Dopilnowałam, żebym nie obudziła się naga, zdezorientowana i zmartwiona, gdzie jestem i gdzie są moje ubrania. Nie wie, że w najgorszą noc swojego życia cały czas byłam ubrana. Ale na myśl, że zadał sobie ten trud, że w ogóle o tym pomyślał, mam serce miękkie jak owoc śliwy w tajemnym lesie.

Przecieram oczy i mrużę je przed bladym światłem wpadającym przez okno.

Błysk koloru przełamuje znajomy odcień kołdry i każe mi usiąść.

To kłębek zielonej, turkusowej, fioletowej i fuksjowej włóczki z karteczką samoprzylepną z bloczka na moim biurku. Czytam drukowane litery:

„CHCIAŁEM CI TO DAĆ WCZORAJ, ALE ZAPOMNIAŁEM. TO MOJA ARTYSTYCZNA INTEPRETACJA WAGINY SYRENY”.

Przypominam sobie, jak prawie udławił się *concha*. Wybucham zaspanym śmiechem.

Przyciągam szalik do twarzy i czuję zapach, który kojarzy mi się z Lockiem. Metal szydełek. Rdza jego pick-upa. Gałęzie i kwiaty skradzionych drzew.

Przez okno widzę dzień na tyle chłodny, by założyć szalik. Liście drżą, jakby chciały zżółknąć i spaść.

Owijam szalik wokół szyi i otwieram palety cieni do powiek. Nakładam na oczy te kolory: fuksję i fiolet, pawi błękit i zielen. Wychodzi mi trochę nierówno, kolory tworzą raczej mozaikę niż gradient. Ale wystarczają, by mnie uspokoić, gdy idę nad rzekę, by zerwać każdy płatek i liść lustrzanego szkła.

Przygotowuję się na widok srebra. Może trawy już się zmieniły. Może małe kałuże stwardniały w lustra tak grube i ostre jak baseny błota.

Jednak gdy docieram na miejsce, wita mnie świat znajomych kolorów. Maki są pomarańczowe jak płomienie świec. Bylica jest zielona i żywa. Kwiaty machorki ponownie się zaróżowiły. Ważki muskają kałuże, a miękkie, gliniaste baseny mienią się mułem.

Wszystko wraca do życia.

Biegnę do pastelerii, tak pełna magii bisabueli, że czuję, jak iskrzy mi na opuszkach. Wszystko odzyskuję. Dziś zgadnę, jakie *pan dulce* sprawi, że klient doceni szczególny błękit nieba. Domyślę się, kto musi zjeść *pajarito*, by odzyskać wiarę, że jaskółki kiedyś wrócą. Przewidzę, że *cuerno* z różowymi paskami ukoji nerwy dziewczynki, która ma sypać kwiatki na ślubie.

Może tía miała rację co do tej pory roku i wreszcie nadchodzi nowa. Może jaskółki nadlatują i wzburzają chmury swoimi skrzydłami. Może wiatry Santa Any czekają na skraju nieba.

Jess też to czuje. Kiedy tylko wchodzę do kuchni, na twarzy mojej przyjaciółki pojawia się uśmiech.

Wiem, że była na kolejnej randce. Przygotowałam pudełko z gallinami i specjalną porcję *galletas* w ulubionym odcieniu błękitu Liz. Po spojrzeniu Jess widzę, że domyśla się, co zaszło między mną a Lockiem zeszłej nocy.

Odzywamy się w tym samym momencie.

– Powiedz mi wszystko.

KONIE WIDMA

Gdy czuję na sobie ręce Locka, mój świat nie jest ze szkła. Jest kradzionymi drzewami i różami tak czerwonymi, jakby płonęły. Jest wodą, którą słońce zamienia w czyste złoto, i ziemią, która wraca do życia wraz z żarem gwiazd.

Jednak kiedy zasypiamy w moim łóżku, moje ciało zapomina o jego obecności. Jego ciepło mnie nie dosięga.

Kiedy czuję, że koszmary się zbliżają, wyciągam lalki od abueli spod poduszki i ściskam w dłoniach ich małe szmaciane ciała.

Dziś w nocy śnię o wronach. Ich skrzydła zmieniają się w ostrza ciemnego szkła, gdy tylko na nie spojładam. Śnię o złotych pałacach, które oblewają się srebrem, gdy tylko dotykam ich ścian. Śnię o koniach, które zmieniają się w widma.

Śnię o *La Reina de Las Nieves*. Ale nie o samej Królowej Śniegu, tylko o małej rozbójniczce, jedynej w tej opowieści postaci o brązowej skórze. Jest nieostrożna i okrutna. Przyszpila Gerdę do łóżka. W moich koszmarach śmieje się z tego, z jaką łatwością straszy ptaki i renifery, a jej śmiech przeraża mnie jeszcze bardziej, gdy słyszę, jak mocno przypomina mój. Potem ten śmiech dobywa się z mojego gardła i to ja jestem *la pequeña ladrona*, małą rozbójniczką przetrzymującą niechętne ciało w moim łóżku.

Potem śnię o Locku, o odgłosach, jakie wydawał w tamtym pokoju, gdy próbował wyrwać się ze snu. Śnię o jego cichym, zbolałym pisku, gdy próbował się sprzeciwić, powiedzieć „nie”. Ale teraz tym odgłosom towarzyszy żar w moich dłoniach. Piekące klucie w palcach.

Otrząsam się z letargu na tyle, by otworzyć oczy. Patrzę na lampę, którą zapomnieliśmy zgasić przed snem. Widok krwi budzi mnie do końca. Czerwień plami mi palce, połyskuje na srebrnych odłamkach lustra, które trzymam zamiast szmacianych lalek.

Strużki krwi spływają po białych plecach Locka.

Wygrzebuję się z pościeli. Chowam rozbite szkło do szafy i zmywam krew z drżących palców.

Oddycham z trudem, gdy ostatnia kropla czerwieni spływa do zlewu i znika.

Oglądam plecy Locka. Szukam śladu srebra.

Lock się wierci.

– Co robisz? – pyta zaspany.

– Zraniłam cię – odpowiadam.

Odwraca się do mnie i siada.

– Co?

– Zraniłam cię – powtarzam.

Widocznie czuje pieczenie na plecach, bo patrzy przez ramię.

– Tylko mnie zadrapałaś. To nic.

– Zraniłam cię – powtarzam znowu.

– Ciela. – Patrzy na mnie z nieznośnym współczuciem, myśląc, że zadrapałam go we śnie, trzymałam tak mocno, że wpiłam mu paznokcie w skórę. – Nic się nie stało.

– Zraniłam cię.

Nie wie, że przed chwilą mogłam wetknąć w niego więcej lustra. Nie rozumie, że gdybym zanurzyła się głębiej w swoje koszmary, mogłabym go pomylić z majaczącym cieniem i zranić ostrzem.

Próbuję mu coś powiedzieć, ale on mnie nie słyszy.

– Zraniłam cię – powtarzam po raz kolejny.

– Ciela. – Patrzy na mnie tak stanowczo, że milknę. – Nic nie boli.

TO SIĘ WYDARZYŁO

Przed przyjściem tui dekorujemy schłodzone ciasta. Wykańczam boki tortu mocha cebulkami jasnego lukru, a na wierzchu wyciskam puszyste róże i zielone listki w kształcie serc. Jess maluje babkę cytrynową żółtymi pastelami, rozmywając barwy jak akwarele.

Piszę „Udanej rocznicy” starannym pismem i układam cukrowe perełki, by podkreślić każdą literę.

Piszę „Wszystkiego najlepszego” i „*Feliz cumple*” na tortach-piniatach i na wierzchu *cortadillos* z różowym lukrem.

Przeglądamy stertę zamówień, aż jedno zwraca moją uwagę.

To zamówienie rodziny Delahooke. Organizują zawody w piłce wodnej albo świętują wcześniejsze przyjęcie na studia. Życzą sobie napisu „Gratulacje”.

Ciasto dla jednego z chłopaków, którzy mnie przytrzymywali, gdy ich dziewczyny robiły zdjęcia.

– Może ja się tym zajmę? – Jess zabiera mi zamówienie.

Przytakuję i wypuszczam kartkę z drżących dłoni.

PJ, Chris, Victoria i Brigid dają nam spokój, ponieważ wiedzą, że będziemy siedzieć cicho. A my siedzimy cicho, ponieważ wiemy, że nie wygramy z ich nazwiskami.

Trzymają te zdjęcia jak coś ostrego przy naszej skórze. Lock pewnie czuje to codziennie na korytarzu, nawet jeśli nie wie dlaczego.

– Nie winię cię – mówi cicho Jess.

– Co?

Patrzy na ciasto, które dekoruję.

Moje ozdobne pismo nie układa się w słowa „Przyszła Panna Młoda”.

Układa się w słowa „Nienawidzę ich wszystkich”.

Zapach cukru powoduje, że w gardle staje mi gula.

Wygladzam litery szpatułką. Łączę je z białym lukrem pod spodem w nadziei, że gradient będzie wyglądał na zamierzony.

Mieszam ciemniejszy turkus i próbuję ponownie. Wypieram wspomnienie Victorii i Brigid ze śmiechem popychających Locka, wypieram wspomnienie ich chłopaków, którzy złapali mnie, jakby na moim ciele nie mogły wykwitnąć siniaki.

Dłońmi w rękawiczkach ściskam metalowy blat.

– Czemu ciągle jestem taka wściekła?

– Naprawdę myślałaś, że nie będziesz? – pyta Jess.

Myślałam, że jeśli odzyskam dar bisabueli, gniew w moim ciele zgaśnie. Że jeśli odnajdę straconą nić magii, będę mogła udawać, że to była jedyna rzecz, którą wyrwali ze mnie tamtej nocy.

– Wiesz, co zrobimy? – Jess opiera się o blat. – Zrobimy kilka ciast i napiszemy na nich wszystko to, co chciałybyśmy powiedzieć.

– Na przykład co?

– Wszystko. Co tylko chcesz.

– A potem co z nimi zrobimy?

– Zaniesiemy do domu spokojnej starości przy kościele. Twoja tía i tak chciała, żebyśmy to zrobiły. – Jess podnosi do połowy wypełnione zamówienie, luźną prośbę mojej cioci: „Zanieście im kilka okrągłych i jedno prostokątne na imprezę urodzinową”. Co miesiąc dostajemy podobne zadanie: żeby dostarczyć słodkości tam, gdzie moja abuela miała tak wielu przyjaciół.

– Chcesz zanieść seniorom babeczki z naszymi wściekłymi tyradami? – nie dowierzam.

– A czemu nie?

– Bo nie chcę, żeby je widzieli?

– Posypka, *querida*¹¹⁵ – rzuca Jess. – Posypka ukryje liczne grzechy.

Więc to robimy.

Pieczemy, chłodzimy i lukrujemy ciasta, a potem piszemy wszystko.

Zaczynamy od tytułów wszystkich broszur o abstynencji, które musiałam składać z Lockiem.

„Nigdy tego nie odzyskasz”. „Nasz największy skarb”. „Dar, który możesz dać tylko raz”.

– Nadal jestem sceptyczna – stwierdzam.

– Patrz i ucz się. – Jess sypie posypkę na wierzch i boki ciast.

Trzyma się lukru. Wszystkie nasze sekrety znikają.

– *Voilà* – mówi.

Więc piszemy resztę.

To, że według mamy Jess bycie queer to faza, bo Jess jest „taką imprezowiczką”.

To, że w szkole Latynoskom częściej sprawdza się długość spódniczek.

I wszystko to, co chciałam powiedzieć o tamtym wieczorze.

Nazywam ich po imieniu. *Violadores*. Drapieżnicy.

Cztery imiona i to, co zrobili.

„Możecie mnie uciszyć, ale nigdy nie zmusicie mnie, żebym zapomniała”.

Jess dekoruje ciasto słowami „Je**ć wszystko”, wyciska gwiazdki jak maleńkie kwiatki. Pakuje ciasto do pudełka.

– Zapomniałaś posypki na tym ostatnim – zauważam.

– Nie.

– Mówisz serio?

– Daj spokój. Znam przynajmniej dziesięć seniorek, które uznają to za przezabawne.

Ma rację.

Napełniam kolejny rękaw, a ręce mnie wyprzedzają.

Wyciskam różowy lukier na prostokątne ciasto. „To się wydarzyło”, piszę raz za razem, niechlujnym pismem.

Jess patrzy. Nie powstrzymuje mnie. Nie mówi nic. Daje słowom przestrzeń, której ja do tej pory im nie dawałam.

„To się wydarzyło”.

„To się wydarzyło”.

„To się wydarzyło”.

VIOLADORES

Drzwi szafki zatraskują się tak mocno, że prawie ucinają mi rękę.
– Co z tobą nie tak? – naskakuje na mnie Victoria.

Rozglądam się. Wszyscy zdążyli się ulotnić.

Szalik wokół szyi i zapach wściekłego lukru we włosach stanowią barierę między mną a moim strachem. Victoria już tylko mnie nudzi. Może spłonąć z nienawiści, jeśli chce. Mam to gdzieś. Może chęłpić się tym, że nikomu nic nie powiem.

Wzdycham ostentacyjnie.

– Czego chcesz?

– Chcę wiedzieć, co chciałaś osiągnąć ciastem PJ-a.

– O czym ty mówisz?

– O tym, co napisałaś.

Wspominam piniaty. Tort na wieczór panieński. Przyprószone srebrem ciasto z okazji przejścia na emeryturę męża Flory Merriman.

Ściska mnie w żołądku.

Ciasta dla seniorów.

W szale wściekłego lukrowania i posypkowania z Jess pomyliłam ciasta. Przykryłam niewłaściwe słowa i nie przykryłam jednego sekretu.

Mieszkańcy domu spokojnej starości dostali tort z napisem „Gratulacje, PJ”, a rodzina Delahooke z napisem... no właśnie: jakim?

– Cała rodzina PJ-a prawie to zobaczyła – cedzi Victoria.

Ale ja jej nie słyszę.

Zastanawiam się, co znaleźli, gdy otworzyli pudełko.

Może: *Tu hijo y sus amigos son todos violadores*. „Twój syn i jego przyjaciele to drapieżnicy”.

Albo trafili na ten najgorszy napis, który brzmiał prawie jak groźba: „Możecie mnie uciszyć, ale nigdy nie zmusicie mnie, żebym zapomniała”.

– Wiesz co, mam to gdzieś. – Victoria macha ręką. – Mam nadzieję, że twojemu chłopakowi spodobają się zdjęcia.

Robi mi się niedobrze.

– Co? – wykrztuszam z trudem.

Odwraca się i rzuca przez ramię:

– Powiedz mu, że może je zatrzymać.

WEŹ SERCE, ZOSTAW RESZTĘ

Gdy znajduję Locka, jest już za szkołą. Siedzi w pick-upie i ma spuszczoną głowę. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie płacze. Ale nie drży ani nie zakrywa twarzy rękami.

Patrzy w dół.

Już wiem, że pick-up jest zawalony zdjęciami z polaroida.

Widzę asfalt przesuwany się pod moimi stopami. Widzę swoją rękę sięgającą do drzwi. Są otwarte. Gramolę się do środka, chociaż nie podjęłam jeszcze decyzji.

– Lock – mówię.

Patrzy na prostokąty na kolanach. Wpatruje się w nie i ciężko oddycha.

– Powiedz, że to nieprawda. – Jego głos jest niski jak dźwięk silnika na jałowym biegu.

Na zdjęciach widać moje ręce na jego udach, moje włosy na jego jeansach, zaplątane w ząbki rozpiętego rozporka.

Widać głównie włosy, ale da się poznać, że to ja.

Nie widać rąk PJ-a ani Chrisa, śmiechu Brigid ani rozkazów Victorii.

– Lock – powtarzam jego imię.

– Powiedz mi. – Podnosi głos, a potem znów obniża. – Powiedz, że jestem w błędzie.

Na fotce, którą ogląda teraz, moje brązowe dłonie odznaczają się na tle jego jeansów. Wyglądają, jakby go przytrzymały.

To nie było tak.

Lecz ramki zdjęcia tego nie zdradzają. Ujęcie jest zbyt przybliżone. Pokazuje moje ręce na jego udach, ale nie pokazuje, że wylądowały tam po tym, jak PJ i Chris mnie na niego rzucili. Pokazuje moje rozsypane włosy, ale nie pokazuje, jak bardzo próbuję się pod nimi ukryć.

To zdjęcie pokazuje tylko wycinek historii, tak jak pokazuje tylko wycinek ciała Locka.

– To nie był mój wybór – tłumaczę zachrypniętym głosem.

– Myślisz, że tego nie wiem? – pyta. – Wiem. Wiem, że to nie był twój wybór. Wiem, że nigdy byś tego nie zrobiła.

Wybałuszam oczy. Tak bardzo przywykłam do myśli, że nikt mi nie uwierzy, że dziwię się, gdy ktoś to robi.

– Ale wiesz, co było twoim wyborem? – ciągnie. – To, że mi nie powiedziałaś. Nie powiedziałaś mi, że byłaś w tym pokoju. Nie powiedziałaś mi, co ci się przytrafiło w tym samym czasie. A już na pewno nie powiedziałaś mi, że przez nich byłem częścią twojej krzywdy, a ty częścią mojej. Nie sądziłaś, że zasłużyłem, żeby o tym wiedzieć?

Lock krzyczy i dopiero gdy otwieram usta, zdaję sobie sprawę, że jestem gotowa odpowiedzieć mu tym samym.

– Mówiłeś, że nie chcesz wiedzieć.

– Skończ – ucina szybko i stanowczo. – Po prostu skończ.

Biorę wdech, żeby nie krzyknąć ponownie. Zasluguję na całą złość, jaką do mnie czuje. Muszę ją przyjąć i wchłonąć.

Tak, powiedział mi, żebym mu nie mówiła. Ale nie wiedział, co mam do powiedzenia. Usłyszałam to, co chciałam usłyszeć. Usłyszałam pretekst, by udawać, że to nigdy się nie wydarzyło. Właśnie to doprowadziło nas tutaj. Moja gonitwa za tkwiącym w mojej głowie małym promyczkiem światła, który mówił, że jeśli będę zaklinać rzeczywistość, uda mi się ją wymazać. Podjęłam decyzję za nas oboje, a on nawet o tym nie wiedział.

– Cały ten czas. – Kręci głową opartą o kierownicę. – Cały ten czas myślałem... – Przerywa, wzdryga się, jakby chciał zmienić kierunek. – Ale nigdy nie będę dla ciebie kimś więcej niż tylko chłopakiem, który był w twoich ustach, kiedy go tam nie chciałaś.

Nie czuję własnego ciała. Rozpadam się w jednej chwili.

Lock powiedział to, czego nie dopuszczałam do siebie od miesiący.

– Byłem w tobie dwa razy – mówi ostro. W jego głosie pobrzmiewa gniew, ale pod tym gniewem kryje się poczucie krzywdy, którego nie chcę słyszeć. – A ty nawet nie raczyłaś mi powiedzieć o tym pierwszym.

Chcę mu powiedzieć, że się myli. Że tej nocy w moim łóżku za każdym razem, gdy mnie dotykał, całował i kładł rękę na moim biodrze, moje ciało znów należało do mnie.

Ale słowa zamierają mi na ustach. To takie nieistotne w porównaniu z tym, czego się dowiedział.

– Dlaczego w ogóle chciałaś znów mieć mnie w sobie? – pyta i tym razem ledwie go słyszę. – Dlaczego sobie to zrobiłaś?

Chcę wyjaśnić, że wcale sobie tego nie zrobiłam, że to było coś, czego pragnęłam, ale on ciągnie:

– I dlaczego pozwoliłaś mnie zrobić to tobie? Pomyślałaś, jak okropnie będę się z tym czuł?

Nie jestem w stanie sklecić pełnego zdania.

Lock patrzy przed siebie, choć nie ma tam nic prócz koryta rzeki po drugiej stronie ulicy.

– Wiesz, dlaczego zacząłem zabierać drzewa?

Wyobrażam sobie tajemny las, wyblakły w świetle dnia, z gałęziami pozbawionymi koloru.

– Bo tak się czułem po tamtej nocy – tłumaczy. – Jakby ktoś wyrwał mnie z korzeniami.

Jego głos cichnie w miarę mówienia.

Wiem, jak to jest, kiedy ktoś wyrywa nas z korzeni i wyrywa korzenie z nas. Wiem, że ręce PJ-a, Chrisa, Victorii i Brigid wyrwały nam serca i zostawiły resztę.

Ale wiem też, że dopóki Lock nie przypomniał mi o częściach mojego ciała, które wciąż żyją, miałam wrażenie, jakby rdzeń mojego drzewa był zbyt chory, by cokolwiek z niego wyrosło.

– Możesz mnie nienawidzić – odzywam się i dotykam krawędzi zdjęcia, które nie dotyka jego. – Powinieneś.

Jego śmiech jest pozbawiony humoru.

– Ty naprawdę nie rozumiesz. Nie nienawidzę cię. To nie była twoja wina. – Kręci głową, nie patrząc w moją stronę. – Nie obwiniam cię za nic, co wydarzyło się tamtej nocy. Tylko za to, że pozwalałaś mi podejmować decyzje, nie dzieląc się tą wiedzą, którą miałaś. W dniu, w którym cię poznałem, powinnaś była mi powiedzieć, kim jesteś i że jestem czymś, co wykorzystali przeciwko tobie.

– Nie jesteś.

– Jestem. – Znowu prawie krzyczy, ale głos mu się łamie, bo próbuje powstrzymać płacz. – Jestem czymś złym, co ci się przytrafiło, a ty czymś złym, co przytrafiło się mnie. I tylko tym zawsze będziemy. A ty mi nie powiedziałaś. Pozwoliłaś mi sądzić, że byłem w tamtym pokoju sam.

Te ostatnie słowa mnie mrozą, są jak ściana lodu między nami.

Od miesiący myślę o nim jak o kimś, kogo skrzywdziłam. Jak o kimś, kogo skrzywdziło moje niechętne ciało.

Nie sądziłam, że gdyby wiedział, miałby poczucie winy, które odzwierciedlałoby moje.

– Jak to robiłaś? – pyta. – Jakim cudem codziennie na mnie patrzyłaś i codziennie podejmowałaś decyzję, żeby mi nie mówić?

Znów wypowiadam jego imię, wiedząc, że nie przyniesie to żadnego pożytku, jeszcze zanim ostatnie dźwięki wydobędą się z moich ust.

– Proszę, przestań – mówi. – Za każdym razem, kiedy na ciebie patrzę, nienawidzę siebie za to, że skrzywdzili cię, wykorzystując mnie. I nienawidzę ciebie, bo zdecydowałaś, że nie muszę wiedzieć.

Miałam miesiące, by zrozumieć, że mnie skrzywdzono i wykorzystano do skrzywdzenia kogoś innego.

On miał tylko kilka minut, odkąd zobaczył te zdjęcia.

Wcześniej myślał, że miał na sobie szminkę Brigid albo Victorii, jakiejś dziewczyny, która miała wybór. Dziewczyny, która sama podjęła decyzję i od tamtej pory ciągle się z niego śmieje.

Nigdy nie miał powodu, by sądzić, że szminka należała do dziewczyny, która walczyła o to, by nie dotknąć go ustami.

Teraz już wie i przygniała go ciężar świadomości, że sam został skrzywdzony i wykorzystany, żeby skrzywdzić kogoś innego.

Rozpoznaję to uczucie i robi mi się niedobrze. Rozumiem wagę swojego błędu.

Powinam była mu powiedzieć, kiedy próbowałam wziąć na siebie winę u Whitcomba.

Albo kiedy pokazałam mu jarritos o smaku *tamarindo*.

Albo zanim pocałował mnie przy *pan dulce*.

Albo zanim naprawił mi łóżko, a ja go na nie wciągnęłam.

Powinam była mu powiedzieć, zanim zrobił to ktoś inny.

Zasługiwał na to, by wiedzieć, zanim musnął mnie palcami, zbliżył usta do moich, zgodził się na rozpięcie jeansów.

Ukrywając prawdę, podjęłam za niego zbyt wiele decyzji.

– Wyjdź – mówi, wciąż patrząc przed siebie.

– Lock.

– Proszę. – Nie krzyczy. Tylko gapi się przez szybę i ciągnie: – Zapomnij, jak mam na imię. Zapomnij, że mnie znasz. Ja zapomnę o tobie. Tylko w ten sposób będę mógł żyć obok ciebie. Przetrywamy siebie nawzajem, tylko jeśli zapomnimy, że kiedykolwiek się spotkaliśmy.

W jego głosie nie słyhać już gniewu. Dlatego wiem, że naprawdę tak myśli. Nawet kiedy jego wściekłość wyparuje, wciąż będzie tak myślał. Nawet jeśli mi wybaczy, nadal będzie tak myślał. I może ma rację. Może muszę zapomnieć o nim tak samo, jak on o mnie.

Więc wysiadam.

Nie odwracam się, póki nie przejdę przez ulicę.

Siedzi pochylony, ma zamknięte oczy, opiera czoło o dłonie na kierownicy. Trzęsie się, jakby miał zaraz wybuchnąć płaczem albo

zacząć krzyczeć. Odwracam wzrok, zanim zdążę się przekonać.

KRÓLOWA ŚNIEGU

Każda chwila naszego życia zostaje z nami. Żyje w nas wiecznie”.
Słowa taty nie dają mi spokoju, gdy stoję przy balustradzie nad basenami skalnymi. Morska bryza otula moją twarz.

„Każda chwila naszego życia zostaje z nami”.

Te słowa odbijały mi się echem w głowie, gdy próbowałem pomóc Lockowi.

To nie tak, że rada jest gówniana. Ale dobra rada jest dobra tylko wtedy, kiedy człowiek nie spieprza sprawy jeszcze bardziej. Opieram się o balustradę i patrzę, jak piana rozbija się o skały.

Wciąż mam w głowie głos babci, gdy myślę o *La Reina de las Nieves*. To jej akcent upiększa historię o chłopcu imieniem Kai, dziewczynce imieniem Gerda, królowej w lodowym pałacu, z płatkami śniegu tak wielkimi, że przypominają skrzydła.

Ale teraz niektóre części należą mnie. Mieszają się z moimi koszmarami jak barwnik z masą cukrową. Konie widma, które kradną myśli myśliwych. Mała rozbójniczka, jedyna brązowa postać w całej historii, chyba że policzymy renifery.

Czerwone buty, które Gerda wrzuca do rzeki, by znaleźć Kaia.

Wrzuciłabym do wody wszystko, co mam, żeby tamta noc się nie wydarzyła. Żeby Lock odzyskał siebie. Moje ulubione buty –

truskawkowe balerinki, nie do końca czerwone, ale mogłyby się nadać. Śnieżne drzewo, które Lock dla mnie ocalił. Części mnie ciężkie i luźne jak kończyny drewnianych lalek.

Kiedy Gerda ofiarowuje rzece swoje czerwone buty, zdaje się, że fale przytakują, więc wrzuca je do wody. Jednak ponieważ rzeka tak naprawdę nie zabrała Kaia, odrzuca czerwone buty z powrotem. Nie przyjmuje ich, bo nie może dotrzymać swojej części umowy. Nie może dać Gerdzie tego, o co prosi.

Czasami tracimy wszystko, co mamy. Gerda traci chłopca, którego kocha. Chłopak traci część siebie tej samej nocy, gdy ugodziło mnie szkło. I czasami wszystko, co jesteśmy skłonni oddać w zamian, wraca, jakby rzeka, ocean i cały świat mówiły, że nie mają tego, czego chcemy.

Na lekcji pani Vanderlinden Lock ani na mnie nie patrzy, ani nie unika mnie wzrokiem. Próbuję schodzić mu z oczu, ale nie mogę powstrzymać się od szukania błysku wszystkich odłamków lustra, które w nim zostawiłam.

Szept Brigid jest odległy, ale zwraca moją uwagę.

– Vic mówi, że po ósmej – mówi Brigid do dziewczyny obok. – Reszta pewnie przyjdzie o dziesiątej.

Lock się wzdryga i wiem, że słyszał.

Dla PJ-a, Chrisa, Brigid i Victorii to po prostu kolejna impreza. Ale dla Locka i dla mnie impreza w Astin będzie zawsze oznaczać tylko jedno. Tamtą noc.

Lock zaczyna szydełkować. Dłubie przy szarej włóczce.

Brigid podnosi rękę.

– Pani Vanderlinden?

Nauczycielka się odwraca, a Brigid patrzy na Locka.

– Nie mogę się skupić, kiedy on to robi.

Lock zastyga jakby przyłapany na gorącym uczynku.

– Nie rób tego – mówię pod nosem, i do Brigid, i do pani Vanderlinden.

Brigid zerka na mnie, a potem na Locka.

– To strasznie rozprasza.

Mój gniew wzbiera na sile i wrze.

Oczywiście teraz ją to rozprasza.

Lock robi to od pierwszego dnia. Siedzi prawie całkiem za nią. Brigid praktycznie go nie widzi, o ile się nie odwróci.

Na twarzy pani Vanderlinden maluje się ból.

Lock siedzi jak porażony. Wygląda tak, jak zawsze wyobrażałam sobie Kaia, nieruchomego na jeziorze zamarzniętym niczym lustro. Jest zdezorientowany, jak Kai wpatrujący się w puzzle rozłożone przez Królową Śniegu, próbujący ułożyć coś z połamanymi kawałkami.

Brigid prostuje się na krześle.

– Według regulaminu na lekcji nie dopuszcza się żadnych zachowań sprzecznych z nauką.

Ból na twarzy pani Vanderlinden zmienia się w smutek. Widzę, że stoi po stronie Locka, ale regulamin – nie.

– W porządku – mówi Lock, zwijając włóczkę. – Schowam to.

Wdzięczność pani Vanderlinden czuć w całej sali, tak samo jak jej smutek.

Zaczyna opowiadać o piśmie klinowym, kamiennych kalendarzach, szczegółach zapisywania historii w kamieniu.

Mija półtorej minuty i Lock zaczyna obgryzać palce. Wbija wzrok w podłogę, a ja się zastanawiam, czy wie, co robi. Czy wie, że wyżera sobie linie papilarne.

Nagle rozumiem.

Szydełkowanie.

Spinacze do papieru w gabinecie Whitcomba.

Mieszanie cazueli, nawet gdy nie było potrzeby.

Robił wszystko, by nie poddać się swojemu nerwowemu nawykowi: obgryzaniu rąk.

Nie mogę go tak zostawić, opuszczonego na zamrzniętym jeziorze, otoczonego niemożliwymi do ułożenia puzzlami, z potłuczonymi kawałkami szkła tak zimnymi, że mogłyby być z lodu. Jeśli nienawiść do mnie ma go uratować, chcę jej.

Ale ponieważ jestem zbyt tchórzliwa, by stawić mu czoło w szkole, szukam go później w skradzionym lesie.

Nie znajduję go.

Widzę tylko mrowie srebrnego szkła. Niebieskie pąki niepokalanka. Delikatny fiolet dzikiego bzu. Porost na jabłoni i judaszowcu. Śnieżne gwiazdy lagerstremii.

Wszystko obróciło się w szkło.

Gałęzie nadal są drewniane i brązowe, ale wszystko na nich mieni się lustrem. Różowe kielichy magnolii i niebieskie owoce śliwy wyglądają jak ścięta szarość oceanu o świcie. Lustrzane liście zwisają z gałęzi, ciężkie i ostre jak noże. Kwiaty stwardniały w kiście kryształków soli.

Stoję przed lśniącym lasem ze szkła i wreszcie rozumiem.

Lock nigdy nie pozna mnie jako *La Bruja de los Pasteles*, dziewczyny, która mówi w języku cukrowych skorupki, soli i ziół w cięście.

W jego oczach na zawsze pozostanę tym, kim jestem – dziewczyną, która w miejscu serca ma bliznę wokół odłamka szkła.

Nie jestem dziewczyną, która całuje zamrożonego chłopca, ogrzewa go łzami i rozpuszcza odłamek lustra w jego oku.

Jestem dziewczyną, która całuje go, by zapomniał, by stał się nieczuły na zimno i nie wiedział, że ono go zabija.

Nie jestem Gerdą o rumianych policzkach i ciepłych dłoniach, które odmrażają ukochanego chłopca.

Jestem Królową Śniegu o mroźnym sercu, która wciąga go do swojego lodowego pałacu.

Jestem dziewczyną, która kocha rzeczy, a potem patrzy, jak twardnieją i zastygają w rozbite szkło.

NIEŚĆ SERCE

Podejrzewam, że wyślizgnie mi się z rąk jak woda, jednak dar bisabueli zostaje. Wiem, którzy klienci powinni być zyczliwsi dla swoich serc i przypomną sobie o tym dzięki miękkim *almohadas*¹¹⁶, a którzy poczują się pokrzepieni dzięki chrupiącym *orejas*. Wiem, kto odzyska lekkość i wigor po skosztowaniu ananasa i guawy w *rieles*¹¹⁷.

Mimo to czuję się pusta jak ziemia, z której wyrwano korzenie. Odzyskałam to, co było dla mnie najważniejsze, co czyniło mnie tym, kim byłam, i co dało mi imię. Ale zapłaciłam za to cenę całego świata Locka. Po tak wielkiej zmianie serce nigdy nie zostaje w dawnym miejscu. Nie może. Musi się poruszać ze wszystkim, co otwiera się wokół niego, inaczej zabłądzi.

Lock tego nie wiedział, ale miał rację tego dnia przed moim domem. Przetrwa mnie, tylko jeśli zapomni o moim istnieniu.

Robię *cocolos de anís*¹¹⁸ i przesiąkam zapachem anyżu.

Do pastelerii wchodzi kobieta w szytej na miarę garsonce, wnosząc ze sobą zapach dobrych perfum. Napinam się.

Jeśli praca w piekarni czegoś mnie nauczyła, to tego, że bogaci ludzie chcą dostawać rzeczy za darmo. Rodziny z garażami na sześć samochodów żądają specjalnych zamówień bez dodatkowych opłat.

Biznesmeni, którzy zamawiają dwieście *conchas* na imprezę z okazji Cinco de Mayo, obrażają się, kiedy poprosimy o zapłatę kartą z góry. Kobiety, które nazywają domy z trzema sypialniami takie jak dom rodziny Jess „małymi domkami”, domagają się zwrotu, jeśli uznają, że lukier jest żonkilowy, a nie cytrynowy, tak jak sobie życzyły.

– Czy możesz coś polecić? – pyta kobieta i ściąga okulary przeciwsłoneczne.

Ma poważną minę, kości policzkowe uwydatnione makijażem i napiętymi mięśniami twarzy.

Jej zaciśnięte wargi i nieugięte spojrzenie pokazują mi jednak pustkę. Nie całą. Dar bisabueli nigdy nie pozwala mi poznać człowieka do końca. Mimo to dostrzegam tę pustkę, bo noszę w sobie podobną.

Nie wiem, co jej się stało ani jak długo nosi to w sobie, lecz kształt jest tak podobny, że czuję ból w moim rozciętym przez lustro sercu.

Sięgam po *pan dulce* w kształcie jaskółki.

Płaci bez słowa, zanim zdążę dać jej ciastko za darmo.

Chcę wiedzieć, czy to zadziała, czy coś w niej się zagoi, gdy spróbuje *pajarito*.

Ale ona już odeszła, a ja zostaję z tym, jak niewiele mogę zrobić.

[116](#) Prostokątne ciasteczka z ciasta francuskiego posypane cukrem.

[117](#) Podłużne ciastka z ciasta francuskiego z dżemem nacinane na wierzchu.

[118](#) Bułeczki z anyżem.

GRENADYNA

Godzinę po zamknięciu powinnam dekorować tort na jutro po południu. „Przyszła Panna Młoda” na wieczór panieński. Kwiaty, perełki.

Ciasto jest jednak gładkie jak wnętrze pudełka. Nie napisałam „Dobrej zabawy”. Nie napisałam nic – przynajmniej na torcie.

Popisałam metalowe blaty, drzwiczki piekarników, boki mikserów. Napisałam jedno słowo.

Jedno słowo, czerwonym lukrem, sto razy.

„Nie”.

„Nie”.

„Nie”.

Jedno słowo, którego nie mogę powiedzieć.

Klękam na podłodze, z rękawem w drżących dłoniach. Są poplamione barwnikiem, jaskrawym, czerwonym i sztucznym jak syrop truskawkowy.

Nienawidzę Locka Thomasa i jednocześnie jestem mu winna więcej, niż kiedykolwiek będę w stanie mu dać. Nienawidzę go za coś, co nie jest jego winą, bo był nieprzytomny i nie mógł powiedzieć ani „tak”, ani „nie”. Nienawidzę go za to, że jest chłopakiem, którego skrzywdziłam,

i chłopakiem, którego wykorzystano, by skrzywdzić mnie, mimo że był zbyt zamroczony, by móc decydować.

Nienawidzę go za to, że to, co mu się przytrafiło, tak ostro i wyraźnie odzwierciedla to, co przytrafiło się mnie.

Kiedy pierwszy raz spotkałam Locka Thomasa, myślałam, że jest pijany, i położyłam go w pustej sypialni, żeby odespał. Myślałam, że w pustej sypialni w tak wielkim domu nikt nie będzie mu przeszkadzał, a ja zdążę znaleźć swoje rzeczy i po niego wrócić.

Teraz osuwam się na lodówkę i szlocham w pustej kuchni, a gumowe maty wrzynają mi się w kolana. Czerwony lukier jest tak jaskrawy i gęsty, że przypomina mi grenadynę i wstęgę lepkiej bieli z tamtego wieczoru.

– Ciela?

Podrywam się i spoglądam w stronę tylnych drzwi.

Od miesiący trzymam się tylko dzięki ciszy i wodzie z cukrem. Ale na dźwięk mojego imienia z ust najlepszej przyjaciółki, mojego imienia będącego pytaniem, załamuję się. Rozpadam się na kawałki jak *pan dulce* w jej dłoniach.

ŻELAZO W SERCU GWIAZDY

Półtorej godziny później cały czerwony lukier jest posprzątany. Wycieram go drżącymi rękami, a Jess upewnia się, że nigdzie nie ma barwnika. Teraz jesteśmy w moim domu, gdzie szoruję skórę do czerwoności.

Wycieram ręce i idę do pokoju.

W drzwiach staję jak wryta.

Jess sięga do drzwi szafy.

– Co robisz? – pytam.

– Szukam drugiego koca. Dziś w nocy ma być zimno. – Dotyka gałki.

– Stój! – Prawie krzyczę. Muszę ostrzec ją przed światem srebrnego szkła. Jeśli otworzy te drzwi, może wypuścić go na zewnątrz albo – co gorsza – wpuścić go do siebie.

Opuszcza rękę i wlepia we mnie wzrok.

Padam na łóżko, gotowa zakopać się w nim, gdy tylko Jess wyjdzie z pokoju. Zakładam, że zaraz to zrobi.

Ona przysiada jednak na krawędzi materaca.

– Co się stało? – pyta.

– Coś mi się przywidziało – odpowiadam. – Wszystko w porządku. –
Próbuję się zaśmiać. – Naprawdę.

– Wiesz, że nie chodzi mi o dziś.

– Już ci mówiłam.

Gwałtownie wciąga powietrze.

– Co naprawdę się wydarzyło?

– Czemu jeszcze o to pytasz?

– Bo ktoś musi.

Nie mogę powiedzieć tego na głos. Nie teraz. Muszę to zrobić po raz pierwszy w innym momencie.

– Nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz. – Jess mówi tak cicho, że zastanawiam się, czy cała historia jest odcisnięta niewidzialnym tuszem na mojej skórze i pokaże się w odpowiedniej chwili, jak obrazy na starych zdjęciach, które dziadek wywoływał w roztworze. – Ale jeżeli chcesz, to słucham.

Te słowa sprawiają, że coś we mnie pęka, sopel się odłamuje. Wszystko na świecie przypomina mi o tym, co zrobiłam.

Lock obgryzający palce do krwi.

Tajemny las obrócony w lustrzane szkło.

– Skrzywdziłam go, rozumiesz? – wyrzucam z siebie. –
Skrzywdziłam go.

Słyszę wściekłość w swoim głosie i jestem pewna, że odstrasza
Jess.

Ale ona pyta tylko:

– Jak?

– Położyłam go w pokoju, gdzie przytrafiło mu się coś złego.

Mówię to i znów jestem w niemożliwie białym pokoju. Biała narzuta, białe zasłony, lakierowana biała komoda.

Przytrzymuję chłopaka, którego uważam za pijanego. Nie bełkocze, ale mówi tak cicho, że go nie słyszę. „Masz szczęście, że jesteś uroczy”, mówię mu i kładę go na białym łóżku.

– Ale w czym zawiniłaś? – Jess nie rozumie. – Jak go skrzywdziłaś?

Znalazłam klucze i wracam do pokoju, żeby sprawdzić, co z nim, może zawieźć go do domu albo tam, gdzie się zatrzymał. W drzwiach stoję przestraszona, bo oprócz niego w środku są: PJ, Chris, Victoria i Brigid. Stoją wokół niego, jakby rozważali, co z nim zrobić.

– Położyłam go w tym pokoju – powtarzam.

– Ale dlaczego twoim zdaniem to ty go skrzywdziłaś? – draży Jess.

Wciąż tam jestem, a to wciąż się dzieje.

Staję w drzwiach. Na twarzach PJ-a i Brigid pojawia się dezorientacja, ale w oczach Chrisa i Victorii rozbłyska światło.

„Graciela mówiła, że jest uroczy”, oznajmia Victoria.

„Jest lesbijką, pamiętasz? Podobają jej się tylko dziewczyny”, mówi PJ.

„Podobają jej się wszyscy”, poprawia Victoria.

Wspomnienie tych słów wraca jak echo i więzi mnie w tej nocy.

„Podobają jej się wszyscy”. Po miesiącach uważania mnie za lesbijkę jak Jess, zbytniego lenistwa, żeby nauczyć się innego określenia, mojego tolerowania tego słowa, które ostatecznie przez nich znienawidziłam – teraz postanowili to zignorować.

„Podobają jej się wszyscy”. Najbardziej prymitywne, najbardziej upraszczające podsumowanie tego, kim jestem i jak kocham, w najgorszym możliwym momencie.

„Założymy się, że to zrobi?”, rzuca Chris.

„Nie zrobi”, stwierdza Brigid.

„Założę się, że tak”, mówi Victoria.

„Bądźcie otwarte”. PJ zawiesza się na tym ostatnim. Przechyla butelkę piwa w kierunku Brigid i Victorii. „Może chce coś zrobić z którąś z was”.

„Fuj”, mówi Victoria.

Robię krok w tył w kierunku drzwi.

Potem znów patrzę na chłopaka – rozmazaną plamę niebieskich jeansów i flaneli w kratę na białym łóżku.

Oddycha płytko i nierówno, jakby walczył o każdy wdech.

To za mało, żebym się domyśliła. Ale łączę to z innymi rzeczami, których nie zauważyłam na początku. Z tym, że nie czułam od niego alkoholu. Z tym, że wcześniej widziałam, jak wyciąga plastikowy kubek ze stosu, nalewa dra peppera i pije, bez żadnych dodatków. Z tym że patrzył na mnie nieśmiało, ale trzeźwo w kuchni na dole.

Z tym że to raczej mało możliwe, by pół godziny po wypiciu dra peppera był totalnie nawalony.

Nie mogę go tam zostawić, pijanego i samotnego w obcym domu. Bycie pijanym i samotnym już jest wystarczająco niebezpieczne. A to jest jeszcze gorsze.

Chłopak się nie upił. Coś mu dosypali.

W tej chwili dostrzegam plamę różowej skóry wśród błękitu jeansów.

Nie jest już całkiem ubrany.

Victoria i Brigid rozpięły mu spodnie. Wiem, że to one, bo stoją obok łóżka i wiszą nad nim wyczekująco. Wyciągnęły mu penisa, który jest we wzwodzie – albo dlatego, że chłopak podniecił się we śnie, albo dlatego, że mu pomogły.

Nie mogę zostawić go na tym łóżku, z rozłożonymi rękami, włosami na twarzy i rozpiętym rozporkiem.

Nie mogę go tak zostawić, nie z PJ-em, Christem, Victorią i Brigid, którzy wyglądają, jakby chcieli rozerwać go na strzępy.

„Zrobi to”. Chris chwyta mnie za nadgarstek i prowadzi w głąb pokoju.

„Nie chcę nic robić”, mówię.

„No chodź”, PJ nie ustępuje. „To nawet nie jest seks. Dalej będziesz dziewicą”.

Przez moment, gdy sobie to przypominam, prawie żałuję, że w pokoju nie było dyrektora Whitcomba, żeby mógł zobaczyć, do czego doprowadziły wszystkie te broszury, wszystkie te wykłady o abstynencji. „To nawet nie jest seks”. Wyolbrzymiona wartość naszego dziewictwa, bezceremonialne odrzucenie wszystkiego poza klasycznym utraceniem „daru, który możemy dać tylko raz”.

Wspomnienie wciąga mnie głębiej.

„Nie jest dziewicą, idioto”, poprawia go Victoria. „Była z Jess, pamiętasz?”

Brigid prychna.

„Ma na myśli, że nie spała z facetem”.

Chłopak na łóżku się nie rusza. Nie mogę nawet zawołać po imieniu, żeby go obudzić, bo nie wiem, jak się nazywa. Nie mogę sprowadzić go

z powrotem, żeby pomógł sobie, mnie, nam obojgu. Może razem pokonalibyśmy tę czwórkę, ale sama nie mam z nimi żadnych szans.

„Nie chcę”, mówię, wyrywając się.

Victoria zamyka drzwi.

Kręcę głową, bo nie chcę przypominać sobie reszty. Jak popychają mnie na łóżko, jak się śmieją, jak namawiają mnie i mówią, że jest cnotkiem i tak naprawdę zrobię mu przysługę.

Atmosfera się zmienia, gdy stawiam opór.

Chris jako pierwszy łapie mnie za włosy. PJ wpija mi paznokcie w rękę. Popychają mnie do przodu, więc tracę równowagę, ale asekuruję się rękami.

Moje dłonie lądują na udach chłopaka.

To ich nakręca.

„Widzicie, mówiłem wam, że to zrobi”.

„Nie puszczajcie jej”, mówi Victoria.

PJ i Chris wpychają moją twarz w krocze chłopaka, ale zaciskam zęby.

„No dawaj”, rzuca PJ. „Nie będzie bolało. Wyluzuj się”.

Napierają na mnie mocniej, aż mój policzek muska jego udo. Włosy zaplatają się w ząbki rozporka. Ale nadal nie otwieram ust.

– To nie była twoja wina. – Głos Jess przenika do wspomnienia, ale mnie z niego nie wyrywa. – Cokolwiek tam się stało, to nie była twoja wina.

Chcę złapać się jej głosu, uciec z nieskończonej bieli tego pokoju i wrócić do wyrazistych barw własnej sypialni, do bezpiecznego brązu

naszych ciał, z dala od bieli czterech ciał, które mnie kontrolują, i jednego, którego nie mogę uratować.

Ale to się dzieje.

„Dosyć tego gówna. Nudzi mi się”.

Oblewa mnie wodą z lodem.

Mam przemoczoną bluzkę.

– Ciela? – mówi Jess.

Zimno uderza mnie tak mocno, że tracę oddech.

– Dlaczego myślisz, że to była twoja wina?

Wciąż tam jestem i próbuję zaciskać zęby.

– Co takiego zrobiłaś, że to była twoja wina?

Ale niemy okrzyk szoku po chluście lodowatej wody otwiera mi usta.

Wykorzystują ten moment, żeby pchnąć mnie do przodu i na niego nadzieć, a kiedy już mnie tam mają, mogą mnie przytrzymać.

We wspomnieniu moje usta się otwierają i teraz też się otwierają. Wykrzykuję odpowiedź na pytanie Jess:

– Otworzyłam usta.

Słowa się ze mnie wrywają.

Dudnią o okna i ściany mojego pokoju. Odbijają się echem w korytarzu i w całym domu. Przynoszą dźwięk tłuczonego szkła.

Kiedy są już poza mną, nic mnie nie trzyma. Jestem gwiazdą, która ma w sercu za mało żaru i żelaza, by nie zapaść się w sobie.

Poddaję się, tak jak tamtej nocy.

Poddaję się na sekundę i to wystarczy, by PJ i Chris wykorzystali moje otwarte usta.

Poddaję się i sól moich łez moczy jeansy chłopaka.

Z jego gardła wydobywają się gardłowe dźwięki. PJ i Chris ryczą z aprobatą.

„Słyszysz? Podoba mu się”.

PJ i Chris słyszą to, co chcą usłyszeć. Myślą, że jęczy, że zaaranżowali mu najlepszy mokry sen na świecie. Nie słyszą tego, co ja z bliska i na trzeźwo. Chłopak nie jęczy. On skomle.

Nie podoba mu się. Nawet we śnie nie chce mnie na sobie, tak jak ja nie chcę go w sobie. Próbuje się przebudzić i walczyć, ale to, co mu dosypali, przyszpila go do łóżka.

Jest ciężkie jak ich ręce.

Znowu skomle, a ja się krztuszę, gdy zdaję sobie sprawę, że może skomle, bo zaciskam zęby i mimowolnie go gryzę. Próbuję rozluźnić usta, żeby go nie zranić.

Próbuję się nie ruszać, dopóki to się nie skończy.

Ale PJ i Chris poruszają moją głowę, ciągną mnie za włosy, raz do góry, raz w dół. Victoria i Brigid wydają rozkazy.

„Nie może tylko leżeć”.

„Pomóżcie jej”.

„Nie wie, co zrobić z kutasem. Pomóżcie jej”.

Poddaję się.

Ciało chłopaka się poddaje.

Z drzeniem wypuszcza białą wstęgę.

Zamykam gardło.

„Daj spokój”, mówi PJ.

„Zaszłaś już tak daleko, musisz skończyć robotę”, mówi Chris.

„Połknij to”, mówi Victoria.

„Połknij to”, mówi Brigid.

„Połknij”, mówią wszyscy razem.

Liczę nitki na jeansach Locka, żeby choć na sekundę zapomnieć, że mam go w ustach.

„Połknij”, skandują cicho i nierówno jak na meczu.

PJ i Chris przytrzymują mnie w tej pozycji, aż gardło puszcza i się otwiera.

Poddaję się.

Poddaję się.

Połykam.

Połykam wstęgę bieli, której nigdy nie chciałam przyjąć, a której on nigdy nie chciał wypuścić.

Połykam tę część jego, która zostanie we mnie na zawsze, niechętna i niechciana, nawet kiedy Chris i PJ mnie puszcza.

Połykam.

Połykam.

Połykam.

Ta część nadal jest we mnie. Przylega do żołądka. Płynie w mojej krwi. Kiedy o tym pomyślę, czuję ją w ślinie jak sól i albedo z cytryny.

Mogłam dokonać wyboru, prawdziwego wyboru, by wziąć go między nogi tysiąc razy. Mogłam go trzymać, obejmować plecy rękami,

muskać szyję ustami, gdy ta jego część kończyłaby we mnie. Ale to nigdy nie zmieniłoby tej chwili w tym białym pokoju, w której się poddałam, poddałam się i połknęłam.

Mam w sobie coś, co należy do Locka. Coś, czego nie chciałam przyjmować.

On ma we mnie coś, czego nigdy nie chciał oddawać.

Wracam do tego pokoju, mojego pokoju, w którym nie ma Chrisa, Victorii, PJ-a ani Brigid, tylko jest moja najlepsza przyjaciółka, którą do tej pory okłamywałam.

Nie ma we mnie żaru. Nie ma żelaznego serca.

Od miesięcy się zastanawiam, dlaczego Chris uznał, że może złapać mnie za nadgarstek, dlaczego Victoria uznała, że może zamknąć drzwi.

Ale kiedy szlocham w swoje brązowe dłonie, które przypominają mi, że na świecie są inne kolory niż biały, dopuszczam do siebie możliwość, że PJ, Chris, Victoria i Brigid zawsze postrzegali moje ciało – jego kolor, jego krągłości – jako przyzwolenie.

Byłam Latynoską, która żyła bez strachu w miękkości własnego ciała i która w najgorszym momencie otworzyła usta.

Otworzyłam usta i skrzywdziłam chłopaka, który był zbyt nieprzytomny, by walczyć.

Kilka miesięcy później zdradziłam go, udając, że moje ciało nie jest krajobrazem, który już odwiedził, wbrew własnej i mojej woli.

Nigdy o tym nie zapomniałam. Ale żyłam w kłamstwie, bo pozwalało mi żyć.

By przetrwać tamten wieczór, musiałam umieścić nas w różnych pokojach. Musiałam zdecydować, że to nie on był w moich ustach, że to

nie moje usta były na nim. Że to nie nasi rówieśnicy zderzyli nieprzytomnego chłopaka i niechętną dziewczynę.

Że to nie była moja szminka, wciąż delikatnie barwiąca mi wargi, gdy zostawiałam go w szpitalu.

Że nie wiedziałam dokładnie, jaki odcień plamił jego skórę i rozporek jeansów.

Dlatego nie mogłam tego powiedzieć. Ani Jess. Ani tii, ani mamie. Ani nawet sobie. Bo to, co mi zrobili, zmieniło mnie nie tylko w dziewczynę, która coś przetrwała, ale też w dziewczynę, którą ktoś inny musiał przetrwać.

Westchnienie Jess jest ciche jak szelest liści muskających okna. W jej drżącym gardle wzbiera szloch.

Nie dotyka mnie.

Nie powtarza, że to nie moja wina.

Po prostu robi to, co zrobiłaby dla mnie, gdybym pozwoliła jej parę miesięcy temu.

Siedzi ze mną w ciszy, a póki jest przy mnie, nie przeżywam tego sama.

CIEŻAR NIEBA

Gdy zamykam oczy, widzę całą biel tego pokoju, srebro rozbitych lusterek albo tajemny las odarty z barw i z życia.

Ale jedna rzecz ucisza zgiełk w mojej głowie: słowa Jess, że odzyskałam magię, bo się stawiam.

Przez wiele miesięcy nienawidziłam PJ-a i Chrisa, nienawiść do Victorii i Brigid rodziła się jednak powoli, tak wolno, że nie zdawałam sobie z tego sprawy, póki jej ciężar mnie nie przygniótł.

PJ i Chris mnie przytrzymywali. Ale Victoria i Brigid miały lód i aparat. Chłód, który kazał mi otworzyć usta, i małe prostokąty, które opowiadają historię dokładnie tak, jak one tego chcą.

Nie poradzę nic na chłód, którego nie mogłam wytrzymać, na oddech, który musiałam złapać. Ale mogę poradzić coś na prostokąty, które wiszą nad nami i przygniatają nas ciężarem nieba.

– Jess? – mówię ochrypłym głosem, bo nie odzywałam się przez ostatnią godzinę.

– Tak? – pyta i patrzy mi w oczy po raz pierwszy, odkąd krzyknęłam: „Otworzyłam usta”.

Tym razem mówię coś, czego nie byłam w stanie powiedzieć od tamtego wieczoru:

– Potrzebuję pomocy.

ZAMKNIJ DRZWI

Jess parkuje na ulicy i wysiada.

– Jeśli nie spotkamy się tu za dziesięć minut, zwołam ekipę ratunkową.

Zamykam drzwi po stronie pasażera.

– Zrobię to samo, jeśli utkniesz w ogniu pytań o rozszerzony program Laurel.

Jess wchodzi na imprezę jako pierwsza. Jej niespodziewane pojawienie się wywołuje tyle okrzyków pełnych podekscytowania, jakby przemierzyła ocean, a nie poszła do college’u sztuk wyzwolonych przy autostradzie. Prawie żałuję, że mnie tam nie ma i nie mogę przewracać oczami. Jasne, wszyscy lubili Jess, kiedy uczyła się w Astin, ale tak po cichu, w niezobowiązujący sposób, tak jak lubi się mądrą dziewczynę, która pożycza notatki z lekcji albo prowadzi arkusze kalkulacyjne dla każdego kółka, do którego dołączy. Teraz, kiedy zaczęła studia wcześniej, zachowują się tak, jakby przez cały ten czas byli jej najlepszymi przyjaciółmi.

Minutę później podążam za nią. Mój kucyk i jeansy rzucają się w oczy mniej niż jej brokatowa opaska, srebrny eyeliner i kurtka ze skóry ekologicznej.

Gdy przechodzę przez próg, wita mnie typowa impreza Astin. Zapach napojów gazowanych, wódki i innych alkoholi, które dla reszty „wcale nie pachną”, a także chipsów, w większości rozsypanych na podłodze. Zgiełk głosów, to cichnący, to przybierający na sile, i muzyka, o którą toczą się kłótnie.

Szczegóły domu zwracają moją uwagę, jakby zaczepiały mi się o jeansy. Marmurowe schody w przedpokoju. Wazony poprzesuwane przez Victorię, żeby nikt ich nie stłukł. Żyrandol rzucający światło na stopnie wyłożone miękkim dywanem. Każda znajoma rzecz sprawia, że czuję dreszcze pod bluzą.

Mimo to udaje mi się dotrzeć na górę. Mijam biały pokój. Nie patrzę, bo boję się, że zobaczę siebie i Locka na łóżku, otoczonych przez cztery roześmiane cienie.

Odnajduję pokój Victorii.

W środku panuje bałagan, ale taki jak z katalogu – widzę ubrania z metkami, nowe kosmetyki w pudełkach. Staram się nie nadepnąć na swetry i spódnice na podłodze.

Gałęzie drapią szyby i fasadę domu. To ściska mnie za serce nawet bardziej niż tamten pokój. Dąb ma tak rozłożyste konary i korzenie, że nigdy nie dalibyśmy rady wykopać go sami. Lock pokochałby to drzewo i jego lustrzane odbicia nad ziemią i pod nią. Wątpię, żeby tamtego wieczoru je zauważył.

Sprawdzam każdą szufladę – w biurku, w komodzie, w szafce nocnej.

Znajduję stos zdjęć z polaroida z tyłu szuflady toaletki, pod chaosem pędzli, różów i palet cieni do powiek.

Ujęcia są w większości przybliżone i tak złe jak te w aucie Locka. Pokazują moje dłonie na jego udach. Pokazują moje usta na nim, ale nie

pokazują przytrzymujących mnie rąk.

Odnajduję jednak kilka takich, które na krawędziach sugerują resztę historii, udział Victorii i Brigid przekazujących sobie aparat. Na jednym widać kosmyk jasnych włosów Victorii, co dwa tygodnie odświeżanych u fryzjera. Na kolejnym – platynowy kucyk Brigid. Kąciki ich uśmiechów. Błękitny lakier do paznokci Brigid i jej blade palce. Ręce PJ-a na moich brązowych ramionach. Sygnet Chrisa wplątany w moje ciemne włosy.

Nie dali tych zdjęć Lockowi, bo są najbardziej obciążające. Są też moją ostatnią szansą, by się postawić, jedyną rzeczą, która może powstrzymać tę czwórkę przed zostawianiem prezerwatyw za wycieraczkami pick-upa Locka albo oblewaniem mnie wodą z lodem na korytarzu.

Napinam się, gdy wychodzę z pokoju Victorii i mijam biały pokój, który zawsze będzie potem i solą, zinnem i kolorem mojej szminki. Nawet kątem oka widzę, że tam jesteśmy – te części nas, które tam zostały i których nigdy do końca nie odzyskamy.

Nie mogę zmienić tego, co się stało. Ale mogę dopilnować, by dziś to się nie powtórzyło.

Biorę głęboki wdech, jakbym chciała zanurkować. Wkradam się do pokoju, nie włączam światła i zamykam za sobą drzwi.

Trzask wciąga mnie z powrotem, przenosi do chwili, gdy wszyscy wyszli po tym, jak z nami skończyli.

Pokój wygląda prawie tak samo. Wystylizowane stosy książek o fotografii, pachnąca nowością pościel, wszystko to, co jasno pokazuje, że to pokój gościnny. To podobieństwo sprawia, że słyszę głosy.

Ich śmiech na odchodne i słowa PJ-a:

„Możesz pójść na całość, jeśli masz ochotę”.

A potem trzask drzwi.

Na początku się nie ruszałam. Wstrzymywałam oddech z policzkiem tam, gdzie go zostawili, na udzie Locka. Paliło mnie w gardle. Moje łyży zostawiały mokre plamy na jego jeansach.

Czuję ucisk w gardle.

Dłoń na gałce i głos najlepszej przyjaciółki na dole sprowadzają mnie do rzeczywistości.

Naciskam okrągły przycisk na środku i zamykam drzwi od wewnątrz. Tamta sytuacja się dziś nie powtórzy.

Otwieram okno, odsuwam moskitierę i skaczę na najbliższą gałąź wielkiego dębu. Kontury jego konarów prowadzą mnie w dół i mogłabym przysiąc, że wiatr oddycha z ulgą.

SERCE SIĘ WYSYPUJE

W yjmuję z pieca dwie okrągłe połówki ciasta.

Wszystko wysypało się ze mnie jak z piniaty. Wysypało się po trochu, do tii, do Jess, do Locka. Chcę upiec ciasto, z którego wysypie się naraz całe serce.

Czasami rozumiem coś dopiero wtedy, gdy zamienię to w cukier.

W kuchni pachnie cytrusami i sosną, jakby niebieskim majerankiem, który ciocia dodaje do ulubionego chleba tío. Kiedy połówki ciasta ostygają, wydrążam je, a w powietrzu unosi się słodycz anyżu i cynamonu.

Wypełniam piniatę wszystkimi kolorami cukierków, jakie mamy. Sklejam połówki lukrem i posypuję wszystko posypką, którą jego siostra kocha, a którą Jess i ja przykryłyśmy cały nasz gniew. Kiedy wsuwam nóż do środka, słyszę grzechotanie jaskrawych cukierków.

„Tak się czułam”, woła dodana do ciasta wanilia.

„Tak wyglądało życie z tą nocą”, mamrocze cynamon, ciepły i ciemny jak kora w tajemnym lesie.

„Tak szybko się rozsypałam”, szepczą kolory w środku.

Myślałam, że odzyskałam magię bisabueli, bo spłacałam dług. Sądziłam, że muszę naprawić sytuację z chłopakiem o ciele

skrzywdzonym przez moje ciało, chłopakiem z mojej winy ugodzonym przez lustrzane szkło.

Przez cały ten czas nie wiedziałam, że nie straciłam magii z powodu tego, co zrobiłam Lockowi, ani nawet tego, że moje usta zostały wykorzystane przeciwko niemu. Straciłam ją, ponieważ kilka miesięcy temu jedna noc mnie otworzyła i moje serce wysypało się jak cukierki z *piñata de estrella*.

Zrozumienie tego zajęło mi parę miesięcy, ale teraz płonie w moim sercu jak rozżarzony popiół.

Nie chcę, by Lock tak długo żył bez tej wiedzy. Nie chcę, by się zastanawiał, czemu jego serce się otworzyło i wysypało.

Chowam ciasto do różowego pudełka.

Zostawiam je pod drzwiami mieszkania Locka. Pukam, ale uciekam szybko, zanim ktoś zdąży otworzyć drzwi.

DZIEWCZYNY W ŁADNYCH SUKIENKACH

„Wspaniale się tu bawimy.

Powiedziałabym, że żałujemy, że Cię tu nie ma,

ale naprawdę nie żałujemy.

Kocham Cię, *mija*”.

Na odwrocie pocztówki widnieją zielone, różowe i żółte balony na tle ciemnoniebieskiego nieba. Wsuwam ją między szkło a ramę w rogu lustra.

Odnajduję mój żółty fartuch, ten, który zakładam co roku z okazji *La Noche de las Golondrinas*. Co roku sprzedawałam *trenza danesa*¹¹⁹ razem z tią, jeszcze zanim zatrudniła mnie do pracy w pastelerii.

La Fiesta de las Golondrinas to wielkie, huczne święto jaskółek każdej wiosny, ale dzisiejszy wieczór jest cichy i tajemniczy. Tego wieczoru szukamy gniazd w zagłębieniach skał lub pod okapami i belkami. Obserwujemy spody zardzewiałych mostów kolejowych i wyglądamy trzepotania skrzydeł.

PJ, Chris, Victoria, Brigid i wszystkie zdjęcia z polaroida na tym świecie nie mogą mnie powstrzymać. Zwłaszcza teraz, kiedy wszystkie

zdjęcia na tym świecie, jakie mają dla mnie znaczenie, są w mojej szafie, strzeżone przez odłamki szkła.

Kiedy sięgam po bluzę, moja ręka trafia na tiul i stare koronki.

To sukienka lśniąca antycznym blaskiem księżycy, którą mama kupiła mi w second handzie. Wisi na oparciu krzesła i do mnie mruga.

Kiedy odbija światło lampy, wygląda jak budząca się gwiazda.

Mama pragnie, bym uwierzyła, że mogę być taką dziewczyną, jaką chcę. Nawet taką, która ma śmiech lekki jak musujące bąbelki. Nawet taką, która nosi ładne sukienki, by szukać jaskółek w nocy. Nawet taką, którą tía przekonuje do wkładania *pan dulce* pod poduszkę, by śniła o przyszłej miłości.

Może nie mam już lalek mojej babci, jej materiałowego dowodu na to, że mogłabym być jedną z tych dziewczyn.

Ale mam swoje własne ciało.

Wkładam sukienkę tylko po to, żeby zobaczyć, jak w niej wyglądam.

Puszę spódnice.

Tiul otula moje uda. Miejscami jest lekko postrzępiony, lecz dzięki temu czuję, jakbym miała na sobie suknię z pajęczyny.

Wyszłam z wprawy, więc idzie mi powoli, ale maluję powieki złotem. Odcień mojej skóry zamienia złoto w miedź. Dodaję grafitowy eyeliner, który podkreśla srebrne nitki w sukience.

Upinam włosy w luźny kok, dzięki któremu nie będą opadać na twarz i ramiona.

Wkładam truskawkowe trampki. Nawet gdybym miała idealnie czerwone buty Gerdy, nie wytrzymałyby całej nocy serwowania *pan fino*.

Przed wyjściem sięgam do lampki i zauważam się w lustrze.

Mam skórę tego samego koloru, co mama i tía, a ciemne oczy – po tacie. Z rumieńcem dzikiej róży na policzkach prawie mogłabym być jedną z tych dziewczyn, które dziś wieczorem pojawią się w nowych kreacjach. Mogłabym być jedną z tych dziewczyn, które wierzą, że jeśli zjedzą połówkę *novia* albo *beso*, a drugą włożą pod poduszkę, przyśni im się ich prawdziwa miłość.

Prawie.

Zanim zgaszę lampkę, łapię pierwszą lepszą czerwoną szminkę, jaką znajduję w szufladzie z kosmetykami.

Drżącymi palcami zdejmuję nakrętkę ze złotej tubki. Nie nosiłam czerwonej szminki, odkąd zostawiłam jej ślady na Locku. Nigdy nie zapomnę, jak mój odcień wyglądał na jego nagiej skórze.

Nawet z drżącymi palcami mogę jednak zdecydować, że czerwona szminka nie będzie kolejną rzeczą, którą PJ, Chris, Victoria i Brigid mi zabiorą.

Nakładam jedną warstwę, odciskam w chusteczkę, a potem nakładam kolejną. Ponieważ będę miała ręce pełne roboty, wsuwam tubkę między miseczki stanika, gdzie materiał i fiszbiny przytrzymają ją na miejscu.

„Poważnie?”, pyta Jess za każdym razem, gdy to robię. „Wyciągniesz ją ze stanika *como una espada*¹²⁰?”

„No co?”, odpowiadam wtedy. „Dzięki temu mam ją zawsze pod ręką. A poza tym jest ciepła i łatwiej się ją nakłada”.

„To genialne. Ohydne, ale genialne”.

Gaszę lampkę.

Może i tamtego wieczoru PJ i Chris położyli na mnie ręce i przytrzymali tam, gdzie chcieli. Może i Victoria i Brigid oblały mnie

wodą z lodem i zmusiły, bym otworzyła usta.

Ale brąz mojej skóry i czerwień moich warg wciąż należą do mnie.

[119](#) Jabłkowy warkocz z ciasta drożdżowego.

[120](#) Jak miecz.

NOCNE JASKÓŁKI

Kiedy docieram nad stare mosty, turyści i miejscowi tłoczą się przy zachodnim skraju rezerwatu przyrody. Wypatrują jaskółek wylatujących z błotnych gniazd.

– *Tan linda*¹²¹. – Ciocia łapie mnie za rękę. – Przez chwilę myślałam, że jesteś jedną z nich. – Kiwa głową na córki turystów wystrojone w miętowe tiule, błękitne falbanki i cytrynowe koronki. Sukienki wyglądają na wzięte ze strychów albo kupione w modnych sklepach vintage.

Widzę dwie znajome postacie. Jess we fiołkowej sukience koktajlowej, która należała do jej babki ciotecznej, śmieje się z Liz ubraną w brzoskwiniową organzę, na której tle jej oczy są aż niepokojąco niebieskie.

W tej chwili są tak wpatrzone w siebie nawzajem, że wierzą w legendy o nocnych jaskółkach i szczęśliwych sercach.

– Drogie panie, pora na waszą porcję kofeiny. – Pilar podaje każdej z nas papierowy kubek z kawą. – Mamy tłum.

Jess na jakiś czas żegna się z Liz. Są tak blisko, że prawie stykają się rzesami.

Wręczam jej fartuch i patrzę na jej strój.

– Zawsze wiedziałam, że masz duszę romantyczki.

– Do niczego się nie przyznaję – rzuca Jess.

Tía wraca do pudełek w bagażniku auta. Srebrne nitki w jej włosach świecą, gdy rozkłada słodczyce dla rodzin i dziewczynek w sukienkach pełnych nadziei. Wydaje turystom resztę, a ja podaję wypieki na brązowych serwetkach.

Nie jest zaskoczeniem, że najlepiej sprzedają się *pajaritos* w kształcie jaskółek. W takie wieczory jak ten dodajemy do ciasta trochę więcej cukru i lawendy.

Kiedy ktoś się waha, szepczę do tii i znów jestem *La Bruja de los Pasteles* pełną gębą. *Polvorones tricolor* dla grupy małych dzieci. *Peinetas* dla dwóch sióstr, których serca zostały złamane miesiąc po sobie. *Pan nevado*¹²² dla opornej duszy. Podwójne *pajaritos* dla nieśmiało zakochanej pary, bo skrzydła jaskółek się stykają.

Ta szczypta cukrowej magii, którą straciłam, zawsze należała bardziej do mojej rodziny niż do mnie. Stąd wiem, że należy dać *elotes*, bułeczki w kształcie kukurydzy, rodzinie, która wita nowe dziecko. *Las magdalenas de maíz*¹²³ – kobiecie kończącej chemioterapię, bo potrzebuje czegoś delikatnego, by tego nie zwrócić, ale wyrazistego, by sobie przypomnieć, że wciąż ma smak. *Cuernitos de crema*¹²⁴ – dla pary, która odnalazła się czterdzieści lat po tym, jak poznała się w liceum.

Podchodzą do nas doktor Emmott i jego mąż.

– Co polecasz? – pyta doktor Emmott.

Podaję im słodkie wachlarze *abanicos* z pikantną czekoladą na koniuszkach.

– Zjedzcie to – rzucam, bezczelna i pewna siebie – a będziecie zakochani na zawsze.

– To najlepsza okazja w mieście – ocenia doktor Emmott i płaci tii.

Jego mąż uśmiecha się tak nieśmiało, jakby byli na pierwszej randce.

Pilar jako pierwsza wyczuwa naszych następnych klientów.

Przede mną pojawiają się trzy twarze.

Violet macha do mnie entuzjastycznie, jak to czterolatki, kiedy uznają, że warto poświęcić komuś uwagę.

– Locka tu nie ma – oznajmia, jakbym pytała.

– Ciela to widzi, Vi – mówi Nate i posyła mi skruszone spojrzenie.

Ciocia zagaduje ich o *las golondrinas*.

– Słyszeliście o nocnych jaskółkach? – zaczyna i czaruje Violet słowami.

Lustruję mamę i ojczyrna Locka jak pozostałych klientów i zastanawiam się, czy potrzebują *polvorones*, czy *palmeras*.

Nie. *Roles de canela*. To samo dla obojga. Wiem po tym, jak wdychają cynamon.

Sięgam po *galleta de gragea* z taką ilością posypki, że ledwie widać ciasteczko pod spodem, i wręczam je Violet.

– Dla pani to, co zwykle. – Siłę się na lekki ton.

Pilar się do mnie nachyla.

– ¿*Estás bien?*¹²⁵ – pyta cicho, żeby rodzina Locka nie słyszała.

– Tak – dukam przez ściśnięte gardło. – Oczywiście.

Księżyc nade mną jest jednak twardy i srebrny niczym lustro. Gwiazdy to tylko drobinki potłuczonego szkła rozsypane na ciemnym aksamicie nieba.

– *Mija*, może się przewietrzysz? – sugeruje Pilar.

– Jesteśmy na zewnątrz.

Patrzy na mnie wymownie. Daje mi furtkę, a ja wiem, że muszę skorzystać. Powinnam odetchnąć.

– Poprawię szminkę.

– Koniecznie – rzuca Jess, wydając resztę. – Wygląda okropnie. – Naśladuje wytworny akcent mojej tii.

– Strasznie – wtóruje jej Pilar ze swoją interpretacją.

– Tragicznie – potwierdza tía, wznosząc się na nowe wyżyny. – Kto w ogóle by na ciebie spojrzał?

– A idźcie, wy wiedźmy. – Zdejmuję rękawiczki.

Jednak kiedy odchodzę, one nadal się śmieją, a ja z nimi.

Najbliższe toalety w rezerwacie są na tyle daleko, że zanim wrócę, paniczne trzepotanie w mojej piersi ustąpi. Musi.

Ręka łapie mnie za łokieć.

Patrzę w dół.

To nie Jess. Ani ciocia. Ani Pilar.

Ręka jest biała, nie brązowa.

To mama Locka.

– Daj mu czas – radzi. Twarz ma łagodną, smutną. – I sobie też.

Pragnę rozgrzeszenia, które mi oferuje. Chcę zapaść w nie jak w sen.

Ale potem sobie coś przypominam. Prawdopodobnie wie tylko tyle, że jej syn coś przeżył i może że ja też coś przeżyłam, ale nie wie, że przeżyliśmy to samo. Nie wie, że ta sama chwila zalewa nas każdej nocy jak przyływ i wciąga pod wodę.

Jakby próbując przywołać słowa w zapomnianym języku, głowią się, jakie *pan dulce* mogłabym podarować Lockowi, by powiedzieć mu to

wszystko, czego nigdy mu nie powiedziałam.

Z pomocą *puerquito* powiedziałabym mu, że zachwyciły mnie opowieści jego mamy o pluszowej śwince, którą w dzieciństwie wszędzie ze sobą nosił i której przez to wytarł uszy.

Z pomocą *concha* o skorupce tak turkusowej jak szalik, który od niego dostałam, powiedziałabym mu, że jego pocałunki były dowodem na to, że mam jeszcze trochę serca i tamten wieczór nie wyrwał mi go w całości.

Z pomocą *pan de muerto*¹²⁶ posypanego płatkami nagietka powiedziałabym mu, że wierzę, iż to, co martwe w nas, może zostać przywrócone do życia.

Ale czasami prawdy nie da się dodać do ciasta, mieszać z cukrem waniliowym ani posypać jak cukrowych perełek. Czasami prawda jest ciężka jak szkło.

¹²¹ Jak uroczo.

¹²² Słodkie bułeczki drożdżowe.

¹²³ Babeczki kukurydziane.

¹²⁴ Rożki z kremem.

¹²⁵ Wszystko w porządku?

¹²⁶ Drożdżowy wypiek przygotowywany z okazji *Día de Muertos* (Dnia Zmarłych).

WSZYSTKO, CO UWAŻASZ ZA SWOJE

W ciemności za toaletami dotykam spódnicy i czuję znoszoną koronkę i tiul. Przypominają mi, że nie jestem pustą wersją *La Bruja de los Pasteles*, dziewczyną z rozbitym sercem ze szkła. Jestem jedną z dziewczyn w puchatej sukience, gotową schować *pan dulce* pod poduszką.

– Coś ty zrobiła? – cedzi mi Brigid do ucha.

Wpatruję się w mroczne wzgórza rezerwatu, ciemnozielone i niebieskie, nocą niemal fioletowe. Nie patrzę na Brigid Marchand.

Dając Lockowi tamte zdjęcia, PJ, Chris, Victoria i Brigid wyciągnęli asa z rękawa. Nie mogą już wykorzystać go przeciw mnie.

– Byłaś u niej w domu? – pyta Brigid. Jest oburzona, ale pod tym oburzeniem zgrzyta coś jeszcze, jakby nie sądziła, że dziewczyny takie jak ja potrafią się odgryźć.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odpowiadam.

Słowa zamierają jej na ustach.

Brigid Marchand nosi jeansy, które kosztują więcej, niż zarabiam w piekarni przez miesiąc. Dziewczyny takie jak Brigid nie są na tyle zdesperowane, by robić to, co dziewczyny w ładnych sukienkach: prosić

tię o *pan dulce*, dzięki któremu przyśnią im się przyszli *amantes*. Dziewczyny takie jak Brigid uważają tamte za zbyt naiwne i zbyt żałosne, by w ogóle się nimi przejmować.

Patrzę na dziewczynę, która wykonuje wszystkie rozkazy Victorii. Chcę ją zapytać, czy warto to robić tylko po to, żeby zająć miejsce Victorii, gdy ta skończy szkołę.

Ale mówię co innego:

– Posłuchaj mnie uważnie. – Mój głos jest bezbarwny jak szkło. – Nie mówię, że ukradłam te zdjęcia. Ale gdybym ukradła, powiedziałabym ci, że jeśli jeszcze raz zbliżysz się do Locka albo do mnie, dopilnuję, żeby wszyscy zobaczyli te, na których najbardziej cię widać. Twoja matka. Twój ojciec. Twój trener. Twój doradca. Ojciec Byrne. Ma ci napisać rekomendację, prawda?

Zaciska zęby.

Może i zdjęcia pokazują wystarczająco dużo mnie, by zniszczyć wszystko, co kocham. Ale pokazują też wystarczająco dużo Brigid i jej przyjaciół, by odebrać im rzeczy, które według nich im się należą. A grożenie takim ludziom, że im się to odbierze, to dla nich największa zniewaga.

Na jej twarzy maluje się zrozumienie.

Nienawidzili mnie za mój opór, bo uznali, że ich obrażam. Nie przyszło im do głowy, że mogłabym – potrafiłabym – zniszczyć ich świat.

Gdy ręka chwyta mnie za ramię, w pierwszej chwili myślę, że to Brigid. Chce mi wpić paznokcie w skórę, pociągnąć mnie za włosy, ze złością zmiąć mnie jak brązową serwetkę, w które zawijamy *galletas*.

Może mnie uderzyć. Może zostawić na moim policzku wzór swojej różowo-żółtej bransoletki. Może nabić mi siniaka albo rozciąć wargę,

a ja uniosę podbródek i będzie wiedziała, że nie żartuję.

Ale to nie ręka Brigid. Ona nadal stoi przede mną.

Potem pojawia się kolejna. I jeszcze jedna. Wyłaniają się z ciemności, jakby zrodzone z mroku.

Dopiero gdy czuję zapach wody po goleniu, uświadamiam sobie, że PJ i Chris tu są. Powinnam była wiedzieć, że czekali tu przez cały czas.

MAŁE BIAŁE POKOJE

Wbijam łokieć w żebra. Nie jestem pewna, czy trafiam Chrisa, czy PJ-a.

Ktokolwiek został trafiony, przeklina i ściska mnie jeszcze mocniej.

Kopię tego drugiego. To go nie rusza.

Ręka chwyta mnie za bok tak mocno, że pozbawia mnie tchu. Krzyk zamiera mi na ustach.

Walczę.

Wygrywają.

Wygrywają tak, jak kilka miesięcy temu.

Opieram się i wyrywam ze strachem, że pociągną mnie w głąb rezerwatu, gdzie nikt mnie nie usłyszy.

Znów próbuję krzyczeć.

Ręka zatyka mi usta.

Gryzę ją.

Właściciel znów przeklina, ale jej nie zabiera.

Widocznie ktoś zauważył nocną jaskółkę, bo odległy tłum huczy z radości. Zgiełk tłumi moje i tak marne krzyki.

Ciągną mnie do przodu.

Walczę. Wykręcam całe ciało, żeby ich z siebie zrzucić.

Nadal wygrywają.

Znowu.

Jesteśmy głęboko w ciemności, gdy widzę, dokąd mnie prowadzą.

To mały biały pokój z bladą tapicerką i sztucznym światłem. Tak samo czysty i nieskazitelny jak pokój w domu Victorii.

Ten biały pokój nie może tu być.

Zaciskam powieki, by obraz się rozplynął.

Lecz gdy je otwieram, wszystko pozostaje bez zmian.

Znowu zamykam oczy.

To nie pomaga. Pokój świeci jak żarówka w ciemnym pomieszczeniu.

Jak go tu sprowadzili?

Wrzucają mnie do białego światła.

Upadam na tylne siedzenie i wtedy rozumiem.

Victoria już siedzi na miejscu kierowcy. Odwraca się. Kładzie zadbaną dłoń na zagłówku.

Chris wskakuje na miejsce pasażera z przodu.

PJ gramoli się do tyłu razem z Brigid.

Razem ze mną.

Drzwi się zamykają.

Słychać szcęk zamka. Są zablokowane.

Walę w szyby, ale tylko się męczę, wysuszam język i gardło.

– Co ty zrobiłaś? – pyta Victoria, bardziej poirytowana niż spanikowana.

– Gdzie je schowałaś? – nalega Brigid.

Wszyscy do mnie mówią.

„Co ty zrobiłaś?”

„Gdzie one są?”

„Gdzie je schowałaś?”

„Gdzie one są?”

„Gdzie one są?”

Nie mówią.

Wrzeszczą.

Ściska mnie w gardle.

Brigid wpija mi paznokcie w ramiona.

Znowu jestem w tamtym pokoju.

Victoria wyciąga rękę i chwyta mnie za włosy.

To Chris i PJ wciągnęli mnie do auta Victorii. Ale teraz tylko patrzą, straszą siłą. Wyglądają bezytyecznie i bezrozumnie, jakby dopiero zdawali sobie sprawę, że stałam się bałaganem, który całą czwórka muszą posprzątać.

Victoria wczepia mi palce we włosy.

– Gdzie one są?

Wiotczeję.

Jestem sypka jak różowy cukier i mąka. Moje ciało kruszy się jak ciasto *pan dulce*. Skóra rozpuszcza się jak cukrowa skorupka. Jestem czymś do szturchania, rozrywania na kawałki, konsumowania.

Victoria szarpie mnie za włosy.

– Co z nimi zrobiłaś?

Coś dźga mnie w mostek.

Przez chwilę się zastanawiam, czy to PJ wtyka mi palce do stanika. Ale on nadal obserwuje i strzela oczami po oknach.

Victoria puszcza.

Głowa opada mi na klatkę piersiową. Pulsuje z bólu, za ciężka, by ją podnieść, więc spoglądam w dekolt sukienki.

Spomiędzy piersi mruga błysk metalu i papieru.

Złota tubka szminki, czerwona naklejka.

Muszę zamrużyć, zwłaszcza że Brigid krzyczy mi do ucha. Ale białe litery na czerwonej etykiecie się wyostrzają.

Ten sam odcień, który miałam na sobie tamtej nocy.

Ten sam odcień znalazł się na ciele Locka, odbity przez moje niechętnie usta. To kolor wspólny dla tych dwóch skrzywdzonych części naszych ciał.

Ten kolor, głęboki szkarłat, zlewa się z czerwonym lukrem, który moje ręce rozniosły po całej kuchni w piekarni.

Moje ręce za pomocą cukru powiedziały to, czego nie potrafiłam powiedzieć na głos.

Nadal nie mogę tego powiedzieć na głos. Język mam za suchy, usta – wciąż zaciśnięte.

Ale już kiedyś powiedziałam to w tym kolorze. Mogę to zrobić ponownie.

Słowa mamy – „Czerwona szminka to odpowiedź na każde pytanie” – pozwalają mi sięgnąć do stanika. Gest jest tak nieznaczny, że ich

czwórka na początku go nie zauważa. Podejrzewają, że rzucę się na drzwi albo zamek.

Ruchem tak szybkim, jakbym wycinała cukrową skorupkę *concha*, wyciągam szminkę, zostawiając nakrętkę między miseczkami. *Como una espada*, jak miecz, tak jak powiedziała Jess.

Wykręcam szminkę.

Piszę „NIE” na idealnej bieli wnętrza auta Victorii.

Przyciskam mocno, miażdżąc zaokrąglony czubek szminki. Napis rozmazuje się na tapicerce.

Victoria krzyczy, bardziej z oburzenia niż z przerażenia.

Piszę to jeszcze raz, na innej plamie nieskazitelnej bieli.

„NIE” w kolorze Forest Rose #72.

Brigid się odsuwa.

– Co to ma być? – piszczy Victoria. – Co ona robi?

Piszę to jeszcze raz, tym razem na oparciu fotela pasażera.

Chris bez przerwy przeklina. PJ się kurczy, jakby ta czerwień to była moja krew miesięczkowa.

Brigid mnie chwyta, ale ściskam szminkę w dłoni tak mocno, że jeszcze się nie zorientowała, czym maluję.

Piszę „NIE” na siedzeniu, a kolor plami mi ręce.

Bazgrzę „NIE” na pasach bezpieczeństwa.

Wciąż mnie przytrzymują. Popychają mnie tak, że brudzę całą sukienkę.

Nie przestaję. Szumi mi w głowie od tego słowa, koloru, uczucia, że maluję jednocześnie drogi samochód Victorii i ten biały pokój, że

gdybym poszła do jej domu, znalazłabym każde „NIE” odbite na białej narzucie i zasłonach.

Odłamek lustra w moim sercu po raz pierwszy się nie wrzyna, ale czyni mnie twardą i nieustraszoną.

„NIE”. Piszę to dla siebie, bo nie mogę powiedzieć tego na głos. Piszę to dla chłopaka, który leży na łóżku, wciągnięty zbyt głęboko, żeby to powiedzieć.

– Co ty, głupia jesteś? – krzyczy Victoria. – Zabierzcie ją stąd.

Brigid otwiera drzwi.

PJ wypycha mnie na zewnątrz. Szminka jest zużyta, ale wciąż ściskam ją w dłoni.

Trawa łagodzi mój upadek.

Nie puszczają mnie tak po prostu.

Ruszają w pogoń.

Spoglądam w dal, w stronę tłumu, a potem w gęstą ciemność rezerwatu.

Tam, gdzie światło, są Jess, tía, Pilar, doktor Emmott i rodzina Locka. Ludzie, których znam.

Jednak żeby tam dotrzeć, musiałabym prześcignąć PJ-a, Chrisa, Victorię i Brigid. W świetle zobaczą, dokąd biegnę. Dorwą mnie, zanim dobieję do reszty.

Dlatego zrywam się i pędzę w ciemność, do zakątka rezerwatu, który znam lepiej niż którekolwiek z nich.

SEZON LUSTER

Gdy docieram do skradzionego lasu, zamiast płuc mam suchy lód. Żar zderza się z zimnym powietrzem.

Drzewa wciąż lśnią pod szklaną powłoką. Gałęzie wyginają się razem z nią.

Przybiegłam tu właśnie z myślą o szkłe. Próbuję odłamać ostrze z magnolii.

Nie puszcza. Srebrny liść nie chce się oderwać od gałęzi.

Próbuję z innym. Usiłuję go wykręcić.

Zostaje na miejscu. Tylko pobrudziłam go szminką – Forest Rose #72 barwi szkło.

Uderzam w nie.

Odpada kawałek nie większy niż kostka cukru.

Uderzam bokiem pięści w kolejny liść. Ledwie się rusza.

Płaczę, ale duszę to w gardle, bo hałas pomoże im mnie znaleźć.

Próbuję dalej. Walę bokiem pięści w lustrzany liść jeszcze raz i jeszcze raz. Krawędź rani mi dłoń, ale nie przestaję. Walczę, aż puszcza, a ja trzymam nóż z poszczerbionego szkła. Jeśli mnie tu znajdą, jeśli będę musiała go użyć, mogę to zrobić.

Odwracam się i w ciemności dostrzegam sylwetkę.

– Ciela?

Niemal wyrywa mi się krzyk zaskoczenia, trzymam srebrny odłamek w gotowości. Jednak dźwięk w moim gardle zamiera, gdy rozpoznaję postać. Potem płaczę, po części z ulgi, że to nie PJ ani Chris, a po części dlatego, że Lock nie może tu być, nie teraz.

Pokazuje mi dłonie, ręce i ubranie – wszystko brudne, jakby sadził nowe drzewo.

– Co się stało? – Patrzy na kawałek szkła, który nadal trzymam między nami.

Jego głos sprawia, że lód i żar z płuc przebiegają mi po plecach.

Opuszczam odłamek. Muszę walczyć o każdy oddech, ale udaje mi się wychrypieć:

– Nie mogłam tego powiedzieć.

– Co się stało? – ponawia pytanie, zniecierpliwiony i spanikowany.

– Nie mogłam ci powiedzieć... – Płaczę między słowami. – Bo nie mogłam powiedzieć tego na głos.

Czerwone plamy na mojej sukience wywołują u niego przerażenie. Ale ze mnie już wylewa się potok słów.

– Ty nigdy mnie nie krzywdziłeś – mówię. – W każdym koszmarze, który miałam, to nie ty mnie krzywdziłeś. To ty byłeś krzywdzony i ja byłam krzywdzona. Budziłam się ze świadomością, że to się wydarzyło i nie mogło się nie wydarzyć. Dlatego nie mogłam ci powiedzieć. Przepraszam. Powinnam była ci powiedzieć. Myślałam, że będzie lepiej, jeśli tego nie zrobię, ale się pomyliłam.

Tak samo jak pomyliłam się tamtej nocy, kiedy myślałam, że jest pijany, kiedy położyłam go w tamtym pokoju, kiedy wróciłam na górę.

Nie.

Prędko odrzucam tę myśl.

Nie.

Zatrzymuję się. Zawracam ze ścieżki, którą podążałam za każdym razem, gdy myślałam o tamtej nocy. Zawracam ze ścieżki, na której szukałam każdego błędu, każdej drobnej rzeczy mogącej ich sprowokować, dać im przyzwolenie albo nas przed nimi otworzyć. Ale te rzeczy nigdy nie zależały ode mnie. Uznali, że mają przyzwolenie, bo tak chcieli. Nie otworzyliśmy się przed nimi. Otworzyli nas siłą.

Jeśli nie oddzielę tego, co naprawdę zrobiłam źle, od tego, co nie było moją winą, nigdy nie będę mogła za nic przeprosić. Przyjęcie na siebie każdej winy jest tak samo bezsensowne jak całkowite jej wyparcie. Jeżeli nie chcę być drugą stroną medalu dla ludzi takich jak PJ, Chris, Victoria i Brigid, muszę przestać. Muszę przeprosić za zło, które wyrządziłam, ale nie za zło, które wyrządzono mnie.

– Przepraszam. – Daję Lockowi proste, nieupiększone słowa, które byłam mu winna przez cały ten czas. – Zasłużyłeś na to, żeby wiedzieć, kim jestem, zanim cokolwiek ze mną zrobiłeś. I przepraszam, że ci nie powiedziałam.

– Dlaczego tego nie zrobiłaś?

Ściska mnie w gardle.

– Bo chciałam być dla ciebie kimś.

Mruga.

– Co?

– Po tamtym wieczorze myślałam o tobie codziennie – dukam między oddechami. – Ale cię nie znałam. Nie byłeś kimś, tylko czymś, co mi się przytrafiło. – Mówię od rzeczy i dobrze to wiem. Próbuję jednak dalej. – Ale kiedy cię spotkałam, kiedy cię poznałam, stałeś się

dla mnie kimś. Wiedziałam, że jeśli kiedykolwiek ci powiem, nie będę kimś, tylko czymś, co ci się przytrafiło. Chciałam, żebyśmy byli dla siebie kimś więcej. Potrzebowałam tego, żebyśmy byli dla siebie kimś więcej.

To nadal nie ma sensu. Przekazuję mu prawdę w częściach, bo nie potrafię utrzymać jej w ryzach. Ofiarowuję mu jedyną prawdę, jaką mogę: rozsypaną na kawałki, bo nie pozwoliłam sobie złożyć jej w całość. Jestem przygotowana na to, że zbierze te kawałki i zapyta: „Co to jest?”.

Ale on zamyka oczy, a gdy je otwiera, w słabym świetle odległej autostrady i blasku księżyca widzę w nich mieszankę smutku i zrozumienia.

– Nie wyrwałeś mnie z ziemi – dodaję.

Zanim został kimś, w kim się zakochałam, był przyjacielem. Rozumiał i pokazał mi, że istnieje ziemia, w której mogę wrócić do życia.

Wycieram ręce o spódnicę, jeszcze bardziej rozmazując szminkę.

– Nie jesteś tamtym wieczorem. I ja też nie.

Lock patrzy mi na ręce i na sukienkę.

– To nie krew – wyjaśniam głosem słabszym, niżbym chciała. – To szminka.

Lustruje mnie, jakby mi nie wierzył. Ale nagle rozumie. Trwa to chwilę, lecz dociera do niego, że zna ten kolor.

Gdy otwiera usta, żeby coś powiedzieć, rozlega się odgłos kroków.

Naszym oczom ukazują się sylwetki. Najpierw Chrisa i Victorii. Potem Brigid i PJ-a.

Czuję ciężar ich kroków na skórze.

Już raz zrobili z naszymi ciałami to, co chcieli.

Wtargnięcie do tajemnego lasu Locka to nowe naruszenie.

I to ja ich tu przyprowadziłam.

Tłuczone szkło chrzęści mi w dłoni, słyszę trzask ścierających się kawałków.

To uczucie i ten cichy dźwięk przygniatają mnie mocniej niż nieudane próby złapania tchu.

Drobinki srebra wysypują mi się z dłoni. Jedyna rzecz, dzięki której mogłam walczyć, rozpada się na kawałki.

Ale Lock nie zdaje sobie z tego sprawy. Patrzy, jak cztery sylwetki zbliżają się na tyle, że możemy dostrzec ich twarze.

Wyciągam wolną rękę, by chwycić dłoń Locka, powstrzymać go przed gryzieniem palców.

Ale on nie garbi się ani nie kuli.

Prostuje się.

Staje przede mną, jakby chciał mnie osłonić.

– Nie – mówi do nich.

Słowo jest tak potężne i ostateczne, że naprawdę się cofają.

Jego dosadność coś we mnie zmienia.

Tak, poddałam się.

Tak, otworzyłam usta.

Ale to, że się poddałam, nie znaczy, że muszę się poddać na zawsze. To, że tamtego wieczoru otworzyłam usta, nie znaczy, że już nigdy nie będę mogła tego zrobić.

To, że nigdy nie posłuchaliby tego jednego słowa, nie znaczy, że już nigdy nie będę mogła go wypowiedzieć.

„Nie” wyrywa się ze mnie jak krzyk i odbija echem od nieba.

Tamten wieczór mógł pozostawić we mnie odłamek lustra. Ale teraz staje się jasną gwiazdą mojego gniewu.

PJ, Chris, Victoria i Brigid zastygają w bezruchu.

Kilka miesięcy temu nie płakałam i nie krzyczałam, bo myślałam, że jeśli zacznę płakać i krzyczeć, nigdy nie przestanę. Ale teraz mam to gdzieś. Jeżeli będę krzyczeć cały czas, będą musieli słuchać mnie cały czas.

Dzięki wzgórzom echo nie cichnie.

Księżyc drży.

Gwiazdy się wzdrygają.

Wtedy to czuję, coś w powietrzu, jakby znajomy głos, którego nie słyszałam od dawna.

Niebo oddycha z ulgą. Powietrze wylewa się z chmur.

Wiatry Santa Any płyną przez rezerwat strumieniem szybkim i silnym jak rzeka. Unoszą mi włosy z ramion i porywają ostatnie drobiny lustra z dłoni.

Drzewa trzeszczą, szkło stuka.

Otwieram oczy i próbuję złapać oddech.

Zużyłam całe powietrze w swoich płucach na to jedno słowo, na ten jeden krzyk, a teraz muszę pozwolić, by wiatry Santa Any tchnęły je we mnie z powrotem.

Delikatne kawałki szkła na drzewach pękają. Jedna gałąź się odłamuje, potem następna, od migoczących liści na perukowcu przez

srebrne kwiaty bzu po okrągłe owoce śliwy.

Wielka część mojego świata obróciła się w lustrzane szkło. Ale teraz mój gniew wystarczy, by je rozbić.

Santa Ana wieje mocniej i śpiewa w ciemności. Gałęzie strząsają kryształki lustra. Kwiaty zrzucają szklane płatki, a konary – srebrne ostrza. Santa Ana porywa je w wir. Zdobią powietrze i migają wraz z gwiazdami.

Ale cyklon nie jest cichy i odległy jak gwiazdy. Jest głośny jak krzyk z moich ust. Silny i bliski jak fale rozbijające się o skały. Wiatr targa moimi włosami tak mocno, że czuję na karku jego zimne palce. Przyciska spódnicę do moich nóg, a koszulę Locka – do jego piersi.

Wiatr szumi nurtem w dolinie rezerwatu. Gwiżdże między gałęziami tajemnego lasu, zrywając jedną warstwę srebrnego pyłu za drugą. Zawodzi tak donośnie, że wchłania mój krzyk w swój szum tak łatwo i gładko, jak ciasto wchłania cukier.

To burza ze śniegiem, o którym słyszałam, ale którego nigdy nie widziałam: diamentowym pyłem spadającym tylko wtedy, gdy świat naprawdę zamarza. To burza jak z opowieści abueli, jak z legend o świszczących wiatrach niosących ostrza z obsydianu. Tyle że zamiast lśniącej bieli lodowatego śniegu albo migoczącej czerni obsydianowego szkła wokół nas fruwa ostre srebro rozbitych luster.

Przez wiele miesięcy sądziłam, że biały pokój odebrał mi cały kolor, skąpał wszystko w szarym srebrze lustra. Ale teraz, gdy kolejne kawałki szkła spadają z gałęzi, lustro odbija światło z nieba i rozszczepia je niczym pryzmat. Biel pęka i rozpada się na tęcze. Noc jaśnieje i mieni się barwami.

Odłamki kruszą się w kryształki, a potem w śnieg tak drobny, że ledwie muska moją skórę. Lock też go czuje, zamyka oczy i pozwala mu

się otulić. Musimy stawić czoła nurtowi, ale robimy to, bo burza należy do nas.

Chris, PJ, Victoria i Brigid odsuwają się, jakby pył lustrzanego szkła smagał ich o wiele mocniej niż nas, skuleni w wirze szorstkiego srebrnego piasku. Przyciskają ręce do twarzy, żeby ochronić oczy przed odłamkami.

A kiedy podnoszą wzrok, by na nas spojrzeć, w ich oczach widać strach, jakby przez odłamki dostrzegali ostry błysk naszej determinacji.

Patrzają na nas zszokowani. A potem uciekają.

Uciekają przed nami, bo nasz gniew i te lustra pokazują im, kim tak naprawdę są.

Uciekają przed nami, bo dopiero teraz widzą, że jesteśmy ostrzy jak potłuczone szkło.

NIC SIĘ NIE ZGUBIŁO

Udaje nam się wydostać z ciemności. Lock dopilnowuje, żebym dotarła do Jess, tii i Pilar. Ja upewniam się, że znalazł mamę, Nate'a i Violet.

Nie odzywa się, więc go nie szukam. Pozwalam mu odejść.

Wszystko, co mi pozostało, wszystko, co muszę zrobić, to dać Lockowi taką samą przestrzeń, jaką sama miałam. Wystarczająco dużo czasu, by zrozumiał, że jego ciało zostało skrzywdzone i wykorzystane do skrzywdzenia. Wystarczająco dużo czasu, by zrozumiał, że jego ciało to coś więcej niż te dwie rzeczy. Że jest kimś, a nie tylko czymś, co tamten wieczór próbował z niego zrobić.

Oboje jesteśmy.

Może *La Reina de las Nieves* i ja żyłyśmy w zimnie od tak dawna, że wydaje nam się, jakbyśmy były całe z lodu. Ale nasze ciała, nasze serca są żywe jak ziemia pod śniegiem.

Kiedy wracam do pastelerii, odnajduję jeszcze trochę magii *La Bruja de los Pasteles*, jakbym dostrzegała kolejne pisanki w wysokiej trawie podczas wielkanocnego polowania. Polecam idealne *mantecadas* radzie kościelnej, która nie może dojść do porozumienia w sprawie dekoracji ołtarza – wiem, że delikatna wanilia w cieście pomoże im osiągnąć kompromis. Podsuwam *cocada*¹²⁷ studentce college'u, która obgryza

końcówkę długopisu ze stresu przed egzaminem, a ona promienieje, jakby rozumiała, że to doda jej odwagi. Gdy dostajemy kolejne zamówienie na tort piniata, wypełniam go barwnymi cukierkami, jakbym wypełniała własne serce kolorem.

Przynoszę doktorowi Emmottowi i jego mężowi pudełko *polvorones*. Niemal widzę blask ich miłości, gdy stykają się rękawami swetrów. To gest tak mały i swobodny, że zastanawiam się, czy w ogóle zdają sobie z niego sprawę.

Zapach pomarańczy i kokosa z *los ojos de buey* wsiąka w moje ubrania. Powietrze w kuchni się ogrzewa, gdy wyciągam blachy z *pajaritos*, a jaskółki z ciasta szepczą nadzieje, że wszystkie nasze *golondrinas* pewnego dnia wrócą.

Powoli znów staję się dziewczyną, która mówi językiem cukru i sproszkowanego chili. Odnajduję Wielką Czerwoną Plamę¹²⁸ w rdzawo-złotej słodyczy chamoyady. Czuję, że pora roku się zmienia, że chłód nadchodzi niczym zapach lawendy i sosny.

Ostrożnie dodaję barwnik do cukrowych skorupki *conchas*. Ale tym razem nie są jednolicie różowe ani białe, ani nawet jaskrawe jak *las conchas de sirena*. Wybieram błękit ścian piekarni, róż drewnianego flaminga, którego Jess kiedyś wsadziła mi do szafki w urodziny, żółć swetra, który miałam na sobie tamtego wieczoru, kiedy poznałam chłopaka z Lancaster albo z księżycy.

Gdy *pan dulce* się piecze, cukrowe skorupki puchną i rozkwitają. Każdy kolor łagodnie przechodzi w następny, jak rzadkie wiosenne tęcze nad rezerwatem przyrody.

Róż, żółć i błękit przypominają flagę, którą Jess pokazała mi kiedyś podczas Miesiąca Dumy. Powiedziała, że symbolizuje to, kim jestem, jak kocham, jak bije moje serce.

Chcę symbolizować to, kim jestem, jak kocham, jak moje złamane serce wciąż bije. Nawet jeśli mam pęknięcia. Nawet jeśli moje serce jest blizną wokół odłamka szkła.

Dlatego znów wykorzystuję te same barwy, tym razem do *polvorones tricolor*. Kruche ciasteczka wyglądają jak małe flagi.

Składam ciasto na dwukolorowe *polvorones*, które nazywamy *sol y sombra* – słońce i cień – kiedy słyszę dzwonek przy drzwiach.

Ściągam rękawiczki lepkie od pracy z ciastem. Gdy widzę sylwetkę w pomarańczowym świetle, prawie pytam: „W czym mogę pomóc?”.

Wtedy moje oczy przyzwyczajają się do jasności. Rozpoznaję jego włosy, ramiona, jeansy.

Światło za nim jest zbyt ostre, bym mogła zobaczyć twarz.

Nie boi się. Nie jest zgarbiony ani zapadnięty.

– Ciela – mówi głosem spokojnym, ale cichym.

Wypowiada moje imię z pewną wagą. Wydaje się niemal zaskoczony, że mnie znalazł, jakby przeszukał szkołę, tajemny las i wszystkie inne miejsca na świecie, zanim pomyślał o pastelerii.

Nie zdejmuję fartucha przyprószonego mąką.

Nie biorę głębokiego wdechu, zanim przejdziemy po kwadratach z linoleum pod naszymi stopami.

– Mogę cię dotknąć? – pyta ze smutną ostrożnością kogoś, kto nigdy nie zapomni, że został dotknięty, kiedy tego nie chciał.

Mogę się bać zimnej wody i gwałtownych ruchów na korytarzach w szkole. Mogę się bać grenadyny i dźwięku automatycznych drzwi. Ale nie boję się Locka Thomasa.

Wpadamy sobie w ramiona tak szybko, że prawie uderzam go przedramieniem w plecy.

Jego ręka nie zsuwa się na moje biodro. Moje usta nie odnajdują jego ust.

Na razie nie stoimy w tym samym miejscu, w którym się w nim zakochałam. Nie stoimy tam, gdzie on zakochał się w dziewczynie, nie zdając sobie sprawy, że jej krzywda tak bardzo odzwierciedla jego krzywdę.

W tej chwili jesteśmy przyjaciółmi, którzy mają tak samo złamane serca. On mówi mi, jak bardzo żałuje, że odwrócił się ode mnie przez kilka zdjęć. Ja mówię mu, jak bardzo żałuję, że nie potrafiłam powiedzieć na głos najgorszej rzeczy, która mi się przytrafiła, i że wciąż nie wiem, jak to powiedzieć, że muszę przekazywać mu to w kawałkach.

Przytulam go mocno, a on płacze mi we włosy. Szlocha rzewnie, jakby coś w nim szalało, sztorm rozbijający się o falochron. Nie wiem, czy krzyczę mu w ramię. Nie słyszę żadnego dźwięku i nie wiem, czy to dlatego, że go nie wydaję, czy dlatego, że jego ciało go przyjmuje.

Trzymam go w ramionach. On trzyma mnie.

Ja jestem w jego ramionach. A on w moich.

Pozwalamy sobie rozpaść się na kawałki, ale gdy się tak trzymamy, przyciąganie pozwala nam utrzymać je w sobie.

Kiedy znów zapraszam go na moje łóżko, nie śmiejemy się. Moje ręce nie sięgają do jego paska. On nie ściąga mi swetra. Kładę mu *pan de yema* na języku, a on przyjmuje je uroczyście jak błogosławieństwo. Gdy je przełyka, widzę w nim błysk, jakby odbijał słońce. To zjawisko piękne i smutne, niepodobne do zachwyty i zdziwienia klientów, którzy zdają sobie sprawę, że rzeczywiście pragnęli plecione go *reja*¹²⁹ lub miękkiego *almohada*.

To coś innego.

Miałam rację – co do niego, co do tego, że właśnie takiego *pan dulce* potrzebował. Nie cieszę się, ponieważ teraz wiem, dlaczego tęsknił właśnie za tym, a nie za *pan nevado* czy *corbata*¹³⁰. Żółć i przyprawy *pan de yema* wlewają światło w najciemniejsze, najzimniejsze zakątki serca tego chłopaka.

Nie potrzebowałby tego *pan dulce*, gdyby ostatnia wiosna się nie wydarzyła. Nigdy się nie przekonam, jaki wypiek rozświetliłby jego serce rok temu. Nigdy nie poznam tamtego Locka.

Ale znam tego chłopaka, który potrzebuje światła wlewającego się w zakątki pogrążone w ciemności. A ja na swój sposób przywracam go do życia.

Nie możemy utrzymywać w ryzach siebie nawzajem. To zadanie każde z nas musi wykonać samo. Ale pomagamy sobie odnajdywać kawałki.

Pilnujemy, żeby nic się nie zgubiło.

¹²⁷ Ciasteczko kokosowe.

¹²⁸ Wielki antycyklon od kilkuset lat wiejący na Jowiszu.

¹²⁹ Ciasto w kształcie kratki.

¹³⁰ Drożdżówka w kształcie krawata.

KARTECZKI SAMOPRZYLEPNE

Naprawdę tego teraz potrzebujesz? – Jess jest sceptyczna, jednocześnie próbując nie być sceptyczna.

Teraz wie już wszystko, począwszy od tamtego wieczoru na imprezie, a skończywszy na tym, co wydarzyło się w tajemnym lesie. A kiedy zapytała mnie, jak może pomóc, podejrzewam, że zupełnie nie tego się spodziewała.

– Naprawdę właśnie tego teraz potrzebuję – potwierdzam.

Stoimy w miejscu, które Jess określa swoim statkiem matką, czyli w położonym przy autostradzie sklepie z artykułami papierniczymi, a dokładnie w dziale z karteczkami samoprzylepnymi.

– Wybierzesz za mnie? – pytam, gapiąc się na wystawę przed nami.

Jess promienieje, jakbym poprosiła ją o wybranie sukienki na bal zimowy. Ja mówię językiem kwiatów i cukru, a Jess mówi językiem długopisów żelowych i segregatorów z kolorowymi zakładkami.

Patrzy to na mnie, to na karteczki we wszystkich barwach i rozmiarach.

– Do czego ich użyjesz? – chce wiedzieć.

– Do powiedzenia wszystkiego, co powinnam była powiedzieć już dawno.

TELENOWELA

Kilka dni po powrocie rodziców mówię im o wszystkim.
Nie prosto w twarz. Nie mogłabym patrzeć na ich miny, gdy
wypowiadałabym te słowa.

Spisuję to na karteczkach samoprzylepnych i zostawiam na lodówce.

Piszę wszystko.

Co się stało w tamtym pokoju.

W szpitalu.

Z Lockiem.

Zużywam dwa bloczki w dwóch różnych kolorach – przyklejam na lodówkę tyle kwadratów, że zakrywam wszystkie menu na wynos, miniaturowy kalendarz, magnesy od dentysty i z pralni.

Kiedy słyszę, że wracają do domu, chowam się w ciemnej sypialni.

Przygotowuję się na ich kroki na schodach i na każde pytanie, jakie będą chcieli mi zadać.

Mama wchodzi na górę. Oczy ma zaczerwienione, więc wiem, że płakała.

Siadam i napinam się w oczekiwaniu.

Ale ona pyta tylko, czy jestem głodna.

Mrugam, patrząc na jej sylwetkę na tle światła z korytarza.

– Jasne – mówię ostrożnie.

Kiwa głową i schodzi na parter.

Nie zadają mi pytań, nie dzisiaj. Nie próbują mnie przytulać ani pocieszać bardziej dla siebie niż dla mnie. Jestem im za to tak wdzięczna, że zapalę świecę w kościele, do którego chodziła abuela.

Zamawiamy jedzenie. Jemy je przed telewizorem i oglądamy ulubioną telenowelę mamy.

Każde z nas płacze przez rzeczy, które napisałam na fuksjowych i turkusowych kwadratach.

Kiedy mama płacze, udaje, że to przez Severina, który wyznaje miłość Anie Brendzie.

Kiedy tata płacze, udaje, że to przez Lupitę, która spowiada się synowi Carlitosowi na łożu śmierci.

Kiedy ja płaczę, udaję, że to przez Clarę i Evelinę, które dowiadują się, że są siostrami.

Siedzimy i obserwujemy aktorów w ich skąpanym złotą godziną świecie i w tej chwili nie muszę żyć z tym wszystkim sama.

WSZYSTKO, CO MAMY

Śledczy mówią nam, że będą przesłuchiwali Locka i mnie osobno. Mówią, że nie możemy rozmawiać o szczegółach związanych z tamtym wieczorem, jeszcze nie teraz. Już jesteśmy świadkami swoich napaści i nie mogę ich winić za to, że nie chcą narazić sprawy, która – jak sądzę – będzie dosyć słaba. Latynoska dziewczyna i chłopak z zapadłej dziury przeciwko rodzinom, których nazwiska widnieją na tablicach pamiątkowych w całym hrabstwie.

Niemal przepaszająco polecają nam nie rozmawiać ze sobą o tamtym wieczorze. Jakbyśmy rzeczywiście chcieli ponownie omówić szczegóły. Ale prawda jest taka, że to daje nam wymówkę, żeby nie porównywać notatek, nie porównywać granic decydujących o tym, kiedy ta noc stała się ciemna dla niego, a kiedy oślepiająca dla mnie.

Lock sprzeciwia się temu poleceniu tylko raz.

– Chcę dać im zdjęcia – mówi, gdy tylko odbieram telefon. – Ale nie zrobimy tego, jeśli nie będziesz chciała.

Spoglądam w stronę mojej szafy. Kiedy wrzuciłam tam zdjęcia, po części życzyłam sobie, żeby kawałki lustra pocięły je na konfetti.

– To twoja jedyna szansa – dodaje. – Wiesz o tym. Ale nie zrobimy tego, jeśli powiesz „nie”.

Ta prawda mnie uderza. Moje zdjęcia pasują do zdjęć Locka. Jego pokazują więcej nas. Moje pokazują więcej PJ-a, Chrisa, Victorii i Brigid.

Nie będzie żadnych wątpliwości co do napaści na Locka, co do tego, że mu coś dosypano. Wyniki badań krwi świadczą o stanie chłopaka, którego zostawiłam na izbie przyjęć, a pielęgniarka zezna, że podczas obdukcji znaleziono na nim ślady szminki.

Ale pytanie, kto to zrobił – nie tyle kto zostawił ślady, ale kto jest odpowiedzialny za ich zostawienie – pozostanie bez odpowiedzi. Słowa Locka, że nie zrobiłam tego dobrowolnie, że nigdy bym tego nie zrobiła, będą słowami chłopaka, który był nieprzytomny, gdy to się wydarzyło. Pierwszy śledczy, z którym rozmawiałam razem z rodzicami, przekazał nam dobrą wiadomość: że nie zostanę oskarżona, bo ani Lock, ani jego rodzice nie zamierzają mnie obwiniać. Ale druga strona medalu – a wiedziałam, że jest druga strona, wyczułam to w głosie śledczego – jest taka, że wszystko zależy od tego, czy mi uwierzą.

Wszystko sprowadzi się do mojego słowa przeciwko ich czwórce. Te zdjęcia mogą przemówić dobitniej niż ja. Mogą być głosem, który każdym kadrem powie, że nie kłamię.

– Lock – mówię. – Jeśli to zrobimy, to nie będą już tylko słowa. Każdy, kto zobaczy nasze akta, zobaczy te zdjęcia.

– Właśnie dlatego chcę to zrobić – tłumaczy. – Chcę im dać wszystko, co mamy. Chcę walczyć wszystkim, co mamy.

Prosi mnie, żebym się zastanowiła.

Kiedy się rozłączamy, przez chwilę stoję przy drzwiach szafy. Wiedziałam, że w końcu będę musiała je otworzyć.

Przekręcam gałkę z obawą, że szkło rozpadnie się na jeszcze mniejsze drobiny albo obróci w srebrny pył. Otwieram drzwi i pierwszą

rzeczą, którą widzę, są zdjęcia. Nadal leżą tam, gdzie wylądowały, gdy je tu wrzuciłam.

Kiedy do środka wpada więcej światła, nie rozszczepia się na tysiącach szklanych krawędzi. Świeci nad twardą, błyszczącą powierzchnią.

Papel picado, kryształki cukru, liście, wstążka i lalki nie zmieniły się z powrotem jak krajobraz nad rzeką. Ale też nie rozpadły się na kawałki.

Całe to szkło jest teraz gładką taflą, lustrem pokrywającym dno szafy.

Klękam i stykam dłonie z ich odbiciem, jak dziewczyna patrząca na zamrożony staw.

PO

Wszarym świetle poranka Lock Thomas mógłby być chłopakiem, którego spotykam po raz pierwszy. Włosy opadają mu na twarz, jakby zapomniał je obciąć. Jego jeansy i biały T-shirt pod grubą kurtką tak bardzo się różnią od naszych szkolnych mundurków.

Ale wszystko unosi się między nami i zabarwia powietrze.

To, że śmiech Locka na wieść o karteczkach samoprzylepnych okazał się dokładnie taką reakcją, jakiej potrzebowałam.

To, że chcemy się znów pocałować, ale nie wiemy jak, bo nasze ciała nie umieją, kiedy nasze umysły za bardzo się nad tym zastanawiają.

To, co robimy dzisiaj.

– Lock?

– Tak?

Opieram dłoń o korę lagerstremii, którą wciąż nazywam śnieżnym drzewem.

– Tata powiedział mi kiedyś, że każda chwila żyje w nas wiecznie – mówię. – Wierzysz w to?

– Tak – odpowiada bez wahania.

Moje serce jest kruche jak nowe kwiaty na tych drzewach.

– To znaczy, że tamto cały czas się dzieje – stwierdzam. – Dzieje się teraz. Już zawsze będzie się działo.

– Tak – przyznaje Lock. Jego brązowe oczy mają chłodny odcień pod zachmurzonym niebem. – Ale to też. – Podnosi wzrok na konary. Na nagich gałęziach rosną pierwsze liście i rozwijają się pąki niebieskich i fioletowych kwiatów. – To też. – Muska szlufkę moich jeansów nad miejscem, gdzie goi się drugi tatuaż. Jess czytała mi swoją pracę semestralną, gdy tatuażystka nakładała kolor.

To drugi owoc dzikiej róży, po drugiej stronie. Przypomina o tym, że całe moje ciało, a nie tylko jeden kawałek, należy do mnie.

Biorę jego rękę i kładę ją sobie na talii, żeby mu pokazać, że nadal może mnie dotykać.

Odgarnia mi z twarzy kosmyk włosów, ale wiatr zaraz zwiewa go z powrotem.

Nawet kiedy mówię „tak” i on mówi „tak”, nawet kiedy mówię mu, że tego chcę, i on mówi mi, że tego chce, krępuje się, gdy przytyka usta do moich. Jest tak niezdecydowany, że czuję się tak, jakby całował mnie po raz pierwszy.

Odwzajemniam pocałunek, trochę mocniej, ale nie tak mocno, jak zrobię to następnym razem i jeszcze później. Pozwalam, by to był pierwszy pocałunek, bo to jego pierwszy raz, gdy mnie całuje i wie. Pierwszy raz całuje mnie, Gracielę Cristales, która położyła go w tamtym pokoju, dziewczynę, która walczyła, a potem się poddała, dziewczynę, która najpierw go przyjęła, choć nie chciała, a parę miesięcy później zrobiła to, bo chciała.

Są tysiące chwil, które mogłyby trwać wiecznie zamiast tamtej. Chcę nauczyć Locka alchemii przemiany mąki, wody i drożdży w coś żywego. Chcę, żeby pokazał mi, jak dobiera witaminy do podania każdemu

skradzionemu drzewu, swoje połączenie chemii, botaniki i brujaerii¹³¹. Chcę, żebyśmy razem obserwowali zmiany kolorów drzew wraz z porami roku, żywy obraz jego tajemnego lasu.

Ale za kilka minut musimy dołączyć do naszych rodzin. Czekają nas – moi rodzice, mama Locka. (Mój tata dał Nate’owi namiary na baseny pływowe, żeby mógł zabrać Violet). Dzielą z nami ciężar tego dnia, w którym odpowiemy na wszystkie pytania śledczych, powiemy im wszystko, co wiemy, i damy im wszystko, co mamy.

– Hej. – Lock łapie mnie za rękę i kiwa głową na magnolię. – Patrz.

Nad gałęziami trzepoczą skrzydła.

Parę jaskółek fruwa wśród konarów. Dostrzegam jasny brąz ich grzbietów, ich skrzydła przeplatane fioletem i szafwią, która tylko chwilami mieni się w świetle.

Ptaki kłębią się przy pierwszym błękanie niepokalanka, a potem pędzą z wiatrem w stronę wzgórz.

Pewnie nie zobaczymy ich do kolejnej wiosny. Może do tego czasu wiosna nie będzie już przyprawiać nas o dreszcze wizją białych pokoi i soli wydartej z naszych ciał. Może będziemy czekać na pierwsze pąki tych drzew i trzepot tysięcy skrzydeł.

Od tamtej nocy oboje trzymamy w rękach kawałki rozbitego szkła. Zaciskamy palce wokół nich, krawędzie wrzynają nam się w dłonie, nasza krew plami srebro.

Być może nigdy nie będziemy w stanie ich odłożyć. Może pozostaną w naszych rękach na zawsze. Ale nie musimy ścisnąć ich tak mocno, by do końca życia raniły nam palce.

Trzymamy je tak lekko, jak to możliwe. Pozwalamy im spoczywać na naszych dłoniach. Nie pomagamy im w upuszczaniu nam krwi.

Żyjemy z nimi.

Uczymy się, jak to, co rozbite, może odbijać światło.

131 Czary, czarna magia.

NOTA OSOBY AUTORSKIEJ

Ta książka to fikcja literacka.

Chciałoby Wam powiedzieć, że nic z tego nie jest prawdą.

Ta książka zaczęła się od *Królowej Śniegu*, jednej z najpiękniejszych i najbardziej niepokojących baśni, z jaką zetknęłam się w dzieciństwie. Od dziecka wiedziałam, że powinnam utożsamiać się z Gerdą, dziewczynką o czystym sercu, która wyrusza na ratunek swojemu przyjacielowi z dzieciństwa Kaiowi. Ale mnie przyciągało rozbite lustro – z zafascynowaniem i przerażeniem patrzyłam, jak mały kawałek szkła może zmienić wygląd całego świata. Mała rozbójniczka, jedyna w opowiadaniu postać, która ze swoją brązową skórą i ciemnymi włosami wyglądała trochę jak ja i moje *primas*. I sama Królowa Śniegu, która skłoniła mnie do zastanawiania się, dlaczego stała się tak zimna, że w lodzie czuje się jak w domu.

La Reina de las Nieves jest przedstawiona jako królowa o zamrożonym sercu. Nikt jednak nie pyta, jak to się stało, że została pozbawiona całego ciepła. Nikt nie pyta, czy kiedyś była dziewczynką, która patrzyła na płatki śniegu i wyobrażała sobie je jako gwiazdy na tle granatowej nocy. Nikt nie pyta, czy jej lodowy pałac to świat, którym rządzi, czy pokój, w którym została zamknięta.

Książka opiera się na moich doświadczeniach osoby, która przeżyła wiele napaści na tle seksualnym. Być może czerpie przede wszystkim

z doświadczeń pewnego chłopaka i moich, gdy dowiedzieliśmy się, że zostaliśmy napadnięci przez tę samą osobę, kiedy inni stali z boku i na to pozwolili.

Szczegółowe okoliczności zostały zmienione na potrzeby tej książki, w celu zarówno ochrony prywatności tego chłopaka, jak i zachowania integralności w sprawie, która w chwili, gdy piszę te słowa, nadal jest w toku. Podobnie jak Lock i Ciela, ten chłopak i ja postanowiliśmy razem to zgłosić.

Piszę książkę o napaści seksualnej, zanim się dowiem, czy ja – według systemu Jane Doe – lub chłopak – John Doe – kiedykolwiek doczekamy się sprawiedliwości. Były chwile, gdy zastanawiałam się, czy to mądra decyzja, biorąc pod uwagę moje własne zdrowie psychiczne. Ale po złożeniu zeznań Królowa Śniegu wciąż mnie wzywała. Szeptala, że jeśli przedstawię jej historię na nowo, musi wypływać z mojego serca latynoskiej osoby queer, która przetrwała. Musi opowiadać o tym, jak jedna rzecz może być tak ostra, że zmieni nasz świat na zawsze.

Musi być o chłopcu, który został wciągnięty w ten chłód razem ze mną.

Myślę, że musiałam napisać tę książkę, zanim dowiedziałam się, czy John Doe i ja doczekamy się sprawiedliwości. Jesteśmy w tym samym miejscu, w którym książka pozostawia Cielę i Locka, bez rozstrzygnięcia, ale ze świadomością, że muszą opowiedzieć swoją historię.

Przejście od rozbicia z powodu napaści na tle seksualnym do gotowości do walki o swoje było jednym z najtrudniejszych trudnych procesów w moim życiu. Zgłoszenie sprawy to jeden z najważniejszych kroków, jakie podjęłam, by odnaleźć swój głos i zacząć mówić o tym,

jak nasze społeczeństwo w rozmowach o napaściach seksualnych zawodzi kobiety niebiałe, chłopaków, osoby queer i trans.

Napisałam tę książkę, kiedy zdawałam sobie sprawę, że jestem osobą niebinarną. To oznaczało, że musiałam zmierzyć się nie tylko z własną traumą, ale także z tym, jak mnie przerażała i skłoniła do ukrywania mojej tożsamości płciowej. Opowiadanie historii Cieli i Locka stało się nie tylko przekazaniem emocjonalnej prawdy o tym, co spotkało Johna Doe i mnie. Stało się też opowieścią o moich zmaganiach z tym, jak z napaścią seksualną radziły sobie bardziej dziewczęca część mnie (udając, że się nie wydarzyła) i bardziej chłopięca część mnie (udając, że nie powinna mnie boleć). Pewnie nie będzie dla Was zaskoczeniem, że w Cieli jest dużo mnie, a w Locku – dużo Johna Doe. Ale w Locku jest też dużo mnie.

Czasem John Doe i ja zastanawiamy się, kiedy system prawny zrobi miejsce dla wszystkich z uwzględnieniem faktu, że płeć nie jest binarna. Zastanawiamy się, jak mogłoby się nazywać zamiast Jane Doe (Jess Doe?). Rozmawiamy na ten temat, kiedy nie chcemy rozmawiać o tym, że aby powiedzieć prawdę, musieliśmy zrezygnować z własnych imion.

Niektóre z osób czytelniczych mogą wiedzieć, kim jest John Doe. Niektóre z Was mogą próbować zgadywać. Możecie mieć rację lub nie – ci, którzy przetrwali, często nie pasują do opisu, jakiego oczekuje świat. John Doe udzielił mi zgody na ujawnienie jego tożsamości podczas opowiadania naszej historii. Ale nie zamierzam tego zrobić, przynajmniej nie na tych kartkach.

Uszanowanie prywatności Johna Doe może być pierwszym powodem, dla którego nie podaję jego nazwiska, ale nie jedynym. Nie podaję jego nazwiska, ponieważ jeśli kiedykolwiek będziecie miały to szczęście, chcę, żebyście poznały go nie tylko jako osobę, która przeżyła, ale też jako błyskotliwego, zabawnego i troskliwego

człowieka. Chcę, żebyście poznały go jako kogoś więcej niż Johna Doe. Zasługujecie na to, by poznać go w ten sposób. On zasługuje na to, by być tak poznanym. Tak, wiem, pewnie istnieje mała szansa, że kiedykolwiek go spotkacie. Ale muszę zostawić jemu i Wam taką możliwość. Muszę wierzyć w to, że w naszych sercach, które przetrwały, będą widoczne nie tylko pęknięcia, lecz także wylewające się z naszego wnętrza światło.

Czasami wierzę w to światło. Czasami nie. Czasami czuję się dobrze, a czasami bardzo źle. Jeśli Wy nie czujecie się dobrze, bądźcie dla siebie dobre. I skorzystajcie z pomocy. Żałuję, że nie zrobiłem tego wcześniej. Choć moją najlepszą radą jest to, by zacząć od kogoś, komu ufacie, niezależnie od tego, czy to członek rodziny, przyjaciel, lekarz czy specjalista od zdrowia psychicznego. Jeśli nie jesteście pewne, od czego zacząć, zacznijcie od Niebieskiej Linii: www.niebieskalinia.pl lub 22 668 70 00. Wiem, jak trudna może być rozmowa przez telefon. Ale jedno z wielu błogosławieństw, które dostrzegam w tym, jak długo zajęło mi poproszenie o pomoc, to to, że mogę Wam powiedzieć: nie jest jeszcze za późno. Nie jest za późno, by poczuć się lepiej, by móc głęboko oddychać, mniej się bać za każdym razem, gdy świat podchodzi zbyt blisko.

Dla nikogo z nas nie jest za późno.

Przeżyliśmy.

Teraz możemy żyć.

PODZIĘKOWANIA

Często zaczynam podziękowania od stwierdzenia, jak wiele osób potrzeba, by zmienić historię w książkę. Porusza mnie praca każdego, kto bierze udział w tym procesie, który jest najprawdziwszą magią.

A teraz porusza mnie nie tylko to, jak wielu ludzi potrzeba, by stworzyć książkę, ale też to, jak wiele osób potrzeba do sprawienia, żeby osoba autorska była gotowa do napisania takiej książki.

Jestem im wszystkim głęboko wdzięczna. Wymienię tu tylko kilka z nich:

Kat Brzozowski za to, że postawiła mi wyzwanie, by znaleźć głos, którego potrzebowałam dla historii Cieli, i za to, że była kimś, komu mogłam bezpiecznie o tym opowiedzieć.

Emily Settle za przychylne przyjęcie moich maili z pomysłami i za to, że dzięki niej wiem, że ta książka jest w dobrych rękach.

Taylor Martindale Kean, Stefanie Sanchez Von Borstel i wszystkim w Full Circle Literary za stworzenie wspaniałego domu dla osób autorskich.

Jean Feiweł za to, że uczyniła mnie i moje historie częścią rodziny Feiweł & Friends.

Brittany Pearlman za to, że pomaga moim książkom wyruszyć w świat.

Richowi Deasowi za wspianą oprawę graficzną w MacKids, Liz Dresner za piękną wizję okładki tej książki, Marly Gallardo za zapierającą dech w piersiach grafikę.

Wszystkim w Feiweł & Friends oraz Macmillan Children's Publishing Group: Kim Waymer, Celeste Cass, Jonowi Yagedowi, Allison Verost, Liz Szabli, Erin Siu, Molly Ellis, Teresie Ferraiolo, Allegrze Green, Jo Kirby, Kathryn Little, Julii Gardiner, Lauren Scobell, Dawn Ryan, Alexeiowi Esikoffowi, Mariel Dawson, Avii Perez, Ilanie Worrell, Romanie Rout, Ebony Lane, Kristin Dulaney, Jordan Winch, Kaitlin Loss, Rachel Diebel, Amandzie Barillas, Morgan Dubin, Morgan Rath, Madison Furr, Mary Van Akin i Kelsey Marrujo, Katie Halacie, Lucy Del Priore, Melissie Croce, Kristen Luby i Cierrze Bland z Macmillan School & Library oraz wielu innym, którzy zamieniają historie w książki i dostarczają je osobom czytelniczym.

Taryn Fagerness i Agencji Taryn Fagerness za to, że pomogli moim opowiadaniom podróżować po świecie.

Osobom autorskim, które pomogły mi redagować i udoskonalać tę książkę:

Dahlia Adler, która jako pierwsza powiedziała mi, że jestem tak queer, że nawet moje *dulce jest pan*, Lindsay Eagar, która pomogła mi zrozumieć, dlaczego musimy się śmiać z rzeczy łamiących nam serca, Alex Villasante, *mi hermana* od Narnii, szminki i tego konkretnego odcienia żółci.

Megan Manzano za to, że pomogła Cieli i mnie odnaleźć się w zakątku queerowej tożsamości, który rezonuje z tym, jak kochamy.

Osobom autorskim, które pomogły mi iść naprzód w miesiącach dojrzewania do decyzji, że muszę opowiedzieć tę historię, oraz w trakcie jej pisania. Wymieniam tu kilka z nich:

Aishy Saeed, która wyciągnęła do mnie rękę, kiedy byłam zbyt załamane.

Tess Sharpe, która powiedziała mi, że nie jestem jedyne, właśnie wtedy, gdy potrzebowałam to usłyszeć.

Saundrze Mitchell, która była przy mnie, kiedy wciąż tkwiłam w szoku, i pomogła mi zdecydować, co dalej.

Laurie Halse Anderson, która powiedziała mi, że mam prawo czuć się źle.

Novie Ren Sumie za magię migoczącego śniegu, kiedy jeszcze próbowałam ułożyć układankę tej książki.

A.S. King za te nocne rozmowy i za to, że nie przeszkadzało Ci, kiedy rozsypałam brokat po całym Twoim pokoju.

Nawet w mojej najbardziej współczesnej książce nadal potrzebowałam pomocy przy researchu, zwłaszcza jeśli chodzi o *las golondrinas*. Dziękuję więc doktorowi Charlesowi Brownowi, który poprzez swoją pracę naukową i rozmowy telefoniczne hojnie odpowiadał na moje pytania o jaskółki z San Juan Capistrano, oraz Jimowi McCoyowi za poranne przygody ornitologiczne i encyklopedyczną wiedzę na temat wszystkich skrzydeł, które widzieliśmy.

Dziękuję również mojemu tacie, że zabrał mnie nad wodę tak wcześnie rano, kiedy była jeszcze srebrna. Mojej mamie za nauczenie mnie, że czerwona szminka to odpowiedź na każde pytanie.

Johnowi Doe za to, że pozwolił mi się podzielić częścią naszej emocjonalnej prawdy na tych stronach, i za to, że nie pozwolił mi robić tego, co trudne, w pojedynkę.

Wszystkim osobom, które przetrwały: razem niesiemy nasze złamane serca.

Osobom czytelniczym za to, że dzięki nim te historie mają znaczenie.
Dziękuję.

Inne książki osoby autorskiej:

Dark and Deepest Red

Blanca & Roja

Wild Beauty

When the Moon Was Ours

The Weight of Feathers

Potrzebujesz pomocy?

Telefon zaufania Lambda Warszawa:

22 628 52 22 (pon.–pt. 18.00–21.00)

Antydepresyjny Telefon Forum Przeciw Depresji:

22 594 91 00 (śr. i czw. 17.00–19.00)

Ośrodek Interwencji Kryzysowej – pomoc psychiatryczno-pedagogiczna:

22 855 44 32 (24/7)

Bezpłatny telefon zaufania dla dzieci i młodzieży:

116 111 (24/7)

Ogólnopolski Telefon Dla Ofiar Przemocy w Rodzinie „Niebieska Linia”:

800 120 002 (24/7)

Organizacje wspierające osoby LGBTQ+

Kampania Przeciw Homofobii: prawo@kph.org.pl

22 423 64 38 (pon.–pt. 10.00–17.00)

Stowarzyszenie Miłość Nie Wyklucza: kontakt@mnw.org.pl

Fundacja Trans-Fuzja: prawnik@transgfuzja.org

Grupa Stonewall: prawnik@grupa-stonewall.pl

Fabryka Równości: pomoc@rownasie.org

My, Rodzice: info@myrodzice.org

TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Mirror Season

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk

Redakcja: Zyszczak.pl Paulina Zyszczak

Korekta: Ewelina Pawlak

Projekt okładki: Liz Dresner

Opracowanie graficzne okładki: Marta Lisowska

Grafika na okładce: © 2021 by Marly Gallardo

THE MIRROR SEASON © 2021 by Anna-Marie McLemore

Copyright © 2022 for the Polish edition by Young an imprint of

Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Kaja Makowska, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek
techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego
uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2022

ISBN 978-83-67335-83-6

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



Na zlecenie Woblink



woblink.com

plik przygotowała Aneta Pudysz